

Jack Ketchum

**Dziewczyna
z sąsiedztwa**

2009

trident

Wydanie oryginalne

Tytuł oryginału:

The Girl Next Door

Data wydania:

1989

Wydanie polskie

Data wydania:

2009

Projekt okładki:

Wojciech Jan Pawlik

Przełożył:

Łukasz Dunajski

Wydawca:

Wydawnictwo Papierowy Księżyc
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12
www.papierowyksiezyc.pl
wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl

ISBN 978-83-61386-01-8

Wydanie elektroniczne

Trident eBooks

tridentebooks@gmail.com

Stephen King

**Wstęp do
„Dziewczyny z sąsiedztwa”**

Pisałem już na temat Ketchuma wcześniej, stwierdzając, iż stał się postacią kultową wśród czytelników gatunku oraz swego rodzaju bohaterem dla tych z nas, którzy piszą powieści grozy i suspensu. Nic się od tamtej pory nie zmieniło. On jest, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, najbliższy stylem wśród amerykańskich pisarzy Clive'owi Barkerowi. Chociaż to już bardziej kwestia wrażliwości niż samej twórczości, jako że Ketchum rzadko, o ile w ogóle, dotyka tematyki sił nadprzyrodzonych. Jednak to tak naprawdę nie ma znaczenia. To, co ma znaczenie to fakt, że żaden pisarz, który czytał jego powieści nie może oprzeć się jego wpływowi i żaden czytelnik, który zapoznał się z jego prozą nie potrafi o nim łatwo zapomnieć. Już od czasu napisania swojej pierwszej powieści, „Off Season” (która jest swego rodzaju literacką „Nocą Żywych Trupów”), Ketchum stał się klasykiem, a „Dziewczyna z sąsiedztwa”, która jest zwieńczeniem jego twórczości, zdecydowanie to potwierdza.

Według mnie, z pisarzy najbardziej przypomina Jima Thompsona, mitycznego, cynicznego autora tworzącego na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Wszystkie dzieła Ketchuma (Thompsona również), wydane były w miękkiej oprawie (przynajmniej w jego ojczyźnie; w Anglii, raz czy dwa, jego powieści wydane były w twardej oprawie), nigdy nawet nie zbliżył się do listy bestsellerów i nigdy też nie pisano o nim recenzji, poza publikacjami dla miłośników gatunku takimi jak *Cemetery Dance* czy *Fangoria* (gdzie też bardzo rzadko jest rozumiany), a także jest prawie w ogóle nieznanym szerszemu gronu czytelników.

Jednakże, tak jak Thompson, jest on niezwykle interesującym pisarzem. Nieujarzmionym i czasem genialnym, posiadającym duży talent oraz czarną pełną desperacji wizję. Jego twórczość osiągnęła poziom, do którego większość jego bardziej znanych kolegów po piórze nie może się nawet zbliżyć. Mam tu na myśli takich pisarzy jak William Kennedy, E.L. Doctorow czy Norman Mailer. W rzeczywistości, jeżeli mówimy o współczesnych amerykańskich pisarzach, to jestem absolutnie pewien, że jedynym, który pisze lepsze i ważniejsze powieści, jest Cormac McCarthy. To duża pochwała pod adresem nieznanego autora, którego powieści wydawane są w miękkiej oprawie. Jednak to nie jest reklama. Czy się wam to podoba czy nie (i wielu z was, którzy za chwilę przeczytają tę powieść nie będzie się to podobać), to jest prawda. Jack Ketchum jest prawdziwym skarbem. Zapewne jak sami pamiętacie, Cormac McCarthy, niegdyś również był nieznanym pisarzem bez grosza przy duszy, aż do momentu, w którym ukazała się jego powieść *Ręce konie*, kowbojski romans, tak inny od jego poprzednich książek. W przeciwieństwie do McCarthy'ego, Ketchuma nie interesuje zwarty, liryczny język. Pisze tekstem prostym, zupełnie jak Jim Thompson, w

którym raz po raz przewija się na wpół histeryczny humor. Możemy to odczuć na przykładzie Eddiego, szalonego dzieciaka z „Dziewczyny z sąsiedztwa”, „kiedy szedł rozebrany do pasa środkiem ulicy (...) wetknął sobie w zęby czarnego węża”. To, co przenika przez twórczość Ketchuma, to nie humor a okropieństwo. Zupełnie jak Jim Thompson przed nim (na przykład powieści „The Grifters”, albo „The Killer Inside Me”, dwie książki, których Jack Ketchum mógłby być autorem) jest zafascynowany egzystencjalnym okropieństwem życia. Opisuje świat, w którym torturuje się dziewczynę, nie przez jedną psychopatyczną kobietę, ale przez wszystkich sąsiadów; świat, w którym nawet bohater zjawia się zbyt późno, który jest zbyt słaby oraz zbyt rozdarty wewnątrz, aby temu zapobiec.

Książka jest krótka, jednak pomimo to, jest dziełem o znaczącej sile rażenia i ambicjach. W pewnym sensie, nie jest to dla mnie wielkim zaskoczeniem. Powieść suspense bowiem, inaczej niż w przypadku poezji, stała się najbardziej owocną formą artystycznej ekspresji w Ameryce po latach wojny w Wietnamie (które nie były dla nas dobrymi latami, artystycznie rzecz ujmując; przez większość czasu, my, pokolenie wyżu demograficznego, radziliśmy sobie ze sztuką równie kiepsko, jak z naszym seksualnym czy politycznym życiem). Prawdopodobnie zawsze będzie łatwiej stworzyć kawałek dobrego dzieła, kiedy mniej ludzi spogląda krytycznym okiem i to jest właśnie sedno amerykańskiej powieści suspense od czasu „McTeague’a” Franka Norrisa, kolejnej książki, której Jack Ketchum mógłby być autorem (choć w swojej wersji Ketchum pominąłby zapewne większość męczących dialogów oraz powieść byłaby zapewne znacznie krótsza...).

„Dziewczyna z sąsiedztwa” (sam tytuł przywołuje obrazy głupkowatego, pogodnego romansidła, spacerów w świetle księżyca, potańcówek w szkole) rozpoczyna się w pewnym sensie, jako swoisty archetyp lat pięćdziesiątych. Narratorem jest młodziwiec, jak to zazwyczaj bywa w tego rodzaju historiach (przypomnijcie sobie „Busujący w Zbożu”, „Czas Wojny i Pokoju” oraz moją nowelę „Ciało”) i otwiera się (po rozdziale, który jest tak naprawdę prologiem) w cudowny sposób wyjęty wprost z Hucka Finna: bosy chłopiec z rumieńcami na twarzy, rozłożony na skale przy rzece w letnim słońcu, łapiący raki do metalowej puszki. Dołącza do niego Meg, śliczna, czternastoletnia dziewczyna ze spiętymi w kucyk włosami, no i oczywiście jest Nowa w Mieście. Wraz z jej siostrą Susan, mieszkają u Ruth, samotnej matki, wychowującej trójkę chłopców. Jednym z nich jest najlepszy przyjaciel młodego Davida (oczywiście) a cała grupka spędza letnie wieczory przed telewizorem, wygodnie rozwalona na kanapie w salonie Ruth Chandler, oglądając sitcomy, takie jak „Father Knows Best” (Ojciec wie najlepiej) i westerny, na przykład „Cheyenne”. Ketchum przywołuje muzykę lat pięćdziesiątych, zaściankowość podmiejskiego życia, lęki symbolizowane schronem przeciwatomowym w piwnicy Chandlerów. Robi to zwięźle i dokładnie. Następnie, chwytając ten, jakże wielki i głupi, mit za jego brzeg i wywraca go do góry nogami z oszałamiającą łatwością. Zaczniemy od tego, że ojciec z całą pewnością nie jest w rodzinie młodego Davida tym, który wie najlepiej; tutaj ojciec jest niepoprawnym

kobieciarzem, którego małżeństwo wisi na włosku. David również o tym wie. „Mój ojciec miał wiele okazji do romansów i skrupulatnie je wykorzystywał” – mówi. „Spotykał kobiety późnym wieczorem a potem widział je ponownie wczesnym rankiem.” To uderzenie batem ironii, zakończonym jednak na końcu sznurem metalowych kul. Myślisz, że masz to już za sobą kiedy uświadamiasz sobie, że to nadal sprawia ból.

Meg i Susan znalazły się w domu Chandlerów w wyniku wypadku samochodowego (ktoś powinien w końcu napisać pracę na temat: „Wiecznie Obecne Wypadki Samochodowe i Ich Wpływ na Literaturę Amerykańską”). Wydaje się, że z początku idealnie uzupełnią rodzinę Ruth, chłopców Woofera, Donny’ego i Williego Juniora oraz samą Ruth, na swój sposób wyrozumiałą kobietę, snującą mnóstwo opowieści, palącą jak smok i niemającą nic przeciwko temu, aby chłopcy poczęstowali się piwem z lodówki, pod warunkiem, że nie powiedzą o tym swoim rodzicom. Ketchum napisał wspaniałe dialogi, a Ruth ma świetny głos, pobudzający wyobraźnię ucha, ostry i odrobinę zachrypnięty. „Oto lekcja, chłopcy. Zapamiętajcie ją. To ważne. Wszystko, co musicie zrobić, to być mili dla kobiety a ona zrobi dla was wszystkie miłe rzeczy, jakie tylko chcecie (...) Davy był miły dla Meg i dostał obraz (...) Dziewczyny są łatwe (...) Obiecuj im najmniejszą rzecz, a one dadzą ci to, co zechcesz.” Wydaje się, że to idealne miejsce do zagojenia ran i idealny dorosły autorytet dla dziewczynek, które nie mogły otrząsnąć się z szoku po śmierci rodziców. Ktoś mógłby pomyśleć, iż to jest właśnie Jack Ketchum, w całej swej okazałości, ale Jack Ketchum taki nie jest.

Nigdy też nie był i prawdopodobnie nigdy nie będzie. Ruth, pomimo całego jej niefrasobliwego cynizmu kelnerki o złotym z zewnątrz sercu, odchodzi stopniowo od zmysłów, wznosząc się w spirali przemocy i paranoi. Jest odrażającym, jednak dziwnie prozaicznym czarnym charakterem, idealnie pasującym do Ameryki czasów Eisenhowera*. W książce nie ma słowa o tym, co jej dolega. To nie przypadek, że magiczne zdanie wypowiedziane przez Ruth i dzieci spędzające czas w domu Chandlerów brzmi: „Nie wspominaj o tym”. Zdanie to mogłoby być kwintesencją lat pięćdziesiątych, a w książce wszyscy biorą je sobie do serca, dopóki nie jest zbyt późno, aby zapobiec ostatecznym wydarzeniom.

Na końcu, Ketchum bardziej skupia się na postaciach dzieci, aniżeli na samej Ruth. Nie tylko na Chandlerach i Davidzie, lecz również na wszystkich tych, którzy przewinęli się przez ich piwnicę, kiedy powoli mordowali Meg – na Eddiem, jak również na Denise, Tonym, Kennym, oraz Glenie i całej reszcie przyglupiego gangu małolatów z fryzurami na jeża i strupami na kolanach od gry w baseball. Niektórzy z nich, tak jak David, tylko się przyglądają. Inni, koniec końców, biorą w tym udział, aż do momentu, w którym wspólnie wyszywają rozżarzoną igłą słowa ZERŹNIJ MNIE na brzuchu Meg. Wchodzą do domu... wychodzą... oglądają telewizję... popijają colę i zajadają się kanapkami z masłem

* Dwight Eisenhower – prezydent Stanów Zjednoczonych w latach 1953-1961. Uważał, że kluczem do pokoju na świecie są ciągle zbrojenia i wzmacnianie paktów wojennych.

orzechowym... Ale nikt nikomu o niczym nie mówi. Nikt nie próbuje powstrzymać wydarzeń w schronie. Koszmarny scenariusz, połączenie sitcomu „Happy Days”^{*} z „Mechaniczną Pomarańczą”, oraz szalone skrzyżowanie „The Life and Loves of Dobie Gillis”^{*} z „Kolekcjonerem” Johna Fowlesa. Całość zdaje egzamin, nie z powodu idealnego podmiejskiego klimatu, ale dlatego, że jesteśmy zmuszeni uwierzyć, wbrew naszym przekonaniom, iż przy odpowiednim połączeniu wyobcowanych dzieci i przy odpowiednim nadzorze tego horroru przez dorosłego oraz, pomimo tego wszystkiego, przy odpowiedniej atmosferze pod hasłem „pilnuj swoich spraw”, to może się naprawdę wydarzyć. Mimo wszystko, to był czas, kiedy kobieta nazwiskiem Kitty Genovese^{*} została w ciągu kilku godzin zadżgana na śmierć gdzieś w alejce Nowego Jorku. Wielokrotnie wzywała pomocy, wokół było mnóstwo ludzi, obserwujących całe zajście, jednak nikt nie zrobił nic, aby jej pomóc. Nikt nie wezwał nawet policji. „Nie wspominaj o tym” musiało być ich mottem... Jak wielki krok tak naprawdę dzieli „nie wspominaj o tym” od „pomóżmy jej?”

David, narrator powieści, w gruncie rzeczy jest jedynym przyzwoitym bohaterem i jako taki prawdopodobnie słusznie obwinia się o ostateczny holokaust w piwnicy Ruth Chandler. Przyzwoitość jest tak samo odpowiedzialnością jak fakt istnienia i jako jedyna ludzka istota tam obecna, która pojmuje, że wydarzenia te są złem, David jest ostatecznie bardziej winny, niż moralnie puste dzieci, które podpalają, okaleczają wykorzystują seksualnie „dziewczynę z sąsiedztwa”. David nie bierze udziału w żadnym z tych okrucieństw, jednak nie mówi również swoim rodzicom o tym, co się dzieje w domu Chandlerów, ani nie zgłasza tego na policję. Jakaś część niego nawet chce w jakimś stopniu w tym uczestniczyć. Odczuwamy swoistą satysfakcję, kiedy koniec końców Davey się wyłamuje – to jedyny zimny promień słońca, którym obdarza nas Ketchum – jednak nienawidzimy go za to, że nie zrobił tego wcześniej.

Jeżeli nienawiść okazałaby się wszystkim, co odczuwamy w odniesieniu do tego wstrętnego narratora, „Dziewczyna z sąsiedztwa” upadłaby nisko, balansując na moralnej linii, jak to miało miejsce z „American Psycho” Bretta Eastona Ellisa. Jednak David jest prawdopodobnie najbardziej triumfalnie uświadomionym bohaterem Ketchuma, oddalonego o całe lata świetlne od porno-szyfrów Ellisa, a jego złożoność nadaje książce echa, które nie zawsze było obecne w jego wcześniejszych powieściach. Współczujemy mu, rozumiemy jego początkową niechęć, aby donieść na Ruth Chandler, która traktuje dzieci jak dorosłych, zamiast przysparzać im uciążliwości, na które gdzie indziej napotykaliby na każdym kroku.

^{*} Happy Days – amerykański sitcom telewizyjny emitowany w USA w latach 1974-1984, który pokazywał wyidealizowany obraz życia w Ameryce na przełomie lat 50 i 60-tych XX wieku.

^{*} Właściwie „The Many Loves of Dobie Gillis” – serial komediowy popularny w Stanach Zjednoczonych w latach 1953-63, który powstał na podstawie zbioru opowiadań Maksa Shulmana z roku 1951 pod tym samym tytułem.

^{*} Kitty Genovese – mieszkanka Nowego Jorku brutalnie zamordowana pod swoim domem 13 marca 1964. Jej zabójstwo, popełnione przy całkowitym braku reakcji sąsiadów, stało się casusem socjologicznym, określanym jako efekt widza lub syndrom Genovese.

Na samym końcu, rozumiemy również jego śmiertelnością w skutkach utratę poczucia rzeczywistości tego, co się dzieje.

„Czasami (...), czułem się jakbym oglądał filmy, które wyświetlali później w latach sześćdziesiątych” – mówi David. „Głównie filmy zagraniczne, w których przeważającym uczuciem które cię ogarniało, była pewna fascynująca, hipnotyczna gęstość niewyraźnej iluzji, złożonej z warstw i kolejnych warstw znaczeń, które na końcu wskazywały całkowity brak znaczenia, w których aktorzy ze sztucznymi twarzami przemieszczali się biernie przez surrealistyczny koszmar krajobrazów, wyzbytych z emocji i zatraconych.” Dla mnie błyskotliwość „Dziewczyny z sąsiedztwa” wypływa stąd, iż na końcu, akceptuję Davida jako słuszną część mojego światopoglądu, słuszną – i w pewnym sensie niepożądaną – zupełnie jak Lou Ford, psychopatyczny szeryf, który śmiejąc się, bije i morduje na stronach „The Killer Inside Me” Jima Thompsona. Oczywiście, David jest bardziej przyzwoity niż Lou Ford. To właśnie czyni go tak okropnym.

Jack Ketchum jest pisarzem obdarzonym niesamowitym instynktem, którego ponure postrzeganie ludzkiej natury, za jedynych rywali ma, być może tylko, Franka Norrisa i Malcolma Lowry’ego. Swoim czytelnikom został przedstawiony jako twórca pełnych napięcia książek, od których nie sposób się oderwać („Dziewczyna z sąsiedztwa” wydana przez wydawnictwo Warner w miękkiej oprawie zawierała zdjęcie szkieletu w przebraniu cheerleaderki, obraz który nie przedstawiał sobą żadnej treści; książka wygląda zarówno jak gotyk w stylu V.C. Andrews lub „prerażający obóz” dla nieletnich R.L. Stine’a). Rzeczywiście, jest on pełen napięcia a od jego powieści nie sposób się oderwać, jednak okładka oraz sposób prezentacji, nadal niesłusznie przedstawiają go w złym świetle, zupełnie jak to się ma w przypadku okładek powieści Jima Thompsona.

„Dziewczyna z sąsiedztwa” jest prawdziwa w sposób, w jaki żadna z powieści V.C. Andrews nigdy nie była, w sposób, w jaki większość uznanej literatury nigdy nie będzie. Nie nosi w sobie jedynie obietnicy przerażenia, lecz naprawdę w nie wprawia. Jednak nie można się od niej oderwać, co do tego nie ma wątpliwości. Czytelnik znajdzie tutaj strony, których będzie obawiał się przewrócić, i będzie bał się od nich odwrócić. Tematyczne ambicje Ketchuma są ciche, lecz olbrzymie, nie zakłócają one jednakże głównego zadania powieści, które polega na całkowitym odwróceniu uwagi czytelnika, nie przebijając przy tym w środkach. W większości przypadków tak właśnie Ketchum czyni...

„Dziewczynę z sąsiedztwa” dzieli lata świetlne od głupkowatej cikliowości „Zalotów w Cedrowym Zakątku”, czy też niewinnej, heroicznej błazenady „Zaklinacza Deszczu” i być może właśnie dlatego, Ketchum nie jest znany wśród czytelników, którzy ograniczają się jedynie do czytania książek z listy bestsellerów New York Timesa. Pomimo to, wydaje mi się, iż świat literatury byłby o wiele uboższy bez niego. Jest on prawdziwym obrazoburcą, naprawdę dobrym pisarzem, jednym z niewielu spoza Kręgu Wybrańców, którzy naprawdę się liczą. Książki Jima Thompsona ukazują się nadal drukiem i nadal są czytane po tym, jak

działa wielu z Kręgu Wybrańców jego czasów, odeszły dawno w zapomnienie. To samo z całą pewnością spotka Jacka Ketchuma... z tym wyjątkiem, iż wolałbym, aby to nastąpiło za jego życia, a nie, jak to miało miejsce w przypadku Thompsona, już po jego śmierci. Wydanie takie jak to, z całą pewnością zwróci na niego uwagę i jest krokiem w tym właśnie kierunku.

24 czerwca 1995, Bangor, w stanie Maine.

Jack Ketchum

Dziewczyna z sąsiedztwa

„Powiedz mi, proszę, o dzielny kapitanie,
Dlaczego zło obdarzone jest mocą taką?
Dlaczego anioły do snu chylą swe głowy,
Gdy czort napiera z siłą dwojaką?”

– Tom Waits

„Nigdy nie chcę usłyszeć krzyków
Nastoletnich dziewczynek w snach innych ludzi.”

– The Specials

„Duszy obciążonej brzemieniem grzechu
nigdy nie uda się uciec.”

– Iris Murdoch, *Jednorożec*

I

Rozdział 1

Wydaje ci się, że wiesz co to ból?

Porozmawiaj z moją drugą żoną. Ona wie. Tak jej się przynajmniej wydaje.

Kiedy miała dziewiętnaście albo dwadzieścia lat znalazła się pomiędzy walczącymi kotami, jej i sąsiada. Jeden z nich rzucił się w jej stronę, wspinając się po niej jak po drzewie. Pazurami rozorał uda, piersi i brzuch. Blizny widoczne są do dziś. Przestraszyła się tak bardzo, że potknęła się i upadła, tłukąc swoje najlepsze ceramiczne naczynie do tarty. To nic, gorzej poszło z nią samą. Zdarła piętnaście centymetrów skóry z żeber, podczas gdy kot, schodząc z powrotem, z wściekłością znaczył trasę zębami i pazurami. Chyba mówiła, że miała trzydzieści sześć szwów i gorączkę, która utrzymywała się przez wiele dni.

Moja druga żona mówi, że to jest właśnie ból.

Ta kobieta gównowo wie.

* * *

Evelyn, moja pierwsza żona, być może była bliżej prawdy.

Oto obraz, który ją prześladowuje.

Jedzie wypożyczonym volvo mokrą autostradą w gorący letni poranek. Jej ukochany siedzi obok. Prowadzi ostrożnie i powoli, ponieważ wie, jak zdradziecki jest deszcz padający na rozgrzany asfalt. Nagle volkswagen wyprzedza ich wóz i wjeżdża na ten sam pas. Jego tylny zderzak z napisem „wolność albo śmierć” jest coraz bliżej, aż w końcu całuje nadwozie jej samochodu. Deszcz robi resztę. Volvo kołysze się, gwałtownie skręca, szybuje nad skarpą i nagle ona i jej ukochany wirują w przestrzeni, targani niczym piórka. Góra jest dołem, potem znów dół staje się górą. W którymś momencie kierownica łamie jej ramię. Tylnie lustro kaleczy jej nadgarstek.

Wreszcie wirowanie ustaje, a ona wlepia wzrok w pedał gazu nad głową. Szuka obok ukochanego. Jego tam już nie ma. Zniknął jak zaczarowany.

Znajduje drzwi od strony kierowcy, otwiera je i wyczołguje się na mokrą trawę. Wstaje i próbuje zobaczyć coś w deszczu. I oto obraz, który ją prześladowuje – mężczyzna wyglądający

jak worek wypełniony mięsem i krwią żywcem obdarty ze skóry, cały w odłamkach szkła, leżący przed maską samochodu w purpurowej kałuży.

Ten worek to jej ukochany.

Oto dlaczego ona jest bliżej. Nawet jeżeli wypiera ten obraz ze świadomości, nawet jeżeli może w nocy spać, to Evelyn wie.

Ona wie, że ból to nie tylko kwestia skargi jej własnego, przerażonego ciała w zetknięciu z inwazją intruza.

Ból może działać od zewnątrz.

Mam na myśli to, że czasem to, co widzisz, jest bólem. Bólem w najokrutniejszej, najczystszej formie. Bez lekarstw, snu czy nawet szoku lub śpiączki, które mogłyby cię otumanić.

Widzisz go i przyjmujesz. A potem sam się nim stajesz.

Jesteś żywicielem długiej, białej glisty, która gryzie, pożera wszystko i rośnie, wypełniając twoje trzewia. W końcu, pewnego ranka budzisz się, kaszlesz, a głowa tego potwora wystaje z twoich ust niczym drugi język.

Nie, moje żony nie wiedzą jak to jest. Nie do końca. Chociaż Evelyn jest blisko.

Ale ja wiem.

Musisz mi zaufać już na samym wstępie.

Wiem to już od bardzo dawna.

Powtarzam sobie, że byliśmy dziećmi, kiedy to wszystko się wydarzyło. Tylko dziećmi, na litość boską! Ledwie co wyrosliśmy z Davy Crocketta w futrzanych czapkach z puszystym ogonem. Nie byliśmy w pełni ukształtowani.

Trudno uwierzyć, że dzisiaj jestem tą samą osobą co wtedy, za wyjątkiem tego, co w sobie skrywam.

Czasami dzieci dostają w życiu drugą szansę. Lubię myśleć, że ja wykorzystuję swoją.

Chociaż po dwóch rozwodach, bardzo nieprzyjemnych, ten potwór wciąż trochę gryzie.

Powtarzam sobie, że były to lata pięćdziesiąte, okres dziwnych represji, sekretów i hysterii. Myślę o Joe McCarthym, mimo że wtedy prawie wcale nie zwracałem sobie nim głowy. Zastanawiałem się jednak, co sprawiało, że każdego dnia mój ojciec wracał naprędce do domu, by zobaczyć w telewizji obrady senatu. Myślę też o zimnej wojnie, o schronach w szkolnych piwnicach i o filmach, na których widzieliśmy testy atomowe, powodujące eksplozje manekinów na sklepowych wystawach, których szczątki płonęły porzucane po ekspozycjach. Myślę o egzemplarzach *Playboya* i *Man's Action* ukrytych w woskowanym papierze nad rzeką tak, że po chwili przechodziły stęchlizną i nie chciało się już ich dotykać. Myślę o Elvisie, którego potępił wielebny Deitz z Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego,

kiedy miałem dziesięć lat i o wybrykach miłośników rock'n'rolla w czasie występów Alana Freeda w Paramount Theatre.

Powtarzam sobie, że wtedy działo się coś dziwnego, jakby jakiś wielki amerykański kocioł miał zaraz wybuchnąć. To wrzenie czuć było wszędzie, nie tylko w domu Ruth.

Dlatego czasem jest mi łatwiej.

Myśleć o tym, co zrobiliśmy.

Teraz mam czterdzieści jeden lat. Urodziłem się w 1946, siedemnaście miesięcy po tym, jak zrzuciliśmy bombę na Hiroszimę.

Zarabiam sto pięćdziesiąt tysięcy rocznie, pracując na Wall Street. Dwa razy żonaty, bezdzietny. Dom w Rye i służbowe mieszkanie w mieście. Najczęściej poruszam się limuzynami, chociaż w Rye jeżdżę niebieskim mercedesem.

Być może znów się ożenię. Kobieta, którą kocham – podobnie jak moje były żony – nie wie o niczym, o czym tutaj piszę. Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek jej o tym powiem. Po co miałbym to robić? Jestem człowiekiem sukcesu. Spokojnym, wielkodusznym i czułym kochankiem.

I nic w moim życiu nie było już takie samo od lata 1958 roku, kiedy to Ruth, Donny i Willie, i cała nasza reszta poznaliśmy Meg Loughlin i jej siostrę Susan.

Rozdział 2

Byłem sam nad rzeką. Leżałem na brzuchu na Wielkiej Skale z metalową puszką w dłoni. Łapałem raki. Miałem już dwa w większej puszcze, którą postawiłem obok. Te były małe. Szukałem ich mamy.

Rzeka płynęła wartkim strumieniem. Czułem rześką mgiełkę na swoich gołych stopach zwisających tuż nad wodą. Woda była zimna, słońce ciepłe.

Usłyszałem jakiś odgłos w pobliskich krzakach i uniosłem głowę.

Najładniejsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek widziałem, uśmiechała się do mnie z brzegu.

Miała długie opalone nogi i rude włosy związane w kucyk. Nosiła krótkie spodenki i pastelową bluzkę, lekko rozchyloną u szyi. Skończyłem już dwanaście lat. Ona była starsza.

Pamiętam, że ja też się do niej uśmiechnąłem, chociaż rzadko bywałem przyjacielski w stosunku do nieznajomych.

– Raki – powiedziałem, wylewając wodę z puszki.

– Naprawdę?

Skinałem głową.

– Duże?

– Te są małe. Chociaż można znaleźć większe.

– Czy mogę zobaczyć?

Zeskoczyła z brzegu tak jak zrobiłby to chłopak. Nie usiadła, lecz po prostu przyłożyła lewą dłoń do ziemi i zrobiła metrowego susa w kierunku pierwszego dużego kamienia leżącego na rzece. Przez chwilę zastanawiała się nad swoim kolejnym skokiem, aż w końcu dotarła do Skąły. Byłem pod wrażeniem. Miała pewne ruchy, a jej poczucie równowagi było perfekcyjne. Przesunąłem się, robiąc dla niej miejsce. Nagle do moich nozdrzy doszedł miły, świeży zapach.

Miała zielone oczy. Zaczęła się rozglądać.

Wielka Skala, na której siedzieliśmy, była wtedy dla nas wszystkich czymś wyjątkowym. Znajdowała się w najgłębszej części rzeki, woda wokół niej była wartka i przejrzysta. Na siedząco mieściło się na niej czworo dzieciaków, na stojąco szóstka. Skala była dla nas

między innymi okrętem pirackim, Nautilusem Kapitana Nemo oraz czólnem indiańskim. Dziś woda była głęboka może na metr.

Dziewczyna wyglądała na szczęśliwą w ogóle się nie bała.

– Nazywamy to Wielką Skalą – powiedziałem. – To znaczy kiedyś ją tak nazywaliśmy. Kiedy byliśmy dziećmi.

– Podoba mi się tu – odparła. – Czy mogę zobaczyć raki? Mam na imię Meg.

– Jestem David. Pewnie.

Pochyliła się nad puszką. Czas mijał, a my milczeliśmy. Przyglądała się rakom uważnie. Potem znów się wyprostowała.

– Ładne.

– Łapię je i przyglądam im się przez chwilę, a potem wypuszczam je z powrotem.

– Czy one gryzą.

– Te duże tak. Chociaż na pewno cię nie zranią. Te małe po prostu próbują uciec.

– Wyglądają jak homary.

– Nigdy wcześniej nie widziałaś raków?

– Nie sądzę, żeby je mieli w Nowym Jorku – zaśmiała się. Nie zareagowałem. – Mamy tam za to homary. Mogą cię zranić.

– Czy można je trzymać? To znaczy, czy można trzymać homara tak jak domowego zwierzaka?

Znów się zaśmiała.

– Nie. One są do jedzenia.

– Raka też nie można trzymać. Umrą. Pożyją może dzień albo góra dwa. Chociaż słyszałem, że niektórzy ludzie także je jedzą.

– Naprawdę?

– Tak. Niekórzy. W Luizjanie czy na Florydzie, nie pamiętam.

Pochyliliśmy się nad puszką.

– Sama nie wiem – powiedziała z uśmiechem. – Niewiele jest tutaj mięsa.

– Złapmy jakieś większe.

Położyliśmy się obok siebie na Skale. Wziąłem puszkę i zanurzyłem obie dłonie w wodzie. Cała sztuka polegała na tym, aby powoli odsuwać kamienie, tak by woda pozostała czysta, i trzymając w pogotowiu puszkę, złapać to, co spod nich wypłynie. Woda była na tyle głęboka, że rękawy musiałem podciągnąć po same ramiona. Byłem świadomy tego, jak długie i chude musiały się wydawać moje ręce w jej oczach. Przynajmniej dla mnie tak właśnie wyglądały.

Właściwie czułem się przy niej bardzo dziwnie. Niezręcznie, jednak byłem też podekscytowany. Była inna od wszystkich dziewczyn, które znałem. Inna od Denise czy Cheryl z sąsiedztwa, różniła się nawet od dziewczyn ze szkoły. Przynajmniej była od nich sto razy ładniejsza. Moim zdaniem była nawet ładniejsza od Natalie Wood.

Prawdopodobnie była też mądrzejsza, bardziej wytworna. W końcu była z Nowego Jorku, a na dodatek jadła homary. Poruszała się jak chłopak. Miała silne ciało i mnóstwo wdzięku.

Wszystko to sprawiło, że byłem zdenerwowany i nie udało mi się złapać pierwszego raka. Nie był ogromny, ale był większy od tych, które już mieliśmy. Schował się pod Skałą.

Zapytała mnie, czy może spróbować. Dałem jej puszkę.

– Więc jesteś z Nowego Jorku?

– Tak.

Podwinęła rękawy i włożyła ręce do wody. Wtedy po raz pierwszy zauważyłem jej bliznę.

– Rany! Co to?

Zaczynała się po wewnętrznej stronie łokcia i biegła wzdłuż ręki, aż do nadgarstka niczym różowa, poskręcana gaśienica. Dziewczyna zobaczyła, gdzie utkwilem wzrok.

– Wypadek – powiedziała. – Byliśmy w samochodzie.

Odwróciła głowę i znów patrzyła na wodę, która ukazywała jej lśniące odbicie.

– O rany!

Chyba nie chciała o tym rozmawiać.

– Masz jeszcze jakieś? – zapytałem.

Nie wiem, dlaczego blizny są tak fascynujące dla chłopców, jednak faktem jest, że są a ja nie mogłem nic na to poradzić. Nie mogłem się zamknąć, chociaż wiedziałem, że ona tego chciała. Patrzyłem, jak odsuwa kamień. Pod nim nie było nic. Jednak wszystko zrobiła tak, jak należało. Nie zmętniła wody. Uważałem, że była świetna.

Wzruszyła ramionami.

– Mam ich jeszcze kilka, ta jest najgorsza.

– Mogę je zobaczyć?

– Nie. Raczej nie.

Zaśmiała się i spojrzała na mnie w taki sposób, że zrozumiałem. W końcu zamknąłem się na chwilę. Odsunęła kolejny kamień. Znowu nic.

– Domyślam się, że był poważny, co? Ten wypadek?

Nie odpowiedziała, jednak nie miałem jej tego za złe. Wiedziałem, jak głupio i niezręcznie zabrzmiało to pytanie, jak nieodpowiednia była chwila, w której je zadałem. Zaczerwieniłem się i byłem jej wdzięczny, że nie patrzyła.

Wreszcie złapała jednego.

Odsunęła kamień, a rak wszedł prosto do puszeki, którą musiała już tylko wyciągnąć z rzeki.

Rozlała trochę wody i uniosła puszkę do góry. Rak miał piękny złoty kolor. Jego ogon był uniesiony, szczypce gotowe do ataku.

– Masz go!

– Za pierwszym razem!

– Wspaniały! On jest naprawdę wspaniały.

– Włóżmy go do puszki z pozostałymi.

Powoli wylała wodę z pudełka, tak aby nie zrobić mu krzywdy i żeby nie mógł uciec. Zrobiła to dokładnie w taki sposób, w jaki powinno się to zrobić, chociaż nikt jej o tym nie powiedział. Kiedy w puszcze pozostało już kilka centymetrów wody, wrzuciła raka do większego pojemnika. Dwa pływające w nim już raki zrobiły miejsce swojemu trzeciemu kompanowi. To był dobry znak, ponieważ skorupiaki czasem zabijały się nawzajem, niszczyły osobniki tego samego gatunku. Jednak te dwa były jeszcze bardzo małe.

Po chwili nowy rezydent puszki uspokoił się, a my usiedliśmy, wlepiając w niego wzrok. Wyglądał prymitywnie, groźnie i pięknie. Miał niesamowity kolor i gładką powierzchnię.

Włożyłem palec do pudełka, by ożywić raka.

– Nie rób tego! – zawołała.

Jej dłoń znajdowała się na moim ramieniu. Była chłodna i delikatna.

Wyjąłem palec z naczynia.

Poczęstowałem ją gumą po czym sam włożyłem jedną do ust. Przez chwilę jedynymi dźwiękami, które dochodziły do naszych uszu, były szum wysokich traw, szmer płynącej rzeki oraz odgłos żucia, jaki z siebie wydawaliśmy.

– Wypuścisz je z powrotem, tak? Obiecujesz?

– Pewnie. Zawsze je wypuszczam.

– To dobrze.

Westchnęła i wstała.

– Chyba powinnam już wracać. Musimy zrobić zakupy. Najpierw jednak chciałam się rozejrzeć, bo nigdy wcześniej nie mieszkałam w okolicy lasu. Dzięki, Davidzie. Było naprawdę fajnie.

Była już w połowie drogi do brzegu, przeskakując po kamieniach, kiedy postanowiłem ją zapytać.

– Hej tam! A dokąd idziesz?

Uśmiechnęła się.

– Mieszkamy teraz u Chandlerów. Susan i ja. Susan to moja siostra.

Poderwałem się, jak gdyby ktoś postawił mnie na nogi za pomocą niewidzialnych sznurków.

– U Chandlerów? U Ruth?! U mamy Donny’ego i Williego?!

Zeszła na brzeg, odwróciła się i spojrzała na mnie. Coś w jej twarzy nagle się zmieniło. Była pełna powagi. Zamilkłem.

– Zgadza się. Jesteśmy kuzynami. Kuzynami w drugiej linii. Chyba jestem siostrzenicą Ruth.

Jej głos też brzmiał inaczej. Był chłodny, jak gdyby mówiła o czymś, o czym nie powinienem wiedzieć. Mówiła o tym i jednocześnie to przede mną ukrywała.

Przez moment byłem zdezorientowany. Pomyślałem, że może ona też tak się czuje.

Wtedy po raz pierwszy ujrzałem ją zdenerwowaną nie licząc tej historii z blizną.

Nie chciałem jednak zwracać sobie tym głowy.

Dom Chandlerów znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie mojego domu.

A Ruth była... Och, Ruth była wspaniała. Chociaż czasem jej dzieci zachowywały się jak kretyni, to Ruth była wspaniała.

– Hej! – krzyknąłem. – Jesteśmy sąsiadami! Mój dom to ten brązowy zaraz obok!

Patrzyłem, jak wspina się po brzegu. Kiedy była już na samej górze, odwróciła się i uśmiechnęła. Znow miała to przejrzyste spojrzenie, jak w chwili, gdy usiadła obok mnie na Skale.

Pomachała.

– Do zobaczenia, Davidzie.

– Do zobaczenia, Meg.

Wspaniała, pomyślałem. Niesamowita. Będę się z nią widywał codziennie.

To była pierwsza taka myśl w moim życiu.

Teraz to sobie uświadomiłem.

Tego dnia, na tej Skale, spotkałem moją młodzieńczą miłość w osobie Megan Loughlin. Dziewczynę starszą ode mnie o dwa lata. Miała siostrę, miała sekret oraz długie rude włosy. Wydało mi się to tak naturalne, że pozostałem niezachwiany, a nawet szczęśliwy, na myśl o tym doświadczeniu, które jak sądzę, mówiło tak wiele o naszej przyszłości. Mojej i jej.

Kiedy o tym myślę, nienawidzę Ruth Chandler.

Ruth, byłaś wtedy taka piękna.

Nieustannie o tobie myślałem. Prześwieliłem twoje życie. Grzebałem w twojej przeszłości. Tak daleko się posunąłem. Zaparkowałem samochód przy ulicy, gdzie znajdował się biurowiec Howard Avenue, o którym zawsze mi opowiadałaś, o miejscu, w którym podobno byłaś niezastąpiona, podczas gdy chłopcy wyjechali na wojnę, a gdy, jak to ujęłaś, te „małe żołnierzyki przypelzły z powrotem”, ty nagle straciłaś pracę. Zaparkowałem tam, i wyglądał zwyczajnie, Ruth. Wyglądał na zapuszczony, smutny i nudny.

Pojechałem do Morristown, do miejsca, gdzie się urodziłaś, ono też nie wyglądało zachwycająco. Oczywiście nie wiedziałem, gdzie był twój dom, jednak na pewno nie było to miejsce, w którym narodziły się twoje zszargane marzenia. W tym mieście nie widziałem bogactwa, które podobno twoi rodzice powierzyli w twoje ręce, którym cię obsypywali. Tam nie mogła się urodzić twoja dzika frustracja.

Natknąłem się za to w barze na twójgo męża, Williego Seniora. Tak, znalazłem go Ruth! W Forth Myers, na Florydzie, gdzie mieszkał, odkąd zostawił cię z trójką bachorów i hipoteką na głowie trzydzieści lat temu. Był barmanem, obsługiwał swoich stałych klientów. Łagodny

człowiek, bardzo przyjacielski, swoje lata świetności już dawno miał za sobą. Siedziałem tam, spojrzałem na jego twarz i w jego oczy, i rozmawialiśmy, jednak nie zobaczyłem w nim mężczyzny, o którym mówiłaś: „ogiera”, „uroczego irlandzkiego skurczybyka”. Dla mnie wyglądał jak stary poczciwy człowiek. Miał czerwony nos alkoholika, okazały pijacki brzuch oraz gruby, opadający tyłek wciśnięty w parę workowatych gaci. I zupełnie nie wyglądał na twardziela. W ogóle. To mnie zdziwiło. Naprawdę.

Wydawało się, jak gdyby siła była wszędzie wokół, ale nie w tym ciele.

Więc co to było, Ruth? Same kłamstwa? Twoje wymysły?

Mogłem się tego po tobie spodziewać.

A może to było dla ciebie to samo, może prawda i kłamstwo mieszały się w twoich żyłach.

Jeżeli będę potrafił, spróbuję to zmienić. Mam zamiar opowiedzieć naszą małą historię. Tak dokładnie, jak będę potrafił, niczego nie będę pomijał.

Piszę to dla ciebie, Ruth. Ponieważ nigdy nie miałem okazji ci odplacić.

Oto wystawiam ci swój czek. Spóźniony, ale bardzo okazały.

Zrealizuj go w piekle.

Rozdział 3

Następnego dnia, wczesnym rankiem poszedłem do domu obok.

Pamiętam, że czułem się niezręcznie i byłem nieco onieśmielony, co było dość dziwne, ponieważ nie było nic bardziej naturalnego niż sprawdzenie, co się tam działo.

Był poranek. Było lato. A to było coś, co się zwykle robiło. Wstawało się, jadło śniadanie, a potem wychodziło na zewnątrz, żeby rozejrzeć się, kto akurat tam był.

Zwykle zaczynało się od domu Chandlerów.

Laurel Avenue była wtedy ślepą uliczką – teraz już nie jest – pojedynczą drogą otoczoną lasami, które graniczyły z południową stroną West Mapie i rozciągały się jeszcze dalej, może na półtora kilometra. Kiedy na początku dziewiętnastego wieku wybudowano tu drogę, lasy były tak gęste, tak wysokie, że ulicę tę nazwano Ciemną Aleją. Teraz drzewa zniknęły, jednak wciąż była to spokojna, ładna ulica. Wszędzie mnóstwo zieleni, każdy dom inny od stojącego obok, wszystkie rozmieszczone w odpowiedniej odległości.

Znajdowało się tutaj tylko trzynaście budynków. Dom Ruth, nasz, pięć innych zbudowanych po naszej stronie ulicy i sześć po przeciwnej.

Każda z rodzin, prócz Zornów, miała dzieci. A każde dziecko знаło się z innym jak z własnym bratem. Jeżeli potrzebowałeś towarzystwa, zawsze mogłeś kogoś znaleźć nad rzeką, w lesie bądź w czyimś ogródku. W zależności od tego, kto w tym roku miał największy plastikowy basen lub tarczę, do której można było postrzelać z łuku.

Jeżeli chciałeś pobyć sam, to także nie było problemu – lasów było pod dostatkiem.

Dzieciaki ze Ślepej Uliczki, tak siebie nazywaliśmy.

Odkąd pamiętam, to zawsze był zamknięty krąg.

Ustanawialiśmy swoje własne reguły, mieliśmy swoje tajemnice, swoje sekrety. Mieliśmy ustaloną hierarchię i trzymaliśmy się jej bezwzględnie. Byliśmy do tego przyzwyczajeni.

Jednak teraz był tu także ktoś nowy. Ktoś, kto mieszkał w domu Ruth.

Ta myśl wydawała mi się zabawna.

Szczególnie, że to był ten ktoś.

Szczególnie, że to był ten dom.

Tak, to naprawdę było zabawne.

Ralphie klęczał przy skalnym ogródku. Była chyba ósma rano, a on już zdążył się upaprać. Jego twarz pokryta była grubą warstwą brudu i potu, a jego ręce i nogi wyglądały, jakby biegał przez cały poranek i tarzał się w chmurze kurzu. Ralphie kładł się często. Znając go, tak właśnie było i tym razem. Ralphie miał dziesięć lat i nie przypominam sobie, bym widział go czystego przez więcej niż piętnaście minut. Jego spodenki i koszulka też były zakurzone.

– Cześć, Woofer.

Z wyjątkiem Ruth nikt nie nazywał go Ralphie – zawsze Woofer. Kiedy tylko chciał, brzmiał jak szczekający york sąsiadów.

– Cześć, Dave.

Odwracał kamienie i patrzył na robaki oraz stonogi, czmychające przed światłem. Jednak widziałem, że on wcale nie był nimi zainteresowany. Odwracał kamienie jeden po drugim. Odwracał i kładł z powrotem na miejsce. Miał metalową puszkę po fasolce, którą trzymał przy brudnych kolanach, podczas gdy przechodził od jednego kamienia do drugiego.

– Co masz w puszcze?

– Dżdżownice – odparł. Wciąż na mnie nie spojrzał. Koncentrował się, marszczył czoło z głupkowatym, nerwowym zaangażowaniem, opatentowanym przez siebie. Wyglądał jak naukowiec w laboratorium, który miał zaraz odkryć coś niesamowitego, i który życzył sobie, by zostawić go w spokoju, tak aby mógł kontynuować.

Odwrócił kolejny kamień.

– Jest Donny?

– Ta – skinął głową.

To oznaczało, że Donny był w domu. Jednak byłem dziwnie podenerwowany przed wejściem do środka, więc zostałem z nim przez chwilę.

Wreszcie dowiedziałem się, czego szukał.

Czerwonych mrówek. Cały rój znajdował się pod jednym z kamieni. Były ich tam setki, tysiące. Wszystkie zwariowały po zetknięciu się z niespodziewanym światłem.

Nigdy nie lubiłem mrówek. Gotowaliśmy w garnkach wodę i polewaliśmy je za każdym razem, kiedy próbowały wdrzeć się na ganek, co z jakiegoś powodu robiły przynajmniej raz każdego lata. To był pomysł mojego taty, jednak bardzo mi się spodobał. Myślałem wtedy, że wrząca woda to było coś, na co zasługiwały.

Czułem ich zapach, podobny do zapachu jodyny, wymieszany z wonią mokrej ziemi i świeżo skoszonej trawy.

Woofer odepchnął kamień i sięgnął po puszkę. Wydobył z niej najpierw jedną gąsienicę, potem drugą i rzucił je prosto w rój mrówek.

Zrobił to z odległości jednego metra, jak gdyby bombardował je świeżym mięsem.

Mrówki odpowiedziały błyskawicznie. Dżdżownice zaczęły się wić i przeżyć, podczas gdy mrówki odkryły ich świeże, różowe mięso.

– To chore, Woof – powiedziałem. – To naprawdę chore.

– Tam znalazłem kilka czarnych – powiedział. Wskazał na kamień leżący po drugiej stronie ganku. – Wiesz, takie duże. Mam zamiar je zebrać i wrzucić je tutaj. Rozpocznę wojnę mrówek. Chcesz się założyć, kto wygra?

– Czerwone – powiedziałem. – Czerwone zawsze wygrywają.

To była prawda. Czerwone mrówki były okrutne. A ta gra nie była dla mnie czymś nowym.

– Mam inny pomysł – powiedziałem. – Może włożysz tam swoją rękę? Udawaj, że jesteś potomkiem King Konga czy coś w tym rodzaju.

Spojrzał na mnie. Mógłbym przysiąc, że rozważał to przez chwilę. Potem uśmiechnął się.

– Nie – odparł. – To głupie.

Wstałem. Dżdżownice wciąż się wily.

– Na razie, Woof – powiedziałem.

Wbiegłem po schodach prowadzących na ganek. Zapukałem do drzwi i wszedłem do środka, nie czekając na zaproszenie.

Donny leżał na kanapie ubrany tylko w parę pogniecionych białych bokserek. Choć był zaledwie trzy miesiące starszy ode mnie, to jego ramiona i klatka piersiowa były znacznie większe. A ostatnio zaczął mu rosnać całkiem pokaźny brzuch. Pod tym względem szedł w ślady swojego brata Williego Juniora. To nie był piękny widok, a ja zastanawiałem się, gdzie była teraz Meg.

Spojrzał na mnie, odrywając wzrok od egzemplarza „Człowieka Gumy.” Osobiście przestałem czytać komiksy, odkąd w pięćdziesiątym czwartym zaniechano wydawania „Pajęczyny Tajemnic”.

– Co słyhać, Dave?

Ruth prasowała. Deska ustawiona była w rogu pokoju, a ten intensywny, specyficzny zapach rozgrzanej czystej tkaniny wyraźnie unosił się w powietrzu.

Rozejrzałem się.

– W porządku. Gdzie reszta?

Wzruszył ramionami.

– Na zakupach.

– Willie poszedł na zakupy? Żartujesz.

Odłożył komiks, wstał, uśmiechnął się i podrapał pod pachą.

– Nie. Willie poszedł na dziewiątą do dentysty. Willie ma próchnicę. Niezły odjazd, co?

Donny i Willie Junior urodzili się w półtoragodzinnym odstępie. Z jakiegoś powodu Willie Junior miał problemy z zębami, a Donny nie. Ciagle był u dentysty.

Zaśmialiśmy się.

– Słyszałem, że ją poznałeś.

– Kogo? – zapytałem. Donny spojrział na mnie. Chyba nie dał się oszukać. – Aaa, twoją kuzynkę. Tak. Przy Skale, wczoraj. Złapała raka za pierwszym razem.

Donny skinął głową.

– Tak, dobra jest – powiedział.

To nie była wyjątkowo entuzjastyczna pochwała, ale jeżeli chodziło o Donny'ego, kiedy mówił o dziewczynie, to było naprawdę coś ekstra.

– Dobra – powiedział. – Poczekaj tutaj chwilę, ja się ubiorę i zobaczymy, co porabia Eddie.

Jęknąłem.

Ze wszystkich dzieciaków mieszkających przy Laurel Avenue Eddie był osobą od której próbowałem trzymać się z daleka. Eddie był stuknięty.

Pamiętam, jak kiedyś Eddie szedł rozebrany do pasa środkiem ulicy, podczas gdy my graliśmy w baseball. Chłopak wetknął sobie w zęby czarnego węża. Miłośnik przyrody. Rzucił nim w Woofera, który zaczął krzyczeć, a potem w Billy'ego Borkmana. W sumie podnosił go i rzucał we wszystkie dzieci, goniąc je i wymachując nim, aż w końcu wąż od wielokrotnych uderzeń o ziemię przestał się ruszać i zabawa się skończyła.

Eddie oznaczał kłopoty.

Eddie uważał, że dobra zabawa była wtedy, kiedy robiło się coś niebezpiecznego lub nielegalnego, a najlepiej obie te rzeczy naraz. Na przykład chodzenie po belkach jeszcze nieskończonego domu lub rzucanie jabłkami w samochody z mostu, w nadziei, że ujdzie ci to na sucho. Jeżeli ciebie złapali lub jeżeli się skaleczyłeś, to było w porządku, to było zabawne. Jeżeli jego złapali lub on się skaleczył, to wciąż była świetna zabawa.

Linda i Betty Martin przysięgały, że kiedyś widziały, jak Eddie odgryza żabie głowę. Nikt nie śmiał w to wątpić.

Jego dom znajdował się na końcu ulicy, na wzgórzu po przeciwnej stronie, a Tony i Lou Morino mieszkający obok mówili, że słyszą jak jego ojciec nieustannie go bije. Praktycznie każdego wieczoru. Jego matka i siostra też obrywały. Pamiętam jego mamę, dużą łagodną kobietę o pulchnych szorstkich dłoniach, płaczącą nad filiżanką kawy, którą piła z moją mamą. Miała podbite oko.

Mój tata mówił, że pan Crocker był miły, kiedy był trzeźwy, a po pijaku stawał się bestią. Nie wiedziałem o tym, jednak Eddie odziedziczył po swoim ojcu temperament i nigdy nie było wiadomo, czy w danej chwili rzuci się na ciebie, chwytając za najbliższą leżącą kij, kamień lub użyje własnych rąk. Wszyscy mieliśmy jakieś blizny. Nie raz byłem obiektem jego przemocy. Na ile się dało, próbowałem trzymać się od niego z daleka.

Donny i Willie jednak go lubili. Życie z Eddiem było ekscytujące, przyznaję. Mimo że Eddie był szurnięty. Przy nim także inni zaczynali wariować.

– Zrobimy tak – powiedziałem. – Odprowadzę cię, ale nie zostanę z wami.

– E tam, daj spokój.

– Mam lepsze rzeczy do roboty.

– Jakie rzeczy?

– Po prostu lepsze.

– Co będziesz robił? Pójdiesz do domu i będziesz słuchał płyt Perry’ego Como z kolekcji twojej matki?

Spojrzałem na niego. Wiedział, że to na mnie podziała. Wszyscy byliśmy fanami Elvisa. Zaśmiał się.

– Wyluzuj, koleś. Poczekaj tu minutę. Zaraz wracam.

Pobiegł wzdłuż korytarza do swojej sypialni, a ja zacząłem się zastanawiać, jak rozwiązałem kwestię pokoi, kiedy Meg i Susan mieszkają teraz z nimi. Podeszedłem do kanapy i sięgnąłem po egzemplarz „Człowieka Gumi”. Przewertowałem strony i odłożyłem komiks na miejsce. Potem wyszedłem z salonu do jadalni, gdzie czyste pranie leżało złożone na stole, aż w końcu doszedłem do kuchni. Otworzyłem lodówkę. Jak zawsze było w niej tyle jedzenia, że wystarczyłoby dla sześćdziesięciu osób. Krzyknąłem do Donny’ego.

– Mogę sobie wziąć coś?!

– Pewnie. Otwórz też jedną dla mnie.

Wyjąłem butelkę i sięgnąłem po otwieracz. Szuflada z narzędziami kuchennymi była idealnie uporządkowana. Zawsze dziwiłem się, że Ruth miała tyle jedzenia, jednak wszystkich sztućców było tylko po pięć sztuk – pięć łyżeczek, pięć widelców, pięć noży, pięć noży do steków i żadnych dużych łyżek. Z tego, co mi było wiadomo, Ruth nigdy nie miała gości. Jednak teraz mieszkało tu sześć osób. Zacząłem się zastanawiać, czy Ruth wreszcie się złamie i pójdzie kupić więcej sztućców.

Otworzyłem butelki. Donny wyszedł, a ja podałem mu jedną. Miał na sobie dzinsy, trampki marki Keds oraz koszulkę, która ciasno przylegała do brzucha. Poklepałem go lekko w tym miejscu.

– Pilnuj się lepiej, Donald – powiedziałem.

– Sam się pilnuj, pedale.

– Taa, jasne, teraz jestem pedałem, tak?

– Jesteś debilem.

– Jestem debilem? A ty jesteś poczwara.

– Poczwara? Dziewczyny są poczwarami. Dziewczyny i pedały. Ty jesteś poczwara. Ja jestem władcą.

Te słowa przypieczętował kuksańcem w moje ramię, ja mu oddałem i przez chwilę przepychaliśmy się nawzajem.

Donny i ja byliśmy tak bliscy bycia najlepszymi przyjaciółmi, jak tylko chłopcy mogli być w tamtych czasach.

Wyszliśmy tylnymi drzwiami do ogrodu, wokół podjazdu, który zaprowadził nas do frontowej części domu i ruszyliśmy do Eddiego. Ignorować chodnik to była kwestia honoru. Szliśmy środkiem ulicy. Popijaliśmy colę. Na naszej ulicy i tak nigdy nie było żadnego ruchu.

– Twój brat zabija dżdżownice w ogrodzie – powiedziałem.

Spojrzał na mnie przez ramię.

– Słodki mały gostek, prawda?

– Więc jak ci się to podoba? – zapytałem.

– Podoba co?

– Że Meg i Susan mieszkają z wami.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Po prostu tutaj przyjechały.

Wziął łyk coli, beknął i uśmiechnął się.

– Chociaż ta Meg jest całkiem fajna. Cholera! To moja kuzynka.

Nie chciałem tego komentować, jednak zgadzałem się z nim.

– Daleka kuzynka. To różnica krwi czy coś takiego. Nie wiem. Nigdy wcześniej ich nie widziałem.

– Nigdy? – zdziwiłem się.

– Moja mama mówi, że tylko raz. Byłem zbyt mały, by to pamiętać.

– Jaka jest jej siostra?

– Susan? Nijaka. To dzieciak. Ile ona ma lat, jedenaście?

– Woofers ma tylko dziesięć.

– No właśnie. A kim jest Woofers?

Tutaj nie mogłem się kłócić.

– Została poważnie ranna w tym wypadku.

– Susan?

Skinął głową i palcem wskazał na mój pas.

– Tak. Złamane wszystko odtąd w dół, tak mówi mama. Każda kość. Biodra, nogi, wszystko.

– Jezu.

– Nadal ma problemy z chodzeniem. Jest cała odrutowana. Ma te, jak one się nazywają metalowe rzeczy, te patyki, które zakładają ci na nogi i poruszasz się z ich pomocą. Używają ich też dzieci z porażeniem. Zapomniałem, jak się nazywają. Takie jakby kule.

– Jezu. Czy kiedyś znów będzie chodzić?

– Przecież chodzi.

– Mam na myśli normalnie.

– Nie wiem.

Wypiliśmy colę. Byliśmy już prawie na samym szczycie wzgórza. Zbliżała się chwila, w której powinienem go zostawić. W przeciwnym wypadku czekało mnie spotkanie z Eddiem.

– Oni oboje umarli – powiedział.

Tak po prostu.

Oczywiście wiedziałem, kogo miał na myśl, jednak przez chwilę mój umysł nie chciał przyjąć tego do wiadomości. Nie od razu. To pojęcie było zbyt abstrakcyjne.

Rodzice nie umierają tak po prostu. Nie na mojej ulicy. A już na pewno nie w wypadkach samochodowych. Takie rzeczy działy się gdzie indziej, w miejscach bardziej niebezpiecznych od Laurel Avenue. Zdarzały się w filmach albo w książkach. Słyszało się o nich w wieczornych wiadomościach.

Laurel Avenue była ślepą ulicą po której chodziło się środkiem.

Wiedziałem jednak, że Donny nie kłamał. Pamiętam, jak Meg nie chciała rozmawiać o wypadku i o bliźnach.

Wiedziałem, że nie kłamał, jednak trudno było się z tym pogodzić.

Szliśmy obok siebie, ja milczałem i wlepiąłem w niego wzrok, tak naprawdę go nie widząc.

Spotkanie z Meg.

To była naprawdę wyjątkowa chwila.

Meg wywarła wtedy na mnie piorunujące wrażenie.

Nie chodziło tylko o to, że była ładna, mądra, czy o to, że radziła sobie z przejściem przez rzekę. Ona była niemal nierealna, jak nikt inny kogo do tej pory spotkałem lub miałem spotkać w rzeczywistym świecie, poza ekranem kin. Była fikcyjna, zupełnie jak postać z filmu.

Wyobraziłem ją sobie ponownie przy Skale i ujrzałem tę dzielną osobą leżącą obok mnie. Zobaczyłem horror. Cierpienie, przetrwanie, katastrofę.

Tragedię.

Wszystko to w jednym momencie.

Miałem chyba otwarte usta. Donny musiał pomyśleć, że nie załapałem, o kim mówi.

– Rodzice Meg, tępaku. Oboje. Moja mama mówi, że zginęli na miejscu. Nawet nie wiedzieli, co w nich uderzyło. – Prychnął. – Faktem jest, że uderzył w nich chrysler.

Być może to jego zwyczajny, głupkawy ton sprowadził mnie z powrotem na ziemię.

– Widziałem bliźnę na jej ramieniu – powiedziałem.

– Taa, ja też ją widziałem. Ładna, co? Chociaż powinieneś zobaczyć Susan. Ma bliźny wszędzie. Są duże. Moja mama mówi, że ona ma szczęście, że żyje.

– Pewnie tak.

– W każdym razie, tak się tu znalazły. Nie mają nikogo innego. Miały do wyboru nas albo sierociniec.

Uśmiechnął się.

– Szczęściary, co?

A potem powiedział coś, co powróciło do mnie później. Wtedy uważałem, że być może była to prawda, jednak z jakiegoś powodu zapamiętałem to. Zapamiętałem to dobrze.

Powiedział to, gdy dotarliśmy już do domu Eddiego.

Widzę siebie stojącego na środku ulicy, gdy już miałem odwrócić się i zejść z powrotem ze wzgórza, pójść gdzieś samotnie, bez towarzystwa Eddiego. Przynajmniej nie tamtego dnia.

Widzę, jak Donny, przechodząc przez trawnik na ganek, odwraca głowę, by rzucić słowa przez ramię. Swobodnie, niby od niechcienia, z dziwną szczerością jakby to było coś zwyczajnego.

– Moja mama mówi, że Meg jest szczęściarą – powiedział. – Moja mama mówi, że się jej upiekło.

Rozdział 4

Minęło półtora tygodnia, zanim znów ją zobaczyłem, nie licząc przelotnych spojrzeń tu i tam – raz wynosiła śmieci, innym razem plewiła ogródek. Teraz, kiedy znałem już całą historię, jeszcze trudniej było mi do niej podejść. Zżerała mnie nieśmiałość. Powtarzałem sobie słowa, które mógłbym jej powiedzieć. Nic nie brzmiało dobrze. Co można powiedzieć komuś, kto właśnie stracił połowę swojej rodziny? Stałbym tam wryty jak kamień, więc jej unikałem.

Potem moja rodzina i ja wybraliśmy się na coroczną obowiązkową wycieczkę do Sussex County, aby odwiedzić siostrę mojego taty, więc przez całe cztery dni nie musiałem o tym myśleć. To była niemal ulga. Niemal, ponieważ moi rodzice mieli się rozwieść za niecałe dwa lata i wycieczka była okropna. Trzy dni milczenia spędzone w samochodzie, przerywane sztucznymi, wesołymi pogaduszkami, które miały rozweselić ciotkę i wujka. Ale nie rozweseliły. Można było zobaczyć, jak ciotka i wujek patrzą na siebie raz po raz, jakby mówili: „Jezu, zabierzcie stąd tych ludzi”.

Wiedzieli. Wszyscy wiedzieli. Moi rodzice nie byli w stanie tego ukryć.

Ale kiedy wróciliśmy do domu, zacząłem myśleć o Meg. Nie wiem, dlaczego nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby o tym zapomnieć, albo że może ona nie chce, żeby jej przypominać o śmierci rodziców, i że nie chce o tym rozmawiać. Myślałem za to o tym, że muszę coś powiedzieć, a nie potrafię znaleźć odpowiednich słów. Nie chciałem zrobić z siebie kompletnego idioty w oczach Meg.

Myślałem też o Susan. Przez prawie dwa tygodnie w ogóle jej nie widziałem. To było sprzeczne z tym, co już wiedziałem. Jak można mieszkać obok kogoś i nigdy tej osoby nie widzieć? Myślałem o jej nogach i o tym, co powiedział Donny: jak bardzo paskudne miała blizny. Może bała się wyjść. To mogłem zrozumieć. Ostatnio sam spędzałem dużo czasu w domu, unikając jej siostry.

Nie mogłem jednak długo wytrzymać. Był wtedy pierwszy tydzień czerwca i zbliżał się Karnawał.

Pominięcie Karnawału było jak pominięcie całego lata.

Dokładnie naprzeciw nas, po drugiej stronie ulicy znajdował się budynek szkoły zwanej Central School. Chodziliśmy do niej wszyscy, gdy byliśmy małymi dziećmi, od pierwszej do piątej klasy. Każdego roku na placu zabaw organizowany był właśnie Karnawał. Gdy byliśmy na tyle duzi, że pozwalano nam samym przechodzić przez ulicę, szliśmy tam i patrzyliśmy na przygotowania.

Przez ten jeden tydzień, gdy byliśmy tak blisko, uważaliśmy się za najszcześniejsze dzieciaki w mieście.

Organizatorzy mieli koncesję tylko na zorganizowanie niektórych atrakcji – stoisk z jedzeniem, stoisk z grami, koła fortuny. Wszystkie karuzele były natomiast obsługiwane przez pracowników wesołego miasteczka. Ci ludzie byli dla nas niemal egzotyczni. Surowo wyglądający mężczyźni i kobiety, którzy pracowali z papierosami wetkniętymi między zęby, mrużący oczy w zetknięciu z kłębiącym się dymem, obnoszący dumnie swoje tatuaże i blizny, wdychający brud i pot. Nieustannie przeklinali i pili piwo, spluwając przy tym co chwila.

Kochaliśmy Karnawał i kochaliśmy tych ludzi. Musieliśmy. W jedno letnie popołudnie zabierali nasz plac zabaw i przeobrażali czarny asfalt i boisko do piłki nożnej w zupełnie nowe miasteczko namiotowe z wirującymi karuzelami. Robili to tak szybko, że ledwo co mogliśmy uwierzyć własnym oczom. To była magia, a wszyscy magicy mieli złote zęby oraz wyryte na swoich bicepsach napisy „kocham Velmę”. Nie można było się im oprzeć.

Tego dnia wciąż było całkiem wcześnie i gdy przyszedłem, rozładowywali jeszcze ciężarówki.

To był moment, kiedy nie można było z nimi porozmawiać. Byli zbyt zajęci. Później, gdy trwała instalacja lub kiedy testowali maszyny, można było podawać im narzędzia, a nawet dostać od nich łyk piwa. W końcu miejscowe dzieciaki były ich źródłem utrzymania. Chcieli, byś wrócił tu wieczorem z przyjaciółmi i rodziną. Wtedy zwykle byli przyjacielscy. Jednak rano trzeba było się przyglądać i trzymać się od nich z daleka.

Cheryl i Denise już tu były. Opierały się o ogrodzenie, wlepiając wzrok przez barierki.

Stanąłem obok nich.

Atmosfera wydała mi się napięta. Można się było domyślić, dlaczego. Było dopiero rano, a niebo już wyglądało na ciemne i groźne. Kiedyś, kilka lat temu, łało każdego wieczoru Karnawału, z wyjątkiem czwartku. Każdy przeklinał wtedy niewdzięczny los. Ludzie pracowali teraz w milczeniu, a na twarzach mieli ponure miny.

Domy Cheryl i Denise dzieliła jedna ulica. Były przyjaciółkami, jednak chyba tylko dlatego, że mieszkały blisko siebie. Nie miały ze sobą wiele wspólnego. Cheryl była wysoką chudą brunetką która prawdopodobnie za kilka lat mogłaby być ładna, jednak teraz miała wystające kości, była ode mnie wyższa i młodsza o dwa lata. Miała dwóch braci – Kenny’ego i Malcolma. Malcolm był małym dzieciakiem, który czasem bawił się z Woferem. Kenny był prawie w moim wieku, jednak chodził do niższej klasy.

Cała trójka była spokojna i grzeczna. Ich rodzice, Robertsonowie, potrafili wychować swoje dzieci.

Denise była siostrą Eddiego. Była zupełnie inna od swojej przyjaciółki.

Irytowała się z byle powodu, była nerwowa, prawie tak samo lekkomyślna jak jej brat, z wyraźną skłonnością do drwin. Jak gdyby cały świat był okrutnym żartem, a ona jako jedyna znała jego puente.

– To David – powiedziała. Nawet gdy wymawiała moje imię, dało się wyczuć drwinę. Nie podobało mi się to, jednak to zignorowałem. To był jedyny sposób, aby radzić sobie z Denise. Jeżeli ktoś nie reagował na jej uwagi, jeżeli ktoś jej się nie odgryzał, w końcu stawała się względnie normalna.

– Cześć Cheryl, cześć Denise. Jak im idzie?

– Myślę, że tam będą samochody – odparła Denise. – W tamtym roku stała tam ośmiornica.

– To wciąż może być ośmiornica – dodała Cheryl.

– Uhuu. Widzicie te platformy? – wskazała palcem na szerokie, metalowe blachy. – Samochody potrzebują platform. Poczekajcie, aż je wyjmą. Zobaczycie.

Miała rację. Kiedy wyjęli, stało się oczywiste, że samochody będą właśnie w tym miejscu. Tak jak jej ojciec i brat Eddie, Denise знаła się na urządzeniach mechanicznych i narzędziach.

– Martwią się o deszcz – powiedziała.

– Oni się martwią? – odparła Cheryl. – To ja się martwię!

Westchnęła głośno. Była w tym duża przesada. Uśmiechnąłem się. W Cheryl zawsze było coś uroczo poważnego. Po prostu czuło się, że jej ulubioną książką była „Alicja w Krainie Czarów”. Prawda była taka, że ją lubiłem.

– Nie będzie padać – stwierdziła Denise.

– Skąd wiesz?

– Po prostu nie będzie – powiedziała tak, jakby była w stanie powstrzymać pogodę.

– Widzicie to? – wskazała na ogromną białą-szarą ciężarówkę jadącą w kierunku środka boiska do piłki nożnej. – Założę się, że to diabelski młyn. Rok i dwa lata temu też był w tamtym miejscu. Chcecie zobaczyć?

– Pewnie – powiedziałem.

Ominęliśmy samochody i jakieś łódki, które właśnie wyładowywali, szliśmy wzdłuż ogrodzenia oddzielającego plac zabaw od rzeki, potem przeszliśmy obok namiotów, w których można było strzelać do butelek lub rzucać piłką do celu, aż w końcu znaleźliśmy się na boisku. Pracownicy obsługi karuzel właśnie otworzyli bramę dla ciężarówki. Namalowana, śmiejąca się głowa klauna znajdowała się pośrodku drzwi. Zaczęli wyjmować dźwigary.

Zdawało się, że stanie tutaj całkiem przyzwoity diabelski młyn.

Denise powiedziała.

– Mój tata mówi, że w zeszłym roku w Atlantic City ktoś z niego spadł. Podobno się za mocno wychylał. Ty tak robisz?

Cheryl zmarszczyła czoło.

– Oczywiście, że nie.

Denise popatrzyła na mnie.

– Założę się, że ty nigdy się nie wychylasz.

Zignorowałem jej ton. Denise musiała chyba ciężko nad tym pracować, by nieustannie sprawiać wrażenie nieznośnego bachora.

– Nie – odparłem. – A po co miałbym to robić?

– Bo to jest fajne!

Uśmiechała się i w tym momencie powinna ładnie wyglądać. Miała śliczne, białe zęby i delikatne usta. Jednak z uśmiechem Denise było coś nie tak. Zawsze było w nim coś obłąkanego. Jak gdyby w ogóle nie bawiła się dobrze, a tylko chciała, żeby inni tak myśleli.

Jej uśmiech zniknął równie szybko, jak się pojawiał. To działało mi na nerwy.

Zniknął również i teraz, po czym powiedziała coś tak cicho, że tylko ja byłem w stanie to usłyszeć.

– Wcześniej miałam na myśli Grę.

Spojrzała na mnie z szeroko otwartymi oczyma i poważnym wyrazem twarzy, jak gdyby za chwilę miało nadejść coś jeszcze, coś bardzo ważnego. Czekałem. Pomyślałem, że może ona oczekuje ode mnie odpowiedzi. Milczałem. Odwróciłem wzrok ku ciężarówce.

Gra, pomyślałem. Pięknie.

Nie lubiłem myśleć o Grze. Jednak tak długo jak Denise i cała reszta mieszkali tutaj, chyba nie miałem innego wyjścia.

To zaczęło się wczesnym latem zeszłego roku. Nasza paczka – ja, Donny, Willie, Woofers, Eddie, Tony i Lou Morino, i w końcu później Denise – spotkała się w sadzie, żeby zagrać w to, co nazywaliśmy Komandosem. Graliśmy w to tak często, że później była to po prostu Gra.

Nie mam pojęcia, kto ją wymyślił. Może Eddie, a może bracia Morino. Po prostu zagraliśmy w nią jednego dnia i odtąd zawsze z nami była.

W Grze jedno dziecko było „tym”. Komandosem. Jego bezpiecznym terytorium był sad. Reszta z nas była plutonem żołnierzy, który miał swoją bazę kilkadziesiąt metrów dalej, na małym wzgórzu obok rzeki, gdzie kiedyś, jako młodsze dzieciaki, bawiliśmy się, udając Elvisa.

Byliśmy dziwną grupą żołnierzy, którzy nie mieli broni. Chyba straciliśmy ją w jakiejś bitwie. Jednak Komandos miał broń – jabłko z sadu. Tyle, ile zdołał unieść.

Teoretycznie miał też prawo do zaskoczenia. Kiedy był gotów, mógł opuścić sad i zakraść się do naszego obozu. Przy odrobinie szczęścia mógł uderzyć przynajmniej jednego z

nas jabłkiem, nie będąc zauważonym. Jabłka były bombami. Jeżeli oberwałś bombą byłeś martwy i wykluczony z gry. Celem było uderzenie jak największej liczby osób, zanim ktoś zdoła cię złapać.

Ale zawsze zostałeś złapany. O to właśnie chodziło.

Komandos nigdy nie wygrywał.

Zawsze go złapali, ponieważ reszta siedziała na wzgórzu, obserwując i czekając. Zawsze go dostrzegli, chyba że trawa była bardzo wysoka lub miał dużo szczęścia. Tyle, jeżeli chodzi o element zaskoczenia. Po drugie, zawsze było siedmiu na jednego, a Komandos miał tylko jedną bezpieczną bazę w sadzie, która znajdowała się bardzo daleko od wzgórza. Więc oto biegł jak szalony do bazy, rzucając przez ramię bomby, z bandą dzieciaków za plecami, deptających mu po piętach jak zgraja wściekłych psów. Może załatwił dwójkę czy trójkę, ale w końcu i tak go dopadali.

A to, jak powiedziałem wcześniej, był właśnie cel.

Schwytany Komandos był przywiązywany do drzewa w sadzie, ręce związane z tyłu, nogi uwiązane razem.

Był zakneblowany. Na oczach miał opaskę.

Ci, którzy przetrwali, mogli zrobić z nim, co tylko chcieli, podczas gdy inni – nawet „martwi” – byli obserwatorami.

Czasem było zabawnie, czasem nie.

Atak trwał może z pół godziny.

Egzekucja mogła trwać nawet cały dzień.

A co najgorsze, była przerażająca.

Eddie, jak zwykle, potrafił wywinać się śmierci. Przez połowę gry bałeś się go schwytać. Mógł rzucić się na siebie, łamać zasady, a Gra w końcu stawiała się krwawą gwałtowną bijatyką. A jeżeli udało się go złapać, zawsze pojawiał się problem, jak go wypuścić. Jeżeli zrobiło się coś, co mu się nie podobało, to równie dobrze mogłeś wypuścić rój pszczół.

To Eddie wprowadził do gry swoją siostrę.

A kiedy Denise stała się częścią Gry, wszystko się zmieniło.

Nie od razu. Na początku było jak zwykle. Wszyscy mieli swoją kolej, ja czekałem na swoją z tym wyjątkiem, że teraz była z nami dziewczyna.

Jednak później zaczęliśmy udawać, że musimy być dla niej mili. Zamiast czekać na swoją kolej, pozwoliliśmy jej być tym, kim chciała. Żołnierzem albo Komandosem. Bo była nowa w Grze, bo była dziewczyną.

A ona zaczęła udawać, że ma tę obsesję, że złapie nas wszystkich, zanim my złapiemy ją. Jakby było to dla niej wyzwanie. Każdy kolejny dzień miał być tym, w którym w końcu wygra.

Wiedzieliśmy, że to niemożliwe. Zawsze dała się zabić.

Denise nigdy nie wygrała.

Miała dwanaście lat, kręcone kasztanowe włosy i piegi na całym ciele.
Zaczęły jej rosnać piersi. Miała blade, sterczące sutki.

Myślałem o tym wszystkim i utkwilem wzrok w ciężarówce, obserwowałem pracowników i dźwigary. Jednak Denise nie dawała mi spokoju.

– Jest lato – powiedziała. – Dlaczego więc nie gramy?

Wiedziała dobrze, dlaczego nie gramy, jednak po części miała rację. Powodem, dla którego nie graliśmy w Grę, była pogoda. Było zbyt zimno. Ale było jeszcze coś. Poczucie winy.

– Jesteśmy już trochę na to za duzi – skłamałem.

Wzruszyła ramionami.

– Aha. Może. A może po prostu tchórzycie chłopaki?

– Może. Mam pomysł. Zapytaj swojego brata, czy jest tchórzem.

Zaśmiała się.

– Taa. Jasne.

Niebo było coraz ciemniejsze.

– Będzie padać – powiedziała Cheryl.

Ludzie pracujący przy karuzeli chyba pomyśleli o tym samym. Razem z dźwigarami wyjmowali płachty i zaczęli rozciągać je nad trawą. Pracowali szybko, próbując przymocować wielkie koło, zanim spadnie deszcz. Rozpoznałem jednego z nich, pamiętałem go z zeszłego lata. Był to żyłasty południowiec o jasnych włosach, który dał Eddiemu papierosa, o którego prosił. Nazywał się chyba Billy Bob albo Jimmy Bob. Tylko dlatego go zapamiętałem. Teraz przykręcał części koła przy pomocy dużego śrubokrętu, śmiejąc się do grubego faceta stojącego obok. Jego śmiech był głośny i wysoki, prawie kobiecy.

Słysząc było brzęk śrubokrętu i ryk silników ciężarówek, pracę generatorów i zgrzyt maszynarii. A potem nagle staccato kropli, bicie deszczu spadającego na zakurzone boisko.

– Nadchodzi!

Zdjąłem koszulkę i naciągnąłem na głowę. Cheryl i Denise już biegły w kierunku drzew.

Mój dom był bliżej od ich domów. Tak naprawdę nie miałem nic przeciwko temu, że padało. Była to dobra wymówka, by uciec na chwilę. Uciec od Denise.

Nie mogłem uwierzyć, że chciała rozmawiać o Grze.

Nie zapowiadało się na to, by deszcz padał długo. Był zbyt intensywny. Może kiedy przestanie, jakieś inne dzieciaki pojawią się w pobliżu. Mógłbym ją wtedy zgubić.

Pobiegłem za nimi, by schować się pod drzewa.

– Idę do domu! – powiedziałem.

Włosy Denise przykleiły się do jej policzków i czoła. Znow się uśmiechała. Jej koszulka była całkiem przemoczona. Cheryl wyciągnęła do mnie rękę. Tę długą kościstą rękę.

– Możemy iść z tobą? – zapytała.

Udałem, że nie słyszę. Deszcz był całkiem głośny tutaj, pod drzewami, więc pomyślałem, że sobie odpuści. Zacząłem biec.

Denise i Eddie, pomyślałem. Rety! Co za para.

Jeżeli ktokolwiek wpakuje mnie kiedyś w kłopoty, to będą oni. Jedno albo drugie lub oboje naraz. Nie mogło być inaczej.

Ruth stała na podjeździe i wyjmowała listy ze skrzynki, podczas gdy ja przebiegłem obok jej domu. Obróciła się w drzwiach wejściowych, pomachała mi.

Woda spływała kaskadą po ulicy.

Rozdział 5

Nigdy nie dowiedziałem się, co poróżniło moją mamę i Ruth. Miałem wtedy osiem albo dziewięć lat.

Kiedyś, na długo przedtem zanim pojawiły się Meg i Susan, sypiałem u nich z Donnym, Williem i Woferem na piętowych łózkach, które mieli w swoim pokoju. Willie miał zwyczaj wskakiwania do łóżka, więc przez lata zniszczył kilka z nich. On zawsze się na coś rzucał. Ruth opowiadała, że gdy miał dwa albo trzy lata, kompletnie zniszczył swoje łóżeczko. Wszystkie kuchenne krzesła ledwo trzymały się na nogach. Jednak łózka, które mieli w sypialni, były wytrzymałe. Przetrwały.

Od czasu tajemniczego wydarzenia pomiędzy Ruth i moją mamą nie mogłem nocować u nich zbyt często.

Jednak pamiętam te wcześniejsze noce, kiedy byliśmy dziećmi. Leżeliśmy w ciemnościach, śmiejąc się przez godzinę czy dwie, szepcząc, chichocząc, plując na tego, kto spał na dole, a Ruth wchodziła i krzyczała, żebyśmy wreszcie zasnęli.

Noce, które lubiłem najbardziej, to noce, kiedy odbywał się Karnawał. Przez otwarte okno sypialni, wychodzące na plac zabaw, słyszeliśmy muzykę, krzyki, huk pracującej maszynierii.

Niebo było pomarańczowo-czerwone, jakby w lesie szalał ogień, z niebieską poświatą od wirującej ośmiornicy, ledwo widocznej zza drzew.

Wiedzieliśmy, jak tam jest, zresztą niedawno tam byliśmy, a nasze ręce wciąż kleiły się od waty cukrowej. Jednak było to niezwykle przeżycie, leżeć i słuchać do późna w ciszy, zazdroszcząc dorosłym i nastolatkom, wyobrażając sobie, jaki dreszczyk emocji towarzyszy przejażdżkom na karuzelach, na które my byliśmy za mali. Później odgłosy i światła powoli znikwały, a zastępował je śmiech ludzi idących do swych samochodów, zaparkowanych przy naszej ulicy.

Obiecałem sobie, że kiedy będę już wystarczająco duży, to wyjadę stamtąd jako ostatni.

A teraz stałem sam przy budce, jedząc trzeciego hot doga tego wieczoru i zastanawiając się, co do diabła ze sobą począć.

Przejechałem się już na wszystkich karuzelach, na których mi zależało. Straciłem pieniądze na każdej grze i kole fortuny, jakie tam się znajdowały, a jedyne, co wygrałem, to mały, porcelanowy pudel dla mojej mamy, wepchnięty teraz głęboko do kieszeni.

Zjadłem lukrowane jabłko, lody i kawałek pizzy.

Włóczyłem się trochę z Kennym i Malcolmem, dopóki Malcolmowi zrobiło się niedobrze podczas jazdy na karuzeli, potem z Tonym i Lou Morino oraz Lindą i Betty Martin, aż w końcu wszyscy poszli do domu. Było całkiem fajnie, ale teraz zostałem tylko ja. Była dziesiąta.

Zostały jeszcze dwie godziny do zamknięcia.

Wcześniej widziałem Woofera. Jednak Donny i Willie Junior nie pojawili się wcale, tak samo jak Ruth, Meg czy Susan. To było dziwne, ponieważ zwykle w czasie Karnawału Ruth zawsze tutaj była. Pomyślałem, żeby przejść przez ulicę i zobaczyć, co się tam dzieje, jednak to oznaczałoby przyznanie się do tego, że się nudzę. Nie byłem na to gotowy.

Postanowiłem poczekać jeszcze chwilę.

Dziesięć minut później przyszła Meg.

Próbowałem swojego szczęścia na loterii, zastanawiając się nad zjedzeniem kolejnego jabłka, kiedy ją zobaczyłem. Szła powoli przez tłum, ubrana w dzinsy i jaskrawą zieloną bluzkę. Nagle uczucie onieśmienia zniknęło. Byłem zdumiony. Może wcześniej nie byłem gotowy na to spotkanie. Poczekaj, aż znów przegram, stawiając na czerwoną siódmkę i zacząłem iść w jej stronę.

Czułem się, jakbym jej w czymś przerywał.

Meg patrzyła na diabelski młyn jak zafascynowana, odgarniając do tyłu pasmo rudych włosów. Dostrzegłem coś błyszczącego na jej palcu, kiedy opuszczała rękę.

To była całkiem szybka karuzela. Na górze dziewczyny zawsze głośno piszczały.

– Cześć, Meg – powiedziałem.

Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się.

– Cześć, David.

Potem znów zaczęła wpatrywać się w młyn. Można było zauważyć, że nigdy na nim nie była. Zdradzał to sposób, w jaki patrzyła. Co to za życie, pomyślałem.

– Fajny, co? Jest szybszy od innych.

Znów na mnie spojrzała, była podekscytowana.

– Naprawdę?

– O tak. Jest szybszy od tego w wesołym miasteczku. Szybszy nawet od tego w parku rozrywki.

– Jest piękny.

Zgadzałem się z nią. Lubiłem ten płynny ruch wykonywany przez koło, a także prostotę wykonania, której nie miały wymyślne karuzele. Wtedy nie potrafiłem tego nazwać, jednak zawsze uważałem, że ten młyn był pełen gracji, był romantyczny.

– Chcesz spróbować?

Usłyszałem entuzjazm w swoim własnym głosie i modliłem się o śmierć. Co ja robię? Ta dziewczyna była ode mnie starsza. Być może nawet o trzy lata. Zwariowałem.

Próbowałem się wycofać.

Może namieszałem jej w głowie.

– To znaczy, pojedę z tobą jeśli chcesz. Jeśli się boisz. Nie mam nic przeciwko.

Zaśmiała się. Czułem się, jakby ktoś odsunął ostrze noża od mojego gardła.

– Chodź – powiedziała.

Złapała mnie za rękę i pociągnęła za sobą.

W jakiś sposób kupiłem nam bilety, weszliśmy do wagonika i usiedliśmy. Pamiętam jedynie dotyk jej dłoni, ciepły i suchy oraz długie, smukłe palce. Ten dotyk i moje jasnoczerwone policzki przypominały mi, że miałem dwanaście lat, a siedziałem w wagoniku z niemal dojrzałą kobietą.

Gdy posuwaliśmy się w górę, czekając, aż zapełnią się kolejne wagony, pojawił się odwieczny problem, co powiedzieć. Rozwiązałem go, nie mówiąc nic. Wydawało się, że jej to odpowiada. W ogóle nie była zdenerwowana. Wyglądała na zrelaksowaną i zadowoloną, że jest tutaj, spoglądała na tłum ludzi przybyłych na Karnawał, na światła, domy, przejeżdżające samochody, uśmiechając się i nucąc melodię, której nie znałem.

Wreszcie młyn zaczął się kręcić, a ona zaczęła się śmiać. Pomyślałem, że to najradośniejszy, najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem i czułem się dumny, że uczyniłem ją szczęśliwą i sprawiłem, że się śmieje.

Tak jak mówiłem, młyn był szybki, a na górze panowała prawie kompletna cisza. Wszystkie odgłosy Karnawału zniknęły, a potem znów nurkowaliśmy w dół, potem znów szybowaliśmy w górę, gdzie czułem się tak lekko w chłodnym wietrze, że aż miałem ochotę wyskoczyć poza barierkę i polatać przez chwilę.

Spojrzałem na jej dłoń spoczywającą na barierce i wtedy zobaczyłem obrączkę. W świetle księżycy wyglądała na bladą i delikatną. Błysnęła.

Udawałem, że podziwiam widok z góry, jednak to jej uśmiech i podekscytowanie w oczach podobały mi się najbardziej, i sposób, w jaki wiatr rozwiewał delikatnie jej bluzkę w okolicy piersi.

Kiedy byliśmy w połowie przejażdżki, młyn przyspieszył, poruszając się z największą lekkością i elegancją. Patrzyłem na nią, na jej śliczne oczy, ogarniające najpierw konstrukcję młyna, potem ciemny budynek szkoły i brązowe namioty miasteczka karnawałowego. Wiatr rozwiewał włosy Meg i omiatał jej policzki, a kiedy wstaliśmy, nagle dotarło do mnie, jak się musiała czuć po śmierci rodziców. To było jak przekleństwo, a ja pomyślałem, że to niesprawiedliwe. Mogę jej dać tylko tyle i to nie było sprawiedliwe.

Uczucie zniknęło. Kiedy przejażdżka dobiegła końca i czekaliśmy, aby wysiąść, pozostała już tylko przyjemność z tego, że była szczęśliwa i pełna życia.

Teraz mogłem mówić.

– Jak ci się podobało?

– Boże, było super! Davidzie, przekonujesz mnie do różnych rzeczy.

– Chyba nigdy tym nie jechałaś.

– Moi rodzice... Wiem, że zawsze chcieli nas gdzieś zabrać. Do parku rozrywki. Nie zdążyli.

– Słyszałem o... wszystkim. Bardzo mi przykro.

Nareszcie. Wydusiłem to z siebie.

Skinęła głową.

– Najgorsza jest tęsknota za nimi i świadomość, że już nigdy nie wrócą. Czasem zapominasz i myślisz: Boże, chciałabym, żeby zadzwonili. Tęsknisz. Zapominasz, że odeszli na zawsze. Czy to nie dziwne? Nie szalone? A potem łapiesz się na tym... I wracasz do rzeczywistości. Ale często o nich śnię. Wciąż żyją w moich snach. Jesteśmy szczęśliwi.

Widziałem łzy zbierające się w jej oczach. Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

– Nie mówmy już o tym – powiedziała.

Byliśmy już prawie na dole, przed nami zostało jeszcze pięć, sześć wagoników. Spojrzałem na barierkę i znów zauważyłem obrączkę Meg. Spostrzegła, że na nią patrzę.

– To obrączka mojej mamy – powiedziała. – Ruth nie lubi, gdy ją noszę, ale moja mama byłaby szczęśliwa. Nie chcę jej zgubić. Nie mogę jej zgubić. Nigdy.

– Jest ładna. Piękna.

Uśmiechnęła się.

– Lepsza niż moje blizny?

Zaczerwieniłem się, jednak to było w porządku. Tylko żartowała.

– Znacznie lepsza.

Młyn znów ruszył w dół. Zostały jeszcze dwa wagony. Czas płynął jak we śnie, jednak uciekał zbyt szybko. Nie chciałem, żeby to się skończyło.

– Więc jak ci się tam podoba? – zapytałem.

– U Chandlerów? – Wzruszyła ramionami. – Jest w porządku. Nie jak w domu. Nie tak, jak było kiedyś. Ruth jest trochę... zabawna. Ale myślę, że chce jak najlepiej.

Zamilkła na chwilę.

– Woofers jest nieco dziwny.

– Nie musisz mi tego mówić.

Zaczęliśmy się śmiać. Chociaż ta uwaga o Ruth trochę mnie zdziwiła. Pamiętam tę rezerwę w jej głosie, chłód, który wyczułem podczas pierwszego spotkania przy rezece.

– Zobaczymy – powiedziała. – Chyba muszę się przyzwyczaić.

Dotarliśmy na dół. Jeden z pracowników podniósł barierkę i przytrzymał wagonik, żebyśmy mogli wyjść. Ledwo go zauważyłem. Wysiedliśmy.

– Powiem ci o jednej rzeczy, której nie lubię – odezwała się Meg.

Wypowiedziała te słowa prawie szeptem, jak gdyby podejrzewała, że ktoś może usłyszeć i komuś donieść. Zabrzmiało, jakbyśmy byli spiskowcami, jedynymi wtajemniczonymi osobami.

Podobało mi się to. Pochyliłem się bliżej.

– Tej piwnicy – powiedziała. – W ogóle jej nie lubię. Tego schronu.

Rozdział 6

Wiedziałem dobrze, co ma na myśli.

W swoim czasie Willie Chandler Senior był bardzo użyteczny.

Użyteczny i nieco paranoiczny.

Wydaje mi się więc, że kiedy Chruszczow powiedział Stanom Zjednoczonym „zrównamy was z ziemią”, Willie Senior odparł coś w stylu „takiego wała” i zbudował sobie schron w piwnicy.

To było jedno pomieszczenie w obrębie drugiego, trzy na dwa i pół metra szerokie i wysokie na niecałe dwa metry, zaprojektowane ściśle według wskazówek rządu. Szło się schodami prowadzącymi z kuchni w dół, przechodziło obok puszek z farbą ułożonych niedaleko stopni, zlewu, pralki i suszarki. Potem trzeba było skręcić za rogiem i przechodziło się przez ciężkie, metalowe drzwi, które oryginalnie były drzwiami chłodni. Nagle znajdowałeś się w środku betonowego pomieszczenia, w którym było przynajmniej o dziesięć stopni chłodniej niż w pozostałej części domu. Schron był wilgotny i ciemny.

Nie było tam światła ani prądu.

Willie przybił wsporniki do belek podtrzymujących podłogę w kuchni i dodatkowo wzmocnił ją grubymi, drewnianymi słupami. Workami z piaskiem zabezpieczył jedyne okno od zewnątrz budynku, a od wewnątrz zasłonił je ciężką i grubą metalową płytą. Schron wyposażył w podręczną gaśnicę, radio na baterie, siekierę, łom, latarkę, zestaw do udzielania pierwszej pomocy i butelki z wodą. Kartony z jedzeniem w puszkach leżały na małym, drewnianym stole, razem z kuchenką polową, podróznym zegarem i pompką do materacy zwiniętych w rogu.

Wszystko to zbudowane i kupione z pensji mleczarza.

Miał tam nawet kilof i łopatę, by móc się odkopać po wybuchu.

Jedyną rzeczą którą Willie pominął, a którą zalecał rząd, była przenośna toaleta.

Była zbyt droga. Zresztą Willie wyjechał, zanim zdążył ją kupić.

Teraz to miejsce wyglądało na zapuszczone – zapasy jedzenia posłużyły Ruth jako składniki obiadu, gaśnica spadła ze ściany, baterie w latarce i radiu były wyczerpane, a

wszystkie rzeczy były brudne i pokryte grubą warstwą trzyletniego kurzu. Ten schron przypominał Ruth o Williem. Nie zamierzała go posprzątać.

* * *

Bawiliśmy się tam czasami, jednak niezbyt często.

To miejsce było przerażające.

Wyglądało, jakby zbudowano w nim celę. Nie schron, który chronił przed zagrożeniem, ale czarną ciemną dziurę, by nie pozwolić komuś stamtąd wyjść.

W jakiś sposób jego centralne położenie zdominowało całą piwnicę. Bywałem tam, popijając colę, rozmawiając z Ruth, gdy robiła pranie i oglądałem się przez ramię, spoglądając na ten mroczny bunkier, tę betonową ścianę, która nieustannie pociła się, ociekała i pękała na powierzchni. Jak gdyby sama ściana była stara, chora i umierająca.

Czasem tam chodziliśmy i strasziliśmy siebie nawzajem.

Tak, do tego ten schron się nadawał. Do straszenia się nawzajem. I do niczego innego.

Używaliśmy go od czasu do czasu.

Rozdział 7

– Powiem wam, czego brakuje w tym przeklętym Karnawale: starego, dobrego wywijania tyłeczkami!

Był wtorkowy wieczór, drugi dzień Karnawału. Ruth oglądała serial, w którym Cheyenne Bodie któryś raz z rzędu staje w obronie miasta, a jakiś tchórzliwy burmistrz znów przypina mu odznakę do kowbojskiej koszuli. Cheyenne wyglądał na dumnego i zdeterminowanego.

Ruth trzymała piwo w jednej, a papierosa w drugiej dłoni, siedząc nisko w fotelu przy kominku. Wyglądała na zmęczoną. Jej długie nogi były wyciągnięte na podnóżku. Była boso.

Woofers spojrzał na nią z podłogi.

– Co to jest wywijanie?

– Wywijanie? Tańczące dziewczyny, Ralphie. To, i jeszcze występy dziwadł. Kiedy byłam w waszym wieku, mieliśmy obie te rzeczy. Kiedyś widziałam człowieka o trzech rękach.

Willie Junior spojrzał na nią.

– Niemożliwe – powiedział.

– Nie sprzeczasz się z matką. Widziałam. Widziałam człowieka, który miał trzy ręce. Jedną z nich był maleńki kikut i wychodził stąd.

Podniosła rękę i wskazała na swoją pachę, dokładnie ogoloną i gładką pod sukienką.

– Dwie pozostałe były normalne, takie jak wasze. Widziałam też krowę o dwóch głowach. Oczywiście była martwa.

Siedzieliśmy przed odbiornikiem w nieregularnym półkolu, Woofers na dywanie obok Ruth, ja, Willie i Donny na kanapie, a Eddie naprzeciw telewizora, tak że Woofers musiał się przesunąć, żeby coś zobaczyć.

W takich momentach nie trzeba było przejmować się Eddie. W jego domu nie było telewizora. Siedział jak zahipnotyzowany. Jeżeli ktokolwiek był w stanie nad nim zapanować, to tylko Ruth.

– Co jeszcze? – zapytał Willie Junior. – Co jeszcze widziałas?

Przeczesał dłonią swoje blond włosy. Zawsze to robił. Chyba lubił ich dotykać, chociaż nie mogłem sobie wyobrazić, jak mógł lubić dotykać tej tłustej, nabłyszczzonej grzywki z przodu.

– Głównie różne rzeczy w butelkach. Martwe noworodki. W formalinie. Małe, skurczone rzeczy: kozy, koty i tym podobne. To było dawno temu. Już nie pamiętam. Chociaż przypominam sobie faceta, który musiał ważyć dwieście albo trzysta kilo. Aż trzech gości musiało wyciągać go na scenę. Największy grubas, jakiego kiedykolwiek widziałam.

Zaśmialiśmy się, wyobrażając sobie trzech facetów, którzy musieli mu pomóc.

Wszyscy wiedzieliśmy, że Ruth uważała na swoją wagę.

– Mówię wam, takie mieliśmy karnawały, kiedy byłam dziewczynką.

Westchnęła.

Jej twarz była spokojna i rozmarzona. Zawsze taka była, kiedy myślami wracała do przeszłości. Dalekiej przeszłości. Nie do czasów małżeństwa z Williem Seniosem, ale do czasów młodości. Rysy i łuki stawały się delikatne, a jak na czyjąś matkę, była prawie piękna.

– Gotowi? – zapytał Woofers.

Dziś był jego wielki wieczór, mógł wyjść na Karnawał o tak późnej porze. Nie mógł się doczekać.

– Jeszcze nie. Dokończcie wodę. Ja wypiję piwo.

Zaciągnęła się mocno papierosem, zatrzymując przez chwilę dym i wypuszczając bez pośpiechu.

Tylko jedna osoba oprócz Ruth paliła papierosy w ten sposób: tata Eddiego. Złapała za puszkę z piwem i zaczęła pić.

– Powiedz coś więcej o tym wywijaniu – powiedział Willie.

Pochylił się do przodu obok mnie na kanapie. Jego ramiona się zaokrągliły i wyciągnęły do przodu.

W miarę jak Willie stawał się starszy i wyższy, jego postura była coraz bardziej przygarbiona. Ruth mówiła, że jeżeli dalej będzie tak rósł i wyginał się, skończy jako garbus. Dwumetrowy garbus.

– Właśnie – powiedział Woofers. – Co to było? Nie rozumiem.

Ruth zaśmiała się.

– To tańczące dziewczyny, mówiłam wam. Nie wiecie o tym? Pólnagie, przynajmniej niektóre z nich.

Podniosła wyblakłą sukienkę do połowy ud, przytrzymała przez chwilę, zafurkotała nią przed naszymi oczyma i opuściła z powrotem.

– Spódniczki dotąd – powiedziała. – I małe staniki, to wszystko. Może jakiś rubin w pępku czy coś podobnego. I małe czerwone koła namalowane tu i tu – wskazała na swoje sutki, palcami kreśląc powolne koła. Potem spojrzała na nas.

– Co o tym myślicie?

Czułem, jak się rumienię.

Woofers zaśmiał się.

Willie i Donny patrzyli na nią z podekscytowaniem.

Eddie nadal wgapiał się w telewizor.

Zaśmiała się.

– Wydaje mi się, że teraz nie będą czegoś takiego sponsorować. Nie ci chłopcy. Chociaż bardzo by tego chcieli. I to jak! Ale wszyscy mają żony. Cholerni hipokryci.

Ruth zawsze krytykowała organizatorów. Nie lubiła ich.

Przyzwyczajiliśmy się do tego.

Dopiła piwo i zgasiła papierosa. Wstała.

– Kończcie napoje, chłopcy – powiedziała. – Idziemy. Wychodzimy stąd. Meg? Meg Loughlin!

Ruth weszła do kuchni i wyrzuciła pustą puszkę do kosza.

W korytarzu otworzyły się drzwi jej pokoju i zobaczyliśmy Meg. Początkowo wyglądała na wystraszoną a ja pomyślałem, że to przez krzyki Ruth. Potem spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

Więc tak to rozwiązali, pomyślałem. Meg i Susan mieszkały w starym pokoju Ruth. To było logiczne, ponieważ ten był mniejszy. Jednak to także oznaczało, że albo Ruth spała na rozkładanej sofie, albo spała z Donnym, Woofere i Williem Juniorem. Zastanawiałem się, co powiedzieliby na to moi rodzice.

– Zabieram chłopców na Karnawał, Meggie. Zajmij się swoją siostrą i trzymaj się z dala od lodówki. Nie chcę, żebyś się u nas roztyła.

– Tak, proszę pani.

Ruth odwróciła się do mnie.

– Davidzie – powiedziała. – Wiesz, co powinieneś zrobić? Powinieneś iść i przywitać się z Susan. Nie poznaliście się, a to niegrzeczne.

– Pewnie. W porządku.

Meg zaprowadziła mnie w głąb korytarza.

Drzwi do ich pokoju były po lewej stronie, naprzeciw łazienki, po drugiej stronie korytarza był pokój chłopców. Słyszałem cichy dźwięk radia dochodzący zza drzwi. Tommy Edwards śpiewał „It’s All In the Game”. Meg otworzyła drzwi i weszliśmy do środka.

Kiedy masz dwanaście lat, małe dzieci są dla ciebie po prostu małymi dziećmi i tyle. Tak naprawdę nawet ich nie zauważasz. Są jak robaki, ptaki czy wiewiórki lub jak domowe koty. Są częścią krajobrazu. Chyba że jest ktoś taki jak Woofier – nie można go nie zauważyć.

Tak jak nie można było nie zauważyć Susan.

Widziałem, że ta dziewczynka spogląda na mnie zza egzemplarza jakiegoś czasopisma dla dziewczyn. Miała dziewięć lat – jak powiedziała mi Meg – jednak wyglądała na dużo młodszą. Cieszyłem się, że była przykryta kołdrą i nie musiałem oglądać jej szyn na nogach i biodrach. Wyglądała tak krucho, że nawet nie musiałem myśleć o tych wszystkich złamanych kościach. Widziałem jednak jej nadgarstki i długie, szczupłe palce trzymające magazyn.

Czy tak się wygląda po wypadku? Zastanawiałem się nad tym.

Za wyjątkiem przejrzystych zielonych oczu to było jak spotkanie przeciwieństwa Meg. Podczas gdy Meg tryskała zdrowiem i siłą Susan wyglądała jak cień. Jej skóra była tak blada, że w świetle lampy wyglądała na przezroczystą.

Donny mówił, że wciąż brała antybiotyki i leki na gorączkę, że nie wracała szybko do zdrowia, i że chodzenie sprawiało jej ból.

Pomyślałem o bajce Hansa Christiana Andersena o małej syrence, którą też bolały nogi. Na ilustracji w książce ta syrenka była nawet podobna do Susan. Takie same jedwabiste blond włosy, delikatne rysy, to samo bezbronne spojrzenie. Jak ktoś, kto został wyrzucony na brzeg.

– Ty jesteś David – powiedziała.

Skinąłem głową.

– Cześć – mruknąłem.

Zielone oczy przyglądały mi się. Te oczy były inteligentne. I ciepłe. W tym momencie wydawała się zarówno młodsza, jak i starsza, niż była w rzeczywistości.

– Meg mówi, że jesteś miły.

Uśmiechnąłem się.

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę i odwzajemniła mój uśmiech, po czym wróciła do czytania. W radiu grali znaną melodię.

Meg stała w progu. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Wyszedłem na korytarz. Reszta już czekała.

Poczułem wzrok Ruth na swoich plecach. Spuściłem głowę, wlepiając wzrok w dywan.

– No i proszę – powiedziała. – Teraz już się znacie.

II

Rozdział 8

Dwie noce po Karnawale nasza paczka nocowała razem.

Starsi chłopcy – Lou Morino, Glen Knoll i Harry Gray – od wielu lat mieli zwyczaj spania na zewnątrz w ciepłe letnie noce, niedaleko starej wieży ciśnień znajdującej się w lesie, za małym boiskiem do baseballa. Oczywiście musieli mieć kilka sześciopaków u boku i papierosy skradzione ze sklepu.

Cała nasza reszta była za mała, żeby tam spać, po drugiej stronie miasta. Jednak to nie powstrzymywało nas, aby im zazdrościć. W końcu nasi rodzice powiedzieli, że możemy spać na zewnątrz, pod warunkiem, że będziemy pod czyimś nadzorem. Oznaczało to czyjś ogród za domem. Więc tak zrobiliśmy.

Ja miałem własny namiot, a Tony Morino pożyczał drugi od swojego brata Lou, kiedy ten akurat go nie potrzebował. Zawsze więc był to jego ogródek albo mój.

Osobiście wolałem swój. Ogród Tony'ego był w porządku, jednak to, czego chcieliśmy najbardziej, to odejść jak najdalej od domu, aby mieć wrażenie, że naprawdę jesteśmy tam sami. Jego ogródek nie bardzo się do tego nadawał. Rozciągał się w dół wzgórza i wystawało z niego tylko kilka krzewów, a za nim było już pole. Było nudno i leżało się tam beczynn timer całą noc. Z kolei mój ogród rozciągał się prosto w stronę lasu. W nocy mroczne kontury wiązków, brzoów i klonów rzucały swój cień na namiot, w ciszy rozbrzmiewały odgłosy świerszczy i żab dochodzące z rzeki. Grunt był płaski i znacznie wygodniejszy.

Nie spaliśmy jednak zbyt długo.

Przynajmniej tej nocy mieliśmy oczy szeroko otwarte.

Do świtu opowiadaliśmy sobie różne kawały w stylu: „Mamusi, Mamusi! Billie właśnie z wymiotował do garnka stojącego na piecu!”. „Zamknij się i zjedz swój gulasz”. Cała nasza szóstka – ja, Donny, Willie, Tony Morino, Kenny Robertson i Eddie – śmiała się do rozpuku, gnieźdząc się w namiocie przeznaczonym dla czterech osób.

Woofier siedział w domu, odbywając karę za zabawę plastikowymi żołnierzami obok odgrodzonego drucianą siatką pieca w ogrodzie. Inaczej jęczałby tak długo, aż bylibyśmy zmuszeni zabrać go ze sobą.

Woofers miał swój zwyczaj. Opierał swoich rycerzy i żołnierzy o siatkę i patrzył, jak ich ramiona i nogi wpadają do ognia i płoną razem ze stertą śmieci, wyobrażając sobie, Bóg wie co. Figurki czerniały i wydzielały gęste, czarne chmury dymu.

Ruth nienawidziła, kiedy to robił. Zabawki były drogie i powodowały bałagan wokół pieca.

Nie mieliśmy piwa, jednak zaopatrzyliśmy się w pojemniki i termosy wypełnione owocową oranżadą. Nie usychaliśmy z pragnienia. Eddie miał pół paczki papierosów bez filtra, które ukradł ojcu, więc co jakiś czas szczerliwie zamykaliśmy namiot. Odganiałymi rękami dym. Potem znów otwieraliśmy namiot, tak na wszelki wypadek, gdyby moja mama przyszła sprawdzić, co robimy. Nigdy jednak tego nie robiła.

Donny leżał obok mnie i słychać było szelest opakowania herbatników schowanych pod jego wielkim ciałem.

Tego wieczoru, gdy przyjeżdżała ciężarówka z herbatnikami, wyszliśmy na ulicę, by zrobić zapasy.

Teraz, gdy tylko ktoś się poruszył, słychać było szelest opakowania.

Donny opowiedział kawał.

– Więc siedzi sobie dzieciak w szkole. Zwykły, mały dzieciak, a miła nauczycielka zauważa, że jest smutny. Nauczycielka pyta: co się stało? A on wybucha płaczem: łaaa! Nie mam śniadania! Biedne dziecko, mówi nauczycielka. Nic się nie stało, mówi, przecież zbliża się pora lunchu. Za chwilę coś zjesz. Więc teraz wróćmy do naszej lekcji geografii. Powiedz mi, gdzie leżą Włochy? Dziecko mówi: W łóżku, pieprzą moją matkę, dlatego nie mam śniadania!

Zaśmialiśmy się.

– Słyszałem go już – powiedział Eddie. – A może przeczytałem w *Playboyu*.

– Taa, jasne – wtrącił Willie. Willie leżał po mojej drugiej stronie, pod ścianką namiotu. Czulem zapach wosku na jego włosach i, okazjonalnie, jego nieprzyjemny oddech. – Pewnie. Przeczytałeś to w *Playboyu*. A ja pieprzyłem Debrę Paget.

Eddie wzruszył ramionami. Zaprzeczanie Eddiemu groziło niebezpieczeństwem, jednak Donny leżał pomiędzy nimi, a na dodatek był cięższy od Eddiego o siedem kilogramów.

– Mój staruszek go kupuje – ciągnął Eddie. – Kupuje co miesiąc. Podkradam mu go z szuflady, czytam kawały, oglądam laski i odkładam z powrotem. O niczym nie wie. Nie ma sprawy.

– Lepiej się módl, żeby nigdy się nie dowiedział – powiedział Tony.

Eddie spojrzał na niego. Tony mieszkał naprzeciw niego i wszyscy wiedzieliśmy, że Tony wiedział, że tata Eddiego go bije.

– Serio? – powiedział Eddie. W jego głosie można było usłyszeć ostrzeżenie.

Można było poczuć, jak Tony odsuwa się nieco na bok. Był po prostu chudym, włoskim dzieciakiem, jednak wśród nas cieszył się szacunkiem, ponieważ nad wargą miał załazek czarnego wąsa.

– Widziałeś je wszystkie? – zapytał Kenny Robertson. – Jezu! Słyszałem, że jeden numer zawierał zdjęcia Jayne Mansfield.

– Nie wszystkie – powiedział Eddie. Zapalił papierosa i zamknął namiot. – Chociaż ten numer widziałem.

– Naprawdę?

– Pewnie, że tak.

Zaciągnął się papierosem, zachowując się przy tym jak Pan Luzak. Willie usiadł obok mnie. Czułem, jak jego kluchowaty brzuch dotyka lekko moich pleców. Chciał papierosa, jednak Eddie jeszcze nie skończył palić.

– Największe cycki, jakie kiedykolwiek widziałem – powiedział.

– Większe od cycków Julie London? Nawet od June Wilkinson?

– Rany! Większe od cycków Williego – rzucił. Potem on, Donny i Tonny ryknęli głośnym śmiechem. Chociaż to nie powinno być śmieszne dla Donny'ego. Też zaczął je mieć. Małe, tłuste pagórki, w miejscu, gdzie powinny być mięśnie. Kenny Robertson chyba bał się śmiać, a Willie był tuż obok mnie, więc też wolałem milczeć.

– Ha ha ha – powiedział Willie. – To tak cholernie śmieszne, że zapomniałem się uśmieć.

– Bardzo śmieszne – powiedział Eddie. – Co ty, w trzeciej klasie jesteś?

– Ugryź mnie w tyłek – powiedział Willie.

– Najpierw musiałbyś przestać chować się za matką, złamasie.

– Hej – powiedział Kenny. – Lepiej opowiedz nam o Jayne Mansfield. Widziałeś jej sutki?

– Pewnie, że tak. Ma wspaniałe ciało i te małe, soczyste, wystające sutki, wielkie cycki i wspaniałe tyłek. Ale ma chude nogi.

– Pieprzyć jej nogi! – krzyknął Donny.

– Sam je pieprz – powiedział Eddie. – Ja będę pieprzył całą resztę.

– Boże! – powiedział Kenny. – Sutki i cała reszta! Niesamowite.

Eddie podał mu papierosa. Szybko wciągnął dym i podał go Donny'emu.

– Chodzi o to – ciągnął Kenny – że ona jest gwiazdą filmową. Zastanawiam się, dlaczego ona to robi.

– To znaczy co? – zapytał Donny.

– Pokazuje cycki w taki sposób w gazecie.

Przez chwilę o tym myśleliśmy.

– Tak naprawdę to do końca nie jest gwiazdą filmową – powiedział Donny. – To znaczy Natalie Wood jest gwiazdą filmową. Jayne Mansfield tak jakby występuje w niektórych filmach.

– Jest początkująca – stwierdził Kenny.

– Nieee – powiedział Donny. – Jest na to za stara. Dolores Hart jest początkująca. Widziałeś „Kochając Ciebie”? Człowieku, uwielbiam tę scenę na cmentarzu.

– Ja też.

– To scena z Lizabeth Scott – odparł Willie.

– Co z tego?

– Ja lubię scenę w barze – przypomniał sobie Kenny. – Kiedy on śpiewa i nie daje sobie dmuchać w kaszę.

– Jest świetna – zachwycił się Eddie.

– Naprawdę świetna – wtórował Willie.

– Naprawdę.

– W każdym razie *Playboy* to nie jest zwykły magazyn – powiedział Donny. – No wiecie, to przecież *Playboy*. Była w nim Marilyn Monroe. To najlepszy magazyn na świecie.

– Tak myślisz? Lepszy od *Mad*? – Kenny był sceptyczny.

– O, tak. To znaczy *Mad* jest zwyczajny i na dodatek jest dla dzieci.

– A co powiesz o *Famous Monsters*? – zapytał Tony.

To było trudniejsze. *Famous Monsters* był nowym magazynem i wszyscy szaleliśmy na jego punkcie.

– No dobra – powiedział Donny.

Zaciągnął się papierosem i uśmiechnął. Zналиśmy ten uśmiech.

– A czy tam pokazują cycki? – powiedział.

Rykaliśmy śmiechem. To był niezbity argument.

Podał dymka Eddiemu, który dopalił papierosa do końca i zgasił go, dociskając do trawnika, potem wyrzucił peta daleko do lasu.

Wtedy nastąpiła ta znajoma cisza, kiedy nikt nie miał już nic do powiedzenia. Wszyscy siedzieliśmy zamyśleni.

Potem Kenny spojrzał na Donny'ego.

– Czy kiedykolwiek go widziałeś? – powiedział.

– To znaczy co?

– Cycek.

– Prawdziwy cycek?

– Pewnie.

Donny zaśmiał się.

– U siostry Eddiego.

Teraz śmialiśmy się wszyscy.

– Mówię o kobiecie.

– Nie.

– Ktokolwiek? – rozejrzał się wokół.

– U mojej mamy – powiedział Tony. Widzieliśmy, że wstydzi się o tym mówić. – Kiedyś wszedłem do łazienki, a ona ubierała stanik. Przez minutę widziałem.

– Minutę? – Kenny był podekscytowany.

– Nie. Sekundę.

– Jezu. Jak wyglądały?

– Co masz na myśli, mówiąc, jak wyglądały? To moja matka, na litość boską! Ty mały zboku!

– Hej, bez obrazy, koleś.

– Dobra, w porządku.

Jednak teraz myśleliśmy tylko o pani Morino. Była tęgą krótkonogą, sycylijską kobietą z większym wąsem niż ten, który miał Tony. Jednak jej piersi były całkiem duże. Wyobrażanie jej sobie w ten sposób było zarazem trudne, interesujące i obrzydliwe.

– Założę się, że Meg ma niezłe – powiedział Willie.

Obraz wisiał przez chwilę w powietrzu. Wątpię jednak, by którykolwiek z nas myślał jeszcze o pani Morino.

Donny spojrzał na brata.

– Meg?

– Tak.

Można było zobaczyć ciężko pracujący mechanizm w jego głowie. Jednak Willie zachowywał się tak, jak gdyby Donny nie zrozumiał. Próbował zdobyć nad nim przewagę.

– Nasza kuzynka, tępaku. Meg.

Donny zwyczajnie wlepił w niego wzrok.

– Hej, która godzina? – przerwał ciszę.

Kenny miał zegarek.

– Za piętnaście jedenasta.

– Świetnie!

Nagle zaczął wyczołgiwać się z namiotu, po czym wstał. Uśmiechał się.

– Chodźcie! Mam pomysł!

Aby dostać się do jego domu, wystarczyło przejść przez ogródek, przedrzeć się przez żywopłot i już można się było znaleźć za ich garażem.

W łazience Chandlerów, w kuchni i w sypialni Meg i Susan paliło się światło. Teraz wszyscy wiedzieliśmy, co chodziło mu po głowie. Nie byłem pewien, czy podobał mi się ten pomysł, jednak nie mogłem powiedzieć na pewno, że mi się nie podobał.

Jedno było pewne, to było ekscytujące. Jeżeli by nas przyłapano, to byłby koniec naszego nocowania razem, a także innych rzeczy, o których teraz nie myśleliśmy.

Z drugiej jednak strony, jeżeli nie zostalibyśmy przyłapani, to mogło być lepsze od obozowania przy wieży ciśnień. Lepsze nawet od piwa.

Kiedy już wprowadziliśmy się w ten nastrój, trudno było powstrzymać się od chichotania.

– Nie ma drabiny – rzekł rozczarowany Eddie. – Jak mamy to zrobić?

Donny rozejrzył się.

– Brzoza – powiedział.

Miał rację. Na lewo od ogrodu, około pięciu metrów od domu stała wysoka biała brzoza, w połowie zgięta przez zimowe zawieruchy. Była pochylona, dotykała wysokich traw, rosnących w połowie trawnika.

– Nie możemy wszyscy się na nią wspiąć – powiedział Tony. – Złamie się.

– Będziemy się zmieniać. Będziemy wchodzić po dwóch. Każdy po dziesięć minut, najlepszy wygrywa.

– Dobra, kto pierwszy?

– Cholera, to nasze drzewo – Donny szczyrzył zęby. – Ja i Willie pójdziemy pierwsi.

Byłem za to na niego wkurzony. Ponoć byliśmy najlepszymi przyjaciółmi. Jednak potem pomyślałem, co za różnica, w końcu Willie to jego brat.

Przebiegł przez trawnik, Willie za nim.

Drzewo rozwidłało się na dwie mocne gałęzie. Mogli tam siedzieć obok siebie. Mieli dobry widok na sypialnię i całkiem przyzwoity na łazienkę.

Willie wiercił się, próbując ułożyć się w wygodnej pozycji. Bez trudu można było zauważyć, że jego ciało wyszło z formy. Poruszał się niezdarnie, próbując utrzymać swój własny ciężar. Natomiast Donny, pomimo swojej dużej cielska, wspinał się, jakby urodził się na drzewach.

Patrzyliśmy, jak oni patrzą. Obserwowaliśmy dom, okno w kuchni, szukając Ruth w nadziei, że nas nie zobaczy.

– Ja i Tony idziemy następni – powiedział Eddie. – Która godzina?

Kenny zerknął na zegarek.

– Mają jeszcze pięć minut.

– Cholera – powiedział Eddie.

Wyjął paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Hej! – wyszeptał Kenny. – Mogą nas zobaczyć!

– A ty możesz być głupi – powiedział Eddie. – Przykryj go dłonią. O tak. Nikt nie zobaczy.

Próbowałem dojrzeć twarze Williego i Donny'ego, zastanawiając się, czy coś tam u góry się działo. Trudno było powiedzieć, jednak chyba nic. Leżeli tam po prostu jak para ciemnych, wielkich narośli.

Zastanawiałem się, czy drzewo kiedykolwiek powróci potem do swojej pierwotnej postaci.

Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z obecności żab ani świerszczy, teraz ich dźwięk przedzierał się przez otchłań ciszy. Jedynymi dźwiękami, jakie dochodziły do moich

uszu, były owady, wciąganie i wypuszczanie dymu papierosa przez Eddiego, a także ciche trzaski brzozy. W ogrodzie były świetliki, zapalały się i gasły jak małe latarenki.

– Czas minął – powiedział Kenny.

Eddie rzucił papierosa na ziemię i przygniótł go nogą. On i Kenny pobiegli w kierunku drzewa. Chwilę później Willie i Donny zeszli na dół.

Gałęzie drzewa znajdowały się teraz wyżej.

– Widzieliście coś? – zapytałem.

– Nic – odparł Willie. Zaskakujące było, ile złości można było wyczuć w jego głosie. Jak gdyby to była wina Meg, że nie pokazała się w oknie. Jak gdyby go oszukała. Ale Willie zawsze był dupkiem.

Spojrzałem na Donny'ego. Światło nie było dobre, jednak wydawało mi się, że ma on to samo skupione, intensywne spojrzenie, z jakim patrzył na Ruth, kiedy opowiadała o tańczących, półnagich dziewczynach. Jak gdyby próbował coś wymyślić i czuł się przygnębiony, ponieważ nie mógł znaleźć odpowiedzi.

Staliśmy w ciszy, po czym po chwili Kenny klepnął mnie w ramię.

– Już czas – powiedział.

Pobiegliśmy razem w kierunku drzewa, a ja uderzyłem w kostkę Tony'ego, kiedy się ześlizgiwał.

Czekaliśmy na dole na Eddiego. Spojrzałem na Tony'ego. Wzruszył ramionami i potrząsnął głową, wlepiając wzrok w ziemię. Nic. Kilka minut później Eddie również się poddał i zeskoczył tuż obok mnie.

– To jakaś głupota – powiedział. – Pieprzyć to. Pieprzyć ją.

Odeszli.

Nie rozumiałem. Teraz Eddie też był wściekły.

Nie zaprzątałem sobie tym myśli.

Bez trudu wspięliśmy się na drzewo.

U góry poczułem falę podniecenia. Chciałem śmiać się na głos, tak wspaniale się czułem. Coś zaraz miało się wydarzyć. Wiedziałem to. Eddie, Willie i Donny mieli pecha, to my mieliśmy zostać zwycięzcami. Ona za moment pojawi się w oknie i zobaczymy ją.

Wcale się nie przejmowałem tym, że prawdopodobnie zdradzam Meg, szpiegując ją. Prawie nie myślałem o niej jako o Meg. Jak gdyby to nie ona była osobą na którą czekaliśmy. To było coś abstrakcyjnego. Prawdziwa dziewczyna z krwi i kości, nie czarno-białe zdjęcie w magazynie. Kobiece ciało.

W końcu miałem się czegoś dowiedzieć.

W życiu wszystko jest kwestią priorytetów.

Położyliśmy się.

Spojrzałem na Kenny'ego. Uśmiechał się.

Zacząłem się zastanawiać, dlaczego reszta chłopaków zachowywała się tak idiotycznie.

To była świetna zabawa! Nawet fakt, że się bałem, był dobrą zabawą. Baliśmy się, że Ruth nagle pojawi się na ganku i powie, żebyśmy zabierali stąd swoje tyłki. Baliśmy się, że Meg wyjrzy z okna łazienki, spoglądając prosto w nasze oczy.

Pewny siebie, czekałem.

Światło w łazience zgasło, jednak to nie miało znaczenia. Skupiałem się na sypialni. Tam będę mógł ją zobaczyć.

Wyraźnie. Nagą. Z krwi i kości. Kogoś, kogo nawet trochę znałem.

Nie mogłem nawet zamrużyć.

Poczułem mrowienie w miejscu, gdzie moje ciało stykało się z drzewem.

Z kuchni dochodziła melodia: „Wyjdźże z kuchni, odstaw patelnię i garnki... Wierzę, że jesteś diabłem ukrytym w pończosze...”. I tak dalej.

Dziwne, pomyślałem. Leżę tutaj na drzewie. Ona jest w środku. Czekałem.

* * *

Światło w sypialni zgasło.

Nagle w całym domu zrobiło się ciemno.

Poczułem, że mógłbym coś roztrzaskać na kawałki.

Mógłbym rozerwać ten dom na strzępy.

Właśnie poczułem to, co czuli inni i dokładnie wiedziałem, dlaczego byli na nią wściekli. Wściekli na Meg. Jakby to wszystko była jej wina, jakby to ona najpierw kazała nam tam wejść, potem wiele obiecała i nie dała nic w zamian. Chociaż wiedziałem, że to irracjonalne i głupie z mojej strony, ja czułem się dokładnie tak samo.

Dziwka, pomyślałem.

A potem poczułem się winny. Bo to było osobiste.

To było o Meg.

Poczułem się przygnębiony.

Jak gdyby część mnie wiedziała – nie chciałem w to wierzyć ani o tym myśleć, jednak cały czas wiedziała.

Nigdy nie będę takim szczęściarzem. To była jakaś bzdura od samego początku.

Eddie dobrze powiedział.

W jakiś sposób powód tego wszystkiego związany był z Meg, dziewczynami i wszystkimi kobietami ogólnie, nawet z Ruth i moją mamą.

To było zbyt wiele, żebym mógł wszystko ogarnąć, więc chyba po prostu mój umysł przegonił te myśli.

To co pozostało, to przygnębienie i tępy ból.

– Chodź – powiedziałem do Kenny’ego. Wlepił oczy w dom, wciąż nie mogąc uwierzyć, jakby oczekiwał, że światło znów się zapali. Jednak i on wiedział. Spojrzał na mnie i dostrzegłem, że on też wiedział.

Wszyscy wiedzieliśmy.

Wróciliśmy cicho do namiotu.

W środku był już Willie Junior.

– Może uda się nam wciągnąć ją do Gry – powiedział, zasuwając namiot.

Myśleliśmy o tym.

A od tego momentu noc ciągnęła się w nieskończoność.

Rozdział 9

Byłem w ogrodzie. Próbowałem uruchomić dużą, czerwoną kosiarkę. Pociłem się przy tym niemiłosiernie. Łatwiej było odpalić motorówkę niż tę przeklętą maszynę. Nagle usłyszałem taki krzyk Ruth, jakiego chyba nigdy wcześniej nie słyszałem. Była naprawdę wściekła.

– Jezu Chryste!

Puściłem linkę i spojrzałem w górę.

To był ten rodzaj głosu, jakiego używała moja mama, kiedy ktoś wyprowadził ją z równowagi, co nie zdarzało się często, pomimo że prowadziła otwartą wojnę z moim ojcem. To oznaczało, że trzeba było brać nogi za pas. Jednak kiedy Ruth była wściekła, zwykle powodem tego był Woofier. Wtedy jedyne, co musiała zrobić, to spojrzeć na niego z przymrużonymi oczyma i ściśniętymi ustami, aby sprawić, by się zamknął lub żeby przestał robić to, czym akurat był zajęty. Jej spojrzenie było całkowicie zastraszające.

Próbowaliśmy je naśladować – ja, Donny i Willie, a potem śmialiśmy się wniebogłosy. Kiedy jednak Ruth miała to spojrzenie na swojej twarzy, nikomu nie było do śmiechu.

Byłem wdzięczny, że miałem wymówkę, by móc przestać siłować się z kosiarką. Poszedłem więc na tyły naszego garażu, skąd widziałem ich ogród.

Pranie powiewało na sznurze. Ruth stała na ganku, z rękami na biodrach i nawet jeśli nie usłyszałbym dobiegających do moich uszu krzyków, bezsprzecznie można było stwierdzić, że naprawdę była wściekła.

– Ty głupia szmato! – krzyknęła.

Mogę powiedzieć, że byłem zszokowany.

Oczywiście, Ruth klęła jak szewc. To był jeden z powodów, dla którego ją lubiliśmy. Jej mąż, Willie Senior, „ten uroczy, irlandzki drań” lub „ten idiotyczny, irlandzki sukinsyn” i John Lenz, burmistrz miasta, a także, jak podejrzewaliśmy, każdy kolejny konkurent do serca Ruth regularnie częstowani byli przez nią obelgami.

Jak zresztą każdy z nas od czasu do czasu.

Chodziło jednak o to, że przeklinanie było u niej na porządku dziennym. Przekleństwa były wypowiedane bez prawdziwej złości, miały powodować śmiech kosztem jakiegoś biednego gościa.

To był sposób Ruth na opisywanie ludzi.

Jej sposób był całkiem podobny do naszego. Wszyscy nasi przyjaciele byli idiotami, kanaliami, tępakami i niedorozwojami. Wszystkie ich matki były lachociągami.

Jednak tym razem to było coś zupełnie innego. Szmata to było to, co powiedziała. Szmata to było to, co miała na myśli.

Zastanawiałem się, co złego zrobiła Meg.

* * *

Skierowałem wzrok w stronę własnego domu. Tylne drzwi były otwarte. Miałem nadzieję, że mojej mamy nie było teraz w kuchni i że jej nie usłyszała. Moja mama nie lubiła Ruth i wysłuchałem już wystarczająco dużo narzekań, że spędzałem tam tak wiele czasu.

Miałem szczęście. Nie było jej nigdzie w pobliżu.

Spojrzałem na Ruth. Nie mówiła już nic więcej, nie musiała. Jej wyraz twarzy zdradzał wszystko.

Czułem się nieco dziwnie, tak jakbym znów szpiegował. Drugi raz w ciągu dwóch dni. Jednak to oczywiście było dokładnie to, co musiałem zrobić. Nie mogłem pozwolić, żeby zauważyła, że ją widzę w takiej sytuacji. To było zbyt krępujące. Przycisnąłem plecy do ściany garażu i ukradkiem spoglądałem na Ruth. Miałem nadzieję, że z jakiegoś powodu nie popatrzy w moją stronę. Nie patrzyła. Czekałem, aż pojawi się Meg, byłem ciekawy, jak zareaguje na tę obelgę.

Spotkała mnie kolejna niespodzianka.

To nie była Meg.

To była Susan.

Pomyślałem, że chyba próbowała pomóc z praniem. Jednak zeszłej nocy lało i wyglądało na to, że upuściła kilka białych rzeczy Ruth na zaniehbany, zabłocony trawnik. Zauważyłem bowiem brudne plamy na prześcieradle i kilku poszewkach.

Płakała, naprawdę bardzo płakała, a całe jej ciało trzęsło się, podczas gdy szła w stronę Ruth stojącej na podjeździe.

To było żałosne – ta mała, krucha dziewczynka, idąca z trudem, z szynami na nogach, usiłująca utrzymać małą stertę prania, której prawdopodobnie nie powinna była w ogóle ruszać. Było mi jej żal.

W końcu Ruth chyba poczuła to samo.

Zeszła w końcu z podjazdu, zabrała od niej rzeczy i zawahała się, patrząc, jak dziewczynka łkała, trzęsła się i wlepiła wzrok w ziemię. Potem można było zobaczyć, jak napięcie z niej wyparowuje. Uniosła dłoń i ułożyła ją delikatnie na ramieniu Susan. Następnie odwróciła się i zaczęła iść w kierunku domu.

W ostatnim momencie, kiedy znajdowały się już na ostatnim stopniu, Ruth spojrzała w moją stronę, więc musiałem schować się za garaż.

Jednak mógłbym przysiąc, że to zobaczyłem.

Z perspektywy czasu, stało się to dla mnie ważne. Zastanawiam się, dlaczego.

Twarz Ruth wyglądała na bardzo zmęczoną tak jakby wybuch złości był zbyt intensywny i pozbawił ją sił. Albo to, co widziałem, było tylko małym kawałkiem czegoś – czegoś większego – czegoś, co działo się niepostrzeżenie i było niewidoczne dla moich oczu, a to wydarzenie było jak crescendo na płycie długogrającej.

Jednak coś zupełnie innego, co wtedy zobaczyłem, gryzie mnie, nie dając mi spokoju do dnia dzisiejszego.

Wtedy też mnie to zastanawiało.

Tuż przed tym, jak schowałem się za garaż, kiedy Ruth odwróciła głowę, wyglądając na chudą i zmęczoną z dłonią na ramieniu Susan. W tej właśnie chwili, gdy się odwróciła.

Mógłbym przysiąc, że ona również płakała.

A moje pytanie brzmi, dlaczego?

Rozdział 10

Kolejną rzeczą były larwy szkodników.

To zdarzało się praktycznie każdej nocy. Jednego dnia drzewa były czyste, a kolejnego zwisały z nich ciężkie, białe kokony. Jeżeli im się przyjrzeć, w środku można było dostrzec coś ciemnego i niezdrowo wyglądającego, a jeżeli przyjrzało się bliżej, można było dostrzec, jak się poruszały.

– Spalimy je – powiedziała Ruth.

Staliśmy w jej ogrodzie, niedaleko brzozy. Woofery, Donny, Willie, Meg, ja i Ruth, która miała na sobie niebieską podomkę z głębokimi kieszeniami. Była dziesiąta rano, a Meg dopiero co skończyła wykonywać swoje obowiązki. Pod lewym okiem miała małą smugę brudu.

– Chłopcy, zbierzcie kilka patyków – rozkazała Ruth. – Muszą być długie i grube. Obierzcie je z liści, tak żeby nie zaczęły się palić. Meg, przynieś z piwnicy szmaty.

Stała, mrużąc oczy w zetknięciu z porannym słońcem. Oceniała zniszczenia. Właściwie połowa drzew w jej ogrodzie, łącznie z brzozą obwieszona była kokonami. Niektóre z nich miały wielkość piłki baseballowej, inne zaś były tak duże i głębokie jak torba na zakupy. W lesie było ich całe mnóstwo.

– Małe skurwysyny. Ogołocą te drzewa, nim zdołamy się obejrzeć.

Meg weszła do domu, a cała nasza reszta skierowała się w stronę lasu w poszukiwaniu patyków. Donny miał siekierkę, więc ścięliśmy kilka młodych drzewek, oczyściliśmy z liści i przecięliśmy je na pół. Nie zajęło nam to wiele czasu.

Kiedy wróciliśmy, Ruth i Meg były w garażu, nasączały szmaty naftą. Owinęliśmy szmaty wokół drzewek, Ruth obwiązała je sznurem i nasączyliśmy je ponownie.

Podawała każdemu po jednej pochodni.

– Pokażę wam, jak to się robi – powiedziała. – Potem możecie to robić sami. Tylko nie podpalcie cholernego lasu.

To było niezwykle dorosłe.

Ruth zaufała nam z ogniem, dała nam pochodnie.

Moja mama nigdy by tego nie zrobiła.

Poszliśmy za nią do ogrodu. Wyglądaliśmy jak banda wieśniaków podążających z uniesionymi pochodniami za stworem przypominającym Frankensteina. Jednak nie zachowywaliśmy się jak dorośli, a raczej, jakbyśmy szli na przyjęcie. Wszyscy z wyjątkiem Meg wygłupialiśmy się i byliśmy podekscytowani. Ona brała to naprawdę poważnie. Willie uwięził głowę Woofera pod swoją pachą i przycisnął pięść do jego głowy. Był to chwyt, który zapożyczył od znanego zapaśnika Williama Calhouna. Donny i ja szliśmy za nimi obok siebie, udając, że nasze pochodnie to wielkie pałeczki bijące w olbrzymie werble. Chichotaliśmy przy tym jak idioci. Ruth nie miała nic przeciwko.

Kiedy doszliśmy do brzozy, Ruth sięgnęła do kieszeni i wyjęła pudełko zapalek.

Larwy na brzozie były wyjątkowo duże.

– Ja zajmę się tymi – powiedziała. – Przyglądajcie się.

Zapaliła pochodnię i trzymała ją przez chwilę, aż ogień przygasł i można jej było bezpiecznie używać. Wciąż płonęła jednak jasnym płomieniem.

– Bądźcie ostrożni – powiedziała. – Nie spalcie drzewa.

Trzymała płomień sześć centymetrów poniżej kokonu.

Ten zaczął się topić.

Nie palił się. Zaczął się topić, tak jak topi się ołów. Skurczył się. Był gruby i wielowarstwowy, jednak szybko ginął w ogniu.

Nagle wszystkie te wijące się, skręcające się ciała próbowały się wydostać. Szerniały, paliły się i pękały.

Można było prawie usłyszeć ich krzyk.

Musiały ich być setki. Jedna warstwa topiła się, eksponując kolejną warstwę z kolejnymi larwami. Spadały na ziemię jak czarny deszcz.

Następnie Ruth zabrała się za największy kokon.

Wyglądało to, jakby ktoś rozlał smołę prosto na pochodnię.

Ogień zasyczał, tyle było larw, a potem, wydawało się, że na chwilę zgasł. Po chwili jednak znów zaczął gwałtownie rosnać, tak więc larwy, które się do niego doczepiły, spłonęły i spadły na ziemię.

– Ja pierdołę! – nie wytrzymał Woofers.

Ruth spojrzała na niego.

– Przepraszam – powiedział. Jego oczy wciąż były szeroko otwarte.

Trzeba przyznać, że to było niesamowite. Nigdy nie widziałem takiej rzeźni. Mrówki na ganku były niczym w porównaniu z tym. Mrówki były malutkie, nieważne. Kiedy wylało się na nie wrzącą wodę, po prostu umierały. Natomiast niektóre z tych larw miały dwa i pół centymetra długości. Skręcały się i wiły. Wydawało się, że chcą żyć. Spojrzałem na ziemię. Wszędzie leżała cała masa robaków. Większość z nich była martwa, jednak niektóre żyły i próbowały odpełznąć.

– A co z tymi? – zapytałem.

– Zapomnij o nich – powiedziała Ruth. – Zginą. Albo zjedzą je ptaki – zaśmiała się. – Otworzyliśmy piekarnik, zanim zdążyły się upiec.

– Teraz już na pewno są upieczone – wtrącił Willie.

– Możemy przynieść kamień – podniecił się Woofler. – Zgnieciemy je!

– Słuchaj mnie, kiedy do ciebie mówię. Zapomnijcie o nich – powtórzyła Ruth. Znów sięgnęła do kieszeni.

– Proszę. – Każdemu z nas rozdała paczkę zapalek. – Pamiętajcie, kiedy skończycie, chcę, aby ten ogród nadal tutaj był. I trzymajcie się z dala od lasu. Las potrafi się sam o siebie zatroszczyć.

Wszyscy wzięliśmy pudełka. Wszyscy, z wyjątkiem Meg.

– Nie chcę ich – powiedziała.

– Co?

W rękę trzymała zapalki.

– Nie... nie chcę ich. Może skończę pranie. To jest...

Meg patrzyła na ziemię, na czarne, pełzające larwy. Jej twarz była blada.

– Co? – powiedziała Ruth.

– Obrzydliwe.

– Czujesz się urażona, skarbie?

– Nie. Ja po prostu nie chcę...

Ruth zaśmiała się.

– Niech mnie diabli wezmą. Spójrzcie, chłopcy – zawołała. – No niech mnie diabli!

Wciąż się uśmiechała, jednak jej twarz nagle stała się naprawdę surowa. Przestraszyłem się i zacząłem myśleć o tamtym dniu z Susan. Wyglądało, jak gdyby Ruth cały ranek była tykającą bombą a tylko Meg mogła spowodować wybuch. Nie zauważyliśmy tego wcześniej, byliśmy zbyt zajęci, zbyt podekscytowani.

– Spójrzcie – powiedziała Ruth. – To, co tutaj widzicie, to lekcja kobiecości. – Podeszła bliżej. – Meg jest delikatna. Rozumiecie chłopcy, że dziewczęta czasem są delikatne? Z pewnością damy są. A Meg jest damą. Z całą pewnością!

Odrzuciła perfidny sarkazm i po chwili pozostała w niej czysta złość.

– Więc kim na Boga ja jestem, Meggy? Uważasz, że ja nie jestem damą? Uważasz, że damy nie robią tego, co konieczne? Nie mogą pozbyć się pieprzonych szkodników w pieprzonym ogrodzie?

Meg wyglądała na zdezorientowaną. Szok był tak wielki, że nie można jej było za to winić.

– Nie, ja...

– Lepiej niech twoja odpowiedź brzmi „nie”, skarbie! Ponieważ nie chcę żadnych insynuacji od dzieciaka w koszulce, który nawet nie potrafi wytrzeć buzi do czysta. Rozumiesz?

– Tak, proszę pani.

Meg zrobiła krok w tył.

To chyba nieco uspokoiło Ruth. Zrobiła wdech.

– W porządku – powiedziała. – Idź na dół, dokończ pranie. Zawołaj mnie, kiedy skończysz. Mam dla ciebie coś innego.

– Tak, proszę pani.

Odwróciła się, a Ruth uśmiechnęła się.

– Moi chłopcy poradzą sobie z tym – powiedziała. – Prawda, chłopcy?

Skinąłem głową. W tej chwili nie byłem w stanie mówić. Nikt nie mówił. Odprawiła Meg tak niezaprzeczalnie i stanowczo, że dziwne poczucie sprawiedliwości ogarnęło moje myśli. Przyznam, że czułem wobec niej respekt.

Poklepała Woofera po czuprynie.

Spojrzałem na Meg. Patrzyłem, jak idzie w kierunku domu z opuszczoną głową, wycierając twarz, szukając brudnej smugi, o której mówiła Ruth.

Ruth otoczyła ręką moje ramię i odwróciła się w kierunku wiązków rosnących w tyle ogrodu. Wdychałem jej zapach mydła, nafty, papierosów i świeżo umytych włosów.

– Moi chłopcy to zrobią – zwróciła się do mnie.

Jej głos ponownie był łagodny.

Rozdział 11

Do pierwszej po południu zniszczyliśmy każdy kokon w ogrodzie Chandlerów. Ruth miała rację, ptaki miały dziś niezłą ucztę.

Śmierdziałem naftą.

Umierałem z głodu i dałbym się zabić za kilka burgerów. Ostatecznie mogłem zgodzić się na kanapkę.

Poszedłem do domu.

Umyłem się w kuchni i zrobiłem sobie jedną.

Słyszałem, jak moja mama prasuje w salonie, nucąc razem ze ścieżką dźwiękową musicalu „The Music Man”, na który wraz z ojcem pojechali do Nowego Jorku w zeszłym roku. Tuż przed tym, jak sądzę, ojciec wdał się w kolejny romans. Miał wiele okazji do romansów i skrupulatnie je wykorzystywał. Był współwłaścicielem baru i restauracji pod nazwą „Orle Gniazdo”. Spotykał kobiety późnym wieczorem, a potem widział je ponownie wczesnym rankiem.

Jednak moja mama zapomniała chyba o tym na moment i teraz pamiętała jedynie miłe chwile spędzone na Broadwayu.

Nienawidziłem tego musicalu.

Na chwilę zamknąłem się w pokoju i przewertowałem kilka starych magazynów. Nie znalazłem w nich nic interesującego, więc ponownie postanowiłem zobaczyć, co słychać na zewnątrz.

Wyszedłem tylnymi drzwiami i zobaczyłem Meg stojącą na ganku Chandlerów. Trzepała dywan, który zwykle leżał w salonie. Zobaczyła mnie i przywołała ręką.

Przez chwilę poczułem się niezręcznie, poczułem ukłucie rozdartej lojalności.

Jeżeli Meg była na czarnej liście Ruth, musiał istnieć ku temu jakiś dobry powód.

Z drugiej jednak strony, wciąż pamiętałem, jak jechaliśmy razem diabelskim młynem, a także poranek, kiedy spotkaliśmy się przy Skale.

Ostrożnie powiesiła dywan na metalowej poręczy i zeszła po stopniach, by wyjść mi naprzeciw. Smuga na jej twarzy zniknęła, jednak wciąż miała na sobie brudną koszulkę i stare spodenki Donny’ego. Miała kurz we włosach.

Wzięła mnie pod ramię i cicho poprowadziła do miejsca, gdzie nikt nie mógł zobaczyć nas z okien jadalni.

– Nie rozumiem – powiedziała.

Widziałem, że coś ją trapi, że próbuje coś pojąć.

– Dlaczego oni mnie nie lubią?

To nie było to, czego się spodziewałem.

– Kto, Chandlerowie?

– Tak.

Patrzyła na mnie. Jej twarz przybrała poważny wyraz.

– Oczywiście, że cię lubią.

– Nie, nie lubią. To znaczy, robię wszystko, co mogę, by mnie polubili. Ciężko pracuję, próbuję z nimi rozmawiać, staram się ich poznać i sprawić, by oni poznali mnie, ale wydaje się, że oni zwyczajnie tego nie chcą. Jak gdyby chcieli mnie nie lubić, jak gdyby tak było lepiej.

To było krępujące. Mówiła przecież o moich przyjaciółach.

– Zobacz – powiedziałem. – Ruth wściekła się na ciebie. Nie wiem, dlaczego. Może po prostu ma zły dzień. Nikt więcej nie był na ciebie wściekły ani Donny, ani Willie, ani Woofers.

Potrząsnęła głową.

– Nie rozumiesz. Willie, Donny i Woofers nigdy się nie wściekają. Nie w tym rzecz. Z nimi jest inaczej. Wydaje się, że oni mnie nie zauważają. Jak gdybym nie istniała, jakbym się nie liczyła. Mówię do nich, oni coś burkną i odchodzą. A jeżeli mnie zauważają w ich spojrzeniu zawsze jest coś... niewłaściwego. Sposób, w jaki na mnie patrzą. A Ruth...

Teraz zaczęła na dobre i nie było sposobu, by jej przerwać.

– ...Ruth mnie nienawidzi! Mnie i Susan. Nie widzisz tego. Nie chodzi tylko o ten jeden incydent, tak jest cały czas. Pracuję cały dzień i nie jestem w stanie jej zadowolić, wszystko jest źle. Wiem, że ona uważa, że jestem głupia, leniwa, brzydka...

– Brzydka?

Przynajmniej to było niedorzeczne.

Skinęła głową.

– Wcześniej nie myślałam tak o sobie, a teraz już naprawdę nie wiem. Davidzie, znasz tych ludzi praktycznie całe życie, tak?

– Tak, znam.

– Więc dlaczego? Co złego zrobiłam? Kiedy kładę się spać, myślę tylko o tym. Wcześniej byliśmy naprawdę szczęśliwi. Zanim tu przyjechałyśmy, malowałam. To nie było nic wielkiego, po prostu obrazy malowane akwarelami. Chyba nigdy nie byłam w tym zbyt dobra. Jednak moja mama je lubiła. Susan je lubiła, tak samo jak moi nauczyciele. Wciąż mam farby i pędzle, ale nie mogę znów zacząć malować. Wiesz, dlaczego? Bo wiem, co

zrobiłaby Ruth, co by pomyślała, co by powiedziała. Spojrzałaby na mnie i powiedziała, że jestem głupia i marnuję tylko czas.

Potrząsnąłem głową. To nie była Ruth, którą znałem. Czasem Donny, Willie i Woofers zachowywali się dziwnie w jej obecności. W końcu była dziewczyną. Jednak Ruth zawsze była dla nas dobra. W przeciwieństwie do innych matek z ulicy, zawsze miała dla nas mnóstwo czasu. Jej drzwi zawsze były otwarte. Częstowała nas colą, kanapkami, ciasteczkami, a czasami nawet piwem. To nie miało najmniejszego sensu, więc jej to powiedziałem.

– Daj spokój, Ruth nigdy by tego nie zrobiła. Może namaluj coś dla niej. Zrób jej portret. Założę się, że jej się spodoba. Może nie jest przyzwyczajona do dziewczyn? Może potrzebuje czasu. Zrób to. Namaluj coś dla niej.

Myślała o tym przez chwilę.

– Nie mogę – powiedziała. – Naprawdę.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu. Trzęsa się. Wiedziałem, że obojętnie o co w tym wszystkich chodzi, ona nie żartuje. Miałem pomysł.

– A co powiesz o mnie? Możesz namalować jeden dla mnie.

Bez ułożonego planu czy pomysłu nigdy bym jej o to nie poprosił. Ale teraz było inaczej.

Rozweseliła się nieznacznie.

– Naprawdę chciałbyś?

– Pewnie. Nawet bardzo.

Patrzyła w moje oczy do momentu, kiedy musiałem odwrócić wzrok. Potem uśmiechnęła się.

– Dobrze, Davidzie, namaluję go dla ciebie.

W tej chwili znów była sobą. Boże! Uwielbiałem, gdy się uśmiechała. Potem usłyszałem, jak otwierają się tylne drzwi.

– Meg?

– Lepiej już pójdę.

Wzięła moją dłoń i uścisnęła. Poczulem kamienie w obrączce ślubnej jej mamy. Zaczerwieniłem się.

– Zrobię to – powiedziała i zniknęła za rogiem.

Rozdział 12

Musiała zabrać się do malowania od razu, ponieważ następnego dnia lało aż do wieczora, a ja siedziałem w swoim pokoju, czytając „W poszukiwaniu Bridey Murphy” i słuchając radia, dopóki nie pomyślałem, że jeżeli jeszcze raz pieprzony Domenico Modugno zaśpiewa „Volare”, to chyba kogoś zatłukę. Potem, po kolacji, siedziałem z mamą w salonie, oglądając telewizję, kiedy nagle Meg zapukała do tylnych drzwi.

Moja mama wstała. Poszedłem za nią i po drodze wyjąłem pepsa z lodówki.

Meg uśmiechała się. Była ubrana w żółty, przeciwdeszczowy płaszcz. Miała mokre włosy.

– Nie mogę wejść – powiedziała.

– Nonsens – odpowiedziała moja mama.

– Nie, naprawdę – odparła. – Przyszłam, żeby przekazać to pani od pani Chandler.

Podala mojej mamie mokrą brązową siatkę z butelką mleka w środku. Ruth i moja mama niespecjalnie się przyjaźniły, jednak wciąż były sąsiadkami, a sąsiadki pożyczają sobie różne rzeczy.

Moja mama wzięła torbę i skinęła głową.

– Podziękuj ode mnie pani Chandler – powiedziała.

– Dobrze.

Potem sięgnęła pod płaszcz i spojrzała na mnie, teraz naprawdę się uśmiechając.

– A to dla ciebie – powiedziała.

Podala mi obraz.

Był zawinięty w warstwy szarego papieru, po bokach przymocowanego taśmą klejącą. Można było dostrzec kontury i niektóre kolory, jednak kształty były niewidoczne.

Zanim zdążyłem podziękować, powiedziała „do widzenia”, wyszła z powrotem na deszcz i zamknęła drzwi.

– No, proszę – powiedziała moja mama z uśmiechem. – Co my tu mamy?

– Myślę, że to obraz – odparłem.

Stałem tam, w jednej dłoni trzymając pepsa, a w drugiej obraz Meg. Wiem, co myślała moja mama.

Takie myśli zawierały w swojej treści słowo „słodkie”.

– Nie otworzysz?

– Tak, pewnie.

Odłożyłem butelkę i odwróciłem się do mamy plecami, próbując odkleić taśmę. Potem zdjąłem papier.

Czułem jej wzrok przez ramię, jednak nagle nie miałem nic przeciwko temu.

– To jest naprawdę dobre – powiedziała zaskoczona. – To jest naprawdę bardzo dobre. Ma dziewczyna talent.

Obraz był dobry. Nie byłem żadnym znawcą malarstwa, jednak nie musiałem nim być. Użyła atramentu, niektóre linie były mocne, inne zaś delikatne. Wszystkie kolory były blade, pastelowe, tak naprawdę były to tylko subtelne sugestie kolorów, jednak barwy były tak autentyczne, że miało się wrażenie, że patrzy się na jasny, słoneczny dzień.

Był to obraz chłopca nad rzeką. Chłopiec leżał na brzuchu na płaskiej skale, wpatrywał się w wodę. Wokół widoczne były niebo i drzewa.

Rozdział 13

Zabrałem go do Psiego Kąta, żeby go oprawić. To taki sklep zoologiczny przemieniony w punkt dla hobbystów. Mieli tam szczeniaki beagle'a na wystawie, strzały i łuki, obręcze hulahoop, zestawy modeli do sklejanania oraz rami do obrazów. Z tyłu sklepu trzymali rybki, żółwie, węże i kanarki. Gość rzucił okiem na obraz.

– Niezły – powiedział.

– Czy mogę odebrać go jutro?

– Czy widzisz, żebyśmy urabiali sobie tu ręce po pachy? – zapytał.

To miejsce było puste. Chyba ten sieciowy sklep za rogiem odbierał mu klientów.

– Możesz przyjść po niego po południu, wróć koło wpół do piątej.

Byłem tam piętnaście minut za wcześnie, jednak obraz był już gotowy. Oprawiony w ładną sosnową ramę, pomalowaną na kolor mahoni. Sprzedawca zawinął go w brązowy papier.

Obraz idealnie pasował do jednego z moich koszyków, przymocowanych z tyłu roweru.

Zanim dotarłem do domu, była już prawie pora kolacji, więc musiałem cierpliwie poczekać nad talerzem gulaszu, zielonej fasolki i puree z ziemniaków. Potem musiałem wynieść śmieci.

Następnie poszedłem do nich.

W telewizji właśnie zapowiadali mój najmniej ulubiony program „Ojciec wie najlepiej”, a na dodatek znów przyszli Kathy, Bud i Betty. W domu unosił się zapach kielbasy, fasolki i kiszzonej kapusty. Ruth siedziała w swoim fotelu z nogami wyciągniętymi na podnóżku. Donny i Willie rozwalili się na kanapie. Woofler leżał na brzuchu na podłodze tak blisko telewizora, że zastanawiałem się, czy z jego słuchem jest wszystko w porządku. Susan siedziała, oglądając telewizję na krześle stojącym w jadalni. Meg była w kuchni, zmywała naczynia.

Susan uśmiechnęła się do mnie. Donny tylko pomachał ręką i powrócił do oglądania telewizji.

– Rany – powiedziałem. – Nikt nawet nie wstaje.

– Co tam masz, przyjemniaczku? – zapytał Donny.

Podniosłem obraz zawinięty w brązowy papier.

– To te płyty Mario Lanzy, które tak chciałeś.

– Łajza! – zaśmiał się.

Ruth spojrzała na mnie.

Postanowiłem zrobić to teraz.

Usłyszałem, że w kuchni Meg zakręciła kran. Odwróciłem się i zobaczyłem, że patrzy na mnie, wycierając ręce w fartuszek. Uśmiechnąłem się do niej, a ona chyba wiedziała, co chcę zrobić.

– Ruth?

– Tak? Ralphie, ścisz telewizor. O tak. Co jest, Davy?

Podszedłem do niej. Spojrzałem przez ramię na Meg. Szła w moim kierunku. Potrząsała głową a jej usta uformowały się w ciche „nie.”

Rozumiałem ją. To była jedynie nieśmiałość. Ruth zobaczy obrazek i wszystko będzie już dobrze.

– Ruth – powiedziałem. – To od Meg.

Podąłem jej obraz.

Na początku uśmiechnęła się do mnie i do Meg, po czym wzięła go ode mnie. Woofier na tyle ściszył odbiornik, że słycać było jak szeleści odpakowywany papier, w końcu spadł na podłogę. Ruth spojrzała na obraz.

– Meg! – zawołała. – Skąd wzięłaś pieniądze, żeby go kupić?

Można było dostrzec, że go podziwia. Zaśmiałem się.

– Tylko rama została kupiona – powiedziałem. – Ona namalowała go dla ciebie.

– Ona? Meg?

Skinałem głowę.

Donny, Willie i Woofier wstali, by go zobaczyć.

Susan ześlizgnęła się z krzesła.

– Jest piękny! – powiedziała.

Spojrzałem na Meg. Wciąż stała zdenerwowana z oczami pełnymi nadziei.

Ruth wlepiła wzrok w obraz. Patrzyła przez długi czas.

– Nieprawda. Nie dla mnie. Nie nabierzesz mnie. Namalowała go dla ciebie, Davy.

Uśmiechnęła się. Ten grymas był trochę zabawny. Teraz ja również byłem zdenerwowany.

– Spójrz tutaj. Chłopiec na skale. Oczywiście, że to dla ciebie.

Podąła mi obraz z powrotem.

– Nie chcę go – powiedziała.

Byłem zdezorientowany. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że Ruth może go nie przyjąć. Przez chwilę nie wiedziałem, co zrobić. Stałem tam, trzymając go w ręku. To był piękny obraz.

Próbowałem wytłumaczyć.

– Ale on naprawdę miał być dla ciebie, Ruth. Przysięgam. Widzisz, rozmawialiśmy o tym, Meg chciała namalować go dla ciebie, ale ona...

– David.

To Meg mi przerwała. W tym momencie byłem jeszcze bardziej zdezorientowany, bo w jej głosie wyczułem ostrzeżenie.

Niemal mnie to rozzłościło. Oto stałem pośrodku tej przeklętej farsy, a Meg nie pozwalała mi z niej wybrnąć.

Ruth znów się uśmiechnęła. Potem spojrzała na Williego, Donny'ego i Woofera.

– Oto lekcja, chłopcy. Zapamiętajcie ją. To ważne. Wszystko, co musicie zrobić, to być mili dla kobiety, a ona robi dla was wszystkie miłe rzeczy, jakie tylko chcecie. Davy był miły dla Meg i dostał obraz. Ładny. To właśnie dostałeś, prawda Davy? To znaczy, czy tylko to dostałeś? Wiem, że jesteś trochę za młody, ale nigdy nie wiadomo.

Zaśmiałem się, czerwieniąc.

– Daj spokój, Ruth.

– Mówię ci, naprawdę, nigdy nie wiadomo. Dziewczyny są łatwe. To jest ich problem. Obiecuj im najmniejszą rzecz, a one dadzą ci to, co zechcesz. Wiem, co mówię. Spójrz na twojego ojca. Spójrz na Williego Seniora. Miał mieć swoją własną firmę, kiedy się pobieraliśmy. Całą masę samochodów rozwożących mleko. Chciał zacząć od jednego i powoli piąć się w górę. Miałam mu pomóc przy rachunkach, zająć się tym, co robiłam w czasie wojny przy Howard Avenue. Mieliśmy się dorobić bardziej od moich rodziców, gdy byłam dzieckiem. Mówię ci. A wiesz, co mam? Nic. Kompletnie nic. Tylko waszą trójkę, która wyskoczyła jeden za drugim i irlandzkiego sukinsyna, który wyjechał Bóg wie dokąd. Więc miałam trzy głodne gęby do wykarmienia, a teraz mam dodatkowo jeszcze dwie.

Poprawiła opadające na czoło włosy. Znów spojrzała na mnie.

– Mówię ci, dziewczyny są głupie. I są łatwe. Frajerki pod każdym względem.

Podeszła do Meg. Chwyciła ją ręką za ramiona i odwróciła się do nas.

– Weź ten obraz – powiedziała. – Wiem, że namalowałaś go dla Davida i nie próbuj mi wmówić, że jest inaczej. Ale to, co chcę wiedzieć, to co ty będziesz z tego miała? Myślisz, że co ten chłopiec da ci w zamian? Davy jest miłym chłopcem. Nawet lepszym niż cała reszta. Na pewno lepszym. Ale kochanie, on nic ci nie da! Jeżeli myślałaś, że jest inaczej, to grubo się pomyliłaś. Więc ja tylko mówię, że mam nadzieję, że ten obraz to jedyna rzecz, którą mu dałaś, i którą mu dasz. To dla twojego dobra. Bo masz już to, czego chcą mężczyźni w tym domu. I to nie jest twoja cholerna sztuka.

Widziałem, jak twarz Meg zaczyna drgać i wiedziałem, że starała się nie rozplakać. To wszystko nastąpiło tak niespodziewanie, a ja próbowałem się nie roześmiać. Donny też. Cała ta sytuacja była dziwna i po części śmiech był wynikiem napięcia, jednak to, co Ruth powiedziała o sztuce, było zabawne.

Jej uścisk wokół ramion Meg był teraz mocniejszy.

– A jeżeli dasz im to, czego chcą, to jesteś nikim innym jak dziwką, skarbie. Wiesz, co to dziwka? Wiesz, Susan? Oczywiście, że nie wiesz. Jesteś za mała. Więc dziwka to ktoś, kto rozchyła nogi przed mężczyzną tak żeby ten mógł dostać się do środka, to takie proste. Woof, przestań się uśmiechać, do cholery!

Tym razem usta Ruth były zaciśnięte.

– Każda, która jest zdziwka zasługuje na zmieszanie z błotem. Każdy w tym mieście się ze mną zgodzi. Więc ostrzegam cię, skarbie, puszczenie się w tym domu oznacza, że twój tyłek jest trawą a Ruth jest kosiarką.

Zostawiła Meg i poszła do kuchni.

– Dobra! – zawołała przez drzwi. – Kto chce piwo?

Wskazała ręką na obraz.

– I tak jest jakiś taki błady – powiedziała. – Nie sądzicie?

Zaczęła otwierać sześciopak.

Rozdział 14

W tamtym czasie wystarczyły mi dwa piwa, by do domu wrócić rozluźnionym i rozweselonym, z tradycyjną już obietnicą, że nie pisnę słowa moim rodzicom.

To zresztą i tak nie było konieczne. Moi rodzice byli zbyt zajęci swoimi sprawami.

Kiedy Ruth skończyła swój wykład, reszta wieczoru przebiegała dosyć spokojnie. Meg poszła na chwilę do łazienki, a kiedy wyszła, wyglądała tak, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Jej oczy były suche. Miała kamienny wyraz twarzy. Oglądaliśmy serial i popijaliśmy piwo. Podczas nadawania reklam zaproponowałem wyjście na kręgle w sobotę z Williem i Donnym. Próbowałem złapać wzrok Meg, jednak ona nie patrzyła w moją stronę. Kiedy skończyło się piwo, poszedłem do domu.

Obraz powiesiłem w moim pokoju obok lustra.

Pewne dziwne uczucie nie dawało mi spokoju. Nigdy wcześniej nie słyszałem, by ktoś wypowiadał słowo „dziwka”, chociaż wiedziałem, co ono oznacza. Wiedziałem z filmu „Peyton Place”, który oglądała moja mama.

Dziwka!? Zastanawiałem się, czy siostra Eddiego, Denise, była zbyt młoda, by pasować do tego określenia. Pamiętałem ją nagą przywiązaną do drzewa, z jej gładkimi, delikatnymi sutkami. Płakała i śmiała się, czasem nawet równocześnie. Pamiętałem pofałdowany kawałek skóry pomiędzy jej nogami.

Pomyślałem o Meg.

Leżałem w łóżku i pomyślałem, jak łatwo jest kogoś zranić. Nie musiał to być akt fizyczny. Wystarczy jedynie porządnie uderzyć w czuły punkt.

Ja też mógłbym to zrobić, gdybym tylko chciał.

Ludzie są bezbronni.

Pomyślałem o moich rodzicach, o tym, co robili i jak ranili siebie nawzajem. Robili to tak często, że ja, będąc w środku tego piekła, postanowiłem nie przejmować się żadnym z nich.

To były małe rzeczy, jednak po czasie zaczęły narastać.

Nie mogłem zasnąć. Moi rodzice byli w pokoju obok, mój ojciec chrapał. Wstałem i poszedłem do kuchni po colę. Potem poszedłem do salonu i usiadłem na kanapie. Nie włączyłem światła.

Było już dobrze po północy.

Noc była ciepła. Bezwietrzna. Jak zwykle moi rodzice zostawili otwarte okna.

Przez moskitierę wyraźnie widziałem salon Chandlerów. U nich wciąż paliły się światła. Okna były otwarte, słyszałem głosy. Niewiele rozumiałem, jednak wiedziałem, kto mówił. Willie. Ruth. Potem Meg. Potem Donny. Nawet Woofer jeszcze nie spał. Słyszałem jego głos, piskliwy jak u dziewczyny.

Reszta krzyczała.

– ...dla chłopca! – słyszałem, jak mówi Ruth. Potem jej głos zaginął w dżungli głosów i wrzasków.

Widziałem, jak Meg podchodzi do okna salonu. Gestykulowała, krzyczała, całe jej ciało zeszytywniało i trzęsło się od gniewu.

– Na pewno nie! – usłyszałem, jak mówi.

Potem Ruth powiedziała coś cichym głosem, co było poza zasięgiem mojego słuchu, jednak było to coś w rodzaju warknięcia. Nagle Meg upadła i skuliła się. Widziałem, że płakała.

A potem pojawiła się dłoń, która ją uderzyła.

Uderzyła tak mocno, że Meg wpadła na okno i już jej nie widziałem.

Willie poruszył się.

Szedł w jej kierunku. Powoli.

Zupełnie jakby ją tropił.

– Wystarczy! – słyszałem, jak mówi Ruth.

To chyba oznaczało, że Willie ma ją zostawić w spokoju.

Przez moment nikt się nie ruszał.

Potem sylwetki przychodziły i wychodziły, każdy wyglądał na ponurego i wściekłego. Willie, Woofer, Donny, Ruth i Meg zbierali coś z podłogi albo przestawiali krzesła, a potem powoli odeszli. Nie słyszałem już głosów ani rozmów. Jediną osobą która nie pojawiła się w pokoju, była Susan.

Siedziałem i patrzyłem.

Zgasły światła. Dostrzegłem niewyraźną poświatę dochodzącą z sypialni. Potem nawet poświata zniknęła i w ich domu zapanowała taka sama ciemność jak w naszym.

Rozdział 15

W sobotę w kręgielni Kenny Robertson chybił po raz siódmy i skończył z wynikiem stu siedmiu punktów. Kenny był chudy i miał tendencję do przenoszenia każdego swojego kilograma na kulę, aby rzut był mocniejszy. Podeszedł do nas, wycierając twarz chusteczką swojego ojca, która dziś w ogóle nie przynosiła mu szczęścia.

Siadł pomiędzy mną i Williem, za tablicą wyników. Patrzył, jak Donny ustawia się na swojej ulubionej pozycji, po lewej stronie toru.

– Myślisz o tym jeszcze? – zapytał Williego. – O wciągnięciu Meg do Gry?

Willie uśmiechnął się. Chyba był zadowolony. Wygrywał, co nie zdarzało się często. Zaprzeczył potrząśnięciem głowy.

– Teraz mamy naszą własną Grę – powiedział.

III

Rozdział 16

Nocami, kiedy spałem u Chandlerów, gdy już byliśmy zmęczeni wygłupami, a Woofers już spał, rozmawialiśmy.

Rozmowy odbywały się głównie pomiędzy mną i Donnym. Willie nigdy nie miał zbyt wiele do powiedzenia, a jeżeli nawet się odzywał, zwykle było to coś naprawdę głupiego. Jednak Donny był na tyle bystry i – jak już wspominałem – był moim najbliższym przyjacielem, więc do późnych godzin nocnych rozmawialiśmy o dziewczynach w szkole, komiksach, nieskończonych tajemnicach seksu i rockandrollowych piosenkach usłyszanych w radiu. Spieraliśmy się o to, co one naprawdę oznaczały, a także o wiele innych rzeczy.

Rozmawialiśmy o marzeniach, nadziejach, czasem nawet o koszmarach.

Donny zawsze zaczynał, a ja kończyłem. W którymś momencie układałem się na boku i mówiłem coś w stylu „wiesz, co mam na myśli?”, a on zasypiał i zostawiał mnie na pastwę moich własnych przemyśleń, niespokojnego – czasem aż do świtu. Sporo czasu zajmowało mi zagłębienie się w cokolwiek, nad czym wtedy myślałem, tak że później nie potrafiłem już o tym zapomnieć.

Mam tak do dziś.

Obecnie dialog zamienił się w monolog. Z nikim już nie rozmawiam. Nieważne, kto jest ze mną w łóżku, nigdy tego nie robię. Moje myśli czasem błądzą w koszmarach, jednak nigdy się nimi z nikim nie dzielę. Stałem się taki, jaki wtedy dopiero zaczynałem być – całkowicie zapobiegawczy.

To się zaczęło chyba wtedy, gdy miałem siedem lat i moja mama weszła do mojego pokoju. Spałem.

– Odchodzę od twojego taty – powiedziała, budząc mnie. – Nie chcę cię martwić. Wezmę cię ze sobą. Nie zostawię cię. Nigdy.

I wiem, że pomiędzy siódmym i czternastym rokiem życia czekałem, przygotowywałem się, stałem się osobą która odseparowała się od nich obojga.

Tak, wydaje mi się, że wtedy to się zaczęło.

Jednak pomiędzy siódmym i trzynastym rokiem życia były jeszcze Ruth, Meg i Susan. Bez nich ta rozmowa z moją mamą mogła wyjść mi nawet na dobre. Mogła mnie ocalić przed

szokiem i dezorientacją gdy nadszedł czas. Bo dzieci są odporne. Wracają do zaufania i dzielenia się sobą.

Ja nie byłem w stanie. Z powodu tego, co stało się potem, z powodu tego, co zrobiłem. I czego nie zrobiłem.

Moja pierwsza żona, Evelyn, czasami do mnie dzwoni, budząc mnie w nocy.

– Czy z dziećmi wszystko w porządku? – pyta.

Ma przerażony głos.

Ja i Evelyn nie mamy dzieci.

Z powodu ataków głębokiej depresji i lęku była już wiele razy w przeróżnych ośrodkach, jednak ta fiksacja jest niesamowita.

Ponieważ nigdy jej nie powiedziałem. Nic. Nigdy.

Więc skąd może wiedzieć?

Mówię przez sen? Wyznałem jej to pewnej nocy? A może ona wyczuwa coś, co jest we mnie ukryte. Prawdziwy powód, dla którego nigdy nie mieliśmy dzieci. Powód, dla którego nigdy na to nie pozwoliłem.

Jej wezwania są jak sowy huczące nad moją głową. Czekam na ich powroty. Kiedy się pojawiają biorą mnie z zaskoczenia.

To przerażające.

Czy z dziećmi wszystko w porządku?

Nauczyłem się, by nie wyprowadzać jej z błędu.

– Tak, Evelyn – powtarzam. – Z dziećmi wszystko w porządku. Śpij dalej.

Jednak z dziećmi nie jest w porządku.

Nigdy nie będzie.

Rozdział 17

Zapukałem do tylnych drzwi.

Nikt nie odpowiedział.

Otworzyłem je i wszedłem do środka.

Od razu usłyszałem, jak się śmieją. Głosy dochodziły z którejś sypialni. Meg wydawała z siebie piskliwy dźwięk, a Woofler histeryczny chichot. Śmiech Williego i Donny'ego był niższy, bardziej męski.

Tak naprawdę nie mogłem tutaj być. Zostałem ukarany za to, że bawiłem się B-52, modelem samolotu, który dostałem od ojca na gwiazdkę i nie mogłem przymocować jednego z kół. Próbowaliśmy trzy lub cztery razy i w końcu rzuciłem nim o ziemię i kopnąłem go tak mocno, że rozpadł się na drobne kawałeczki. Wtedy wpadła moja mama, zrobiła mi scenę i zostałem uziemiony.

Mama wyszła teraz na zakupy. Chociaż przez chwilę byłem wolny.

Skierowałem się do sypialni.

Meg stała pod ścianą w rogu obok okna.

Donny odwrócił się.

– Hej, David! Ona ma łaskotki! Meg ma łaskotki!

To było jak sygnał do ataku, ponieważ cała czwórka osaczyła ją sięgając do jej żeber, podczas gdy ona skręcała się i próbowała ich odepchnąć. Oni atakowali ją ze wzmożoną siłą. Meg śmiała się, próbując osłonić łokciami brzuch, jej rudy kucyk kołysał się na boki.

– Dorwij ją!

– Dorwałem!

– Dorwij ją Willie!

Spojrzałem na łóżko, gdzie siedziała Susan. Ona też się śmiała.

– Auu!

Usłyszałem uderzenie.

Dłoń Meg zakrywała jej pierś, a ręka Wooflera przyłożona była do twarzy, gdzie widniał czerwony ślad. Zbierało mu się na płacz. Willie i Donny cofnęli się w tył.

– Co jest do cholery!

Donny był wściekły. Było w porządku, kiedy on bił Woofera, jednak nie lubił, gdy ktoś inny to robił.

– Ty dziwko! – powiedział Willie.

Próbował wymierzyć niezdarny cios w jej głowę. Łatwo uniknęła jego ręki. Nie ponowił próby.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Widziałeś, co zrobił!

– Nie zrobił nic złego.

– Uszczypnął mnie.

– Co z tego.

Woofier rozplakał się.

– Poskarżę się – jęczał.

– Proszę bardzo – powiedziała Meg.

– Nie będzie ci wesoło, jeśli to zrobię. – Woofier nie dawał za wygraną.

– Nie obchodzi mnie, co zrobisz. Nie obchodzi mnie, co zrobicie! – Meg odepchnęła Williego, przeszła obok mnie i ruszyła w głąb korytarza do salonu.

Usłyszałem trzaśnięcie wejściowych drzwi.

– Mała dziwka – powiedział Willie. Odwrócił się do Susan. – Twoja siostra to przekłeta dziwka.

Susan milczała. Mimo wszystko podszedł do niej. Widziałem, jak się wzdrygnęła.

– Widziałeś to?

– Nie patrzyłem – odparłem.

Woofier pociągał nosem. Z podbródka spływał mu smark.

– Uderzyła mnie! – krzyknął. Potem też wybiegł z pokoju.

– Powiem mamie – powiedział Willie.

– Taa, ja też – dołączył się Donny. – Nie ujdzie jej to na sucho.

– Tylko się wygłupialiśmy, na litość boską.

Donny skinął głową.

– Ona naprawdę go trzepnęła.

– Woofier dotknął jej piersi.

– Co z tego. Nie chciał.

– Nie ma podbitego oka.

– Wciąż jeszcze może mieć.

– Dziwka.

W pokoju zapanowała nerwowa atmosfera.

Willie i Donny chodzili wokół niczym dwa rozjuszone byki. Susan ześlizgnęła się z łóżka. Jej szyny wydały ostry, metaliczny brzęk.

– Gdzie się wybierasz? – zapytał Donny.

- Chcę iść do Meg – powiedziała cicho.
- Pieprzyć Meg. Zostań tutaj. Widziałas, co zrobiła?

Susan skinęła głową.

- Dobra. Wiesz, że zostanie ukarana, tak?

Brzmiał bardzo rozsądnie, niczym starszy brat, który tłumaczy coś cierpliwie niezbyt bystrej siostrze. Znów skinęła głową.

– Więc chcesz być po jej stronie i też zostać ukarana? Chcesz, żeby twoje przywileje zostały cofnięte?

– Nie.

– Więc zostań tutaj, jasne?

– Dobrze.

– Tutaj. W pokoju.

– Dobrze.

– Poszukajmy mamy – powiedział do Williego.

Wyszedłem za nimi z pokoju do jadalni, potem wyszliśmy przez tylne drzwi.

Ruth była z tyłu garażu, plewiła grządkę z pomidorami. Sukienka, którą nosiła, była stara, wyblakła i znacznie na nią za duża, związana paskiem pośrodku. Dekolt był szeroko otwarty.

Nigdy nie nosiła stanika. Stałem i widziałem jej piersi. Były małe i blade, i trzęsły się, gdy ona pracowała. Kilkakrotnie odwracałem wzrok ze strachu, że zauważy moje spojrzenie, jednak moje oczy były jak igła kompasu, a jej piersi wskazywały na północ.

– Meg uderzyła Woofera – powiedział Willie.

– Naprawdę? – Nie wydawała się być zmartwiona. Po prostu plewiła.

– W twarz – powiedział Donny.

– Dlaczego?

– Po prostu się wygłupialiśmy.

– Łaskotaliśmy ją – powiedział Willie. – A ona grzmotnęła go w twarz. Tak po prostu.

Odwróciła wzrok od grządki. Jej piersi zatrzęsły się. Zobaczyłem na nich gęsią skórę. Byłem zafascynowany. Spojrzała na mnie, ale ja spojrzałem jej w oczy w samą porę.

– Ty też, Davy?

– Co?

– Ty też łaskotałeś Meg?

– Nie. Ja dopiero przyszedłem.

Uśmiechnęła się.

– Nie oskarżam ciebie.

Najpierw uklękła, potem wstała, zdejmując rękawice.

– Gdzie jest teraz?

– Nie wiem – powiedział Donny. – Wybiegła na zewnątrz.

– A Susan?

- Jest w sypialni.
- Czy widziała to wszystko?
- Tak.
- Dobrze.

Przeszła przez trawnik i zaczęła iść w kierunku domu. Ruszyliśmy za nią. Na ganku wytarła swoje chude, kościste dłonie w sukienkę. Zdjęła chustę, którą związała brązowe włosy.

Pomyślałem, że mam około dwudziestu minut, zanim moja mama wróci z zakupów, więc wszedłem do środka.

Poszedłem za nią do sypialni. Susan siedziała dokładnie tam, gdzie ją zostawiliśmy, na łóżku. Czytała magazyn.

- Susan? Gdzie jest Meg?
- Nie wiem, proszę pani. Wyszła.
- Ruth usiadła obok niej na łóżku. Głaskała jej dłoń.
- Powiedziano mi, że widziałas, co się tutaj stało.
- Tak, proszę pani. Woofier dotknął Meg, a Meg go uderzyła.
- Dotknął ją?

Susan skinęła głową i ułożyła dłoń na swojej chudej klatce piersiowej, jakby przysięgała wierność swojemu krajowi.

- Tutaj – powiedziała.

Ruth patrzyła przez chwilę.

- Czy próbowałaś ją powstrzymać? – zapytała nieoczekiwanie.
- Powstrzymać Meg?
- Tak. Powstrzymać Meg przed uderzeniem Ralphiego.

Susan wyglądała na zdezorientowaną.

– Nie mogłam. To zdarzyło się zbyt szybko, pani Chandler. Woofier dotknął jej, a Meg od razu go uderzyła.

– Powinnaś była spróbować, kochanie – Ruth znów pogłaskała jej dłoń. – Meg to twoja siostra.

- Tak, proszę pani.

– Jeżeli uderzysz kogoś w twarz, to możesz wyrządzić mu krzywdę. Możesz chybić i uszkodzić bębenek albo podbić oko. To niebezpieczne zachowanie.

- Tak, pani Chandler.

– Ruth. Mówiłam ci. Mów mi Ruth.

- Tak, Ruth.

– Więc wiesz, co oznacza bycie pobłażliwym dla kogoś, kto robi takie rzeczy?

Potrząsnęła głową.

– To oznacza, że ty też jesteś winna, nawet jeśli naprawdę niczego w sumie nie zrobiłaś. Jedzicie na tym samym wózku. Rozumiesz mnie?

– Nie wiem.

Ruth westchnęła.

– Pozwól, że ci wytłumaczę. Kochasz swoją siostrę, tak?

Susan skinęła głową.

– A ponieważ kochasz swoją siostrę, wybaczyłabyś jej coś takiego, tak? Coś takiego jak uderzenie Ralphiego?

– Ona nie chciała go skrzywdzić. Ona tylko się zezłościła!

– Oczywiście, że tak. Więc wybaczyłabyś jej, mam rację?

– Aha.

Ruth uśmiechnęła się.

– To jest bardzo złe, kochanie! To dlatego jesteś dla niej pobłażliwa. To, co zrobiła, nie było dobre, a ty wybaczasz jej tylko dlatego, że ją kochasz i to też jest złe. Musisz przestać z nią sympatyzować, Suzie. Nieważne, że Meg jest twoją siostrą. Zło jest złem. Pamiętaj o tym, jeżeli chcesz przejść przez życie. Więc połóż się na brzegu łóżka, podciągnij sukienkę i zdejmij majtki.

Susan wlepiała w nią wzrok. Miała szeroko otwarte oczy, całe jej ciało zeszywniało.

Ruth wstała z łóżka. Odpięła swój pas.

– Dalej, skarbie – powiedziała. – To dla twojego dobra. Muszę cię nauczyć, że pobłażliwość jest zła. Meg nie może otrzymać teraz swojej lekcji. Ty dostaniesz ją za to, że nie próbowałaś jej powstrzymać. Więc chodź tutaj. Nie zmuszaj, bym wyciągnęła cię siłą.

Susan tylko patrzyła. Tak jakby nie mogła się poruszyć.

– W porządku – powiedziała Ruth. – Nieposłuszeństwo to kolejna sprawa.

Wyciągnęła rękę i mocno wzięła Susan pod ramię i położyła ją na krawędzi łóżka. Susan zaczęła płakać. Jej szyny zabrzęczały. Ruth odwróciła ją twarzą do poduszek. Podciągnęła jej czerwoną sukienkę i wetknęła rąbek za pasek.

Willie parsknął śmiechem. Ruth spojrzała na niego ostrzegawczo.

Zdjęła jej małe, bawełniane majtki, które teraz leżały na podłodze wokół kostek Susan.

– Pięć za twoją własną pobłażliwość, dziesięć za zachowanie Meg. I pięć za nieposłuszeństwo. To razem dwadzieścia.

Susan naprawdę zaczęła teraz płakać. Słyszałem ją. Widziałem strumień łez płynący po jej policzkach. Nagle poczułem wstyd i powoli zacząłem cofać się w kierunku drzwi. Jakiś impuls mówił mi, że Donny chciał zrobić to samo. Jednak Ruth musiała nas widzieć.

– Nie ruszajcie się, chłopcy. Dziewczyny po prostu płaczą. Nic nie można na to poradzić. To dla jej dobra, a wy jesteście częścią tego, więc macie zostać.

Pasek był z cienkiej tkaniny, nie był skórzany. Pomyślałem, że może nie będzie tak bardzo bolało.

Zgięła go w pół i uniosła nad głową.

Trzask.

Susan nabrała powietrza i rozplakała się na dobre, głośno.

Jej pupa była tak blada jak piersi Ruth, teraz okryte sukienką. I też się trzęsła. Zobaczyłem czerwony ślad na lewym pośladku.

Spojrzałem na Ruth, gdy znów uniosła pas. Jej usta były mocno ściśnięte. Jej twarz była pusta, bez wyrazu.

W krótkich odstępach czasu wymierzyła najpierw trzecie, potem czwarte uderzenie.

Tyłek Susan był teraz krwiście czerwony.

Piąte.

Prawie krztusiła się łzami, oddychała z trudem.

Ruth unosiła dłoń coraz bardziej zamazyscie. Musieliśmy się cofnąć.

Liczyłem. Sześć. Siedem. Osiem, dziewięć, dziesięć.

Nogi Susan drgały. Jej piąstki były białe od ściskania prześcieradła.

Nigdy nie słyszałem takiego płaczu.

Uciekaj, pomyślałem. Jezu! Ja bym uciekł.

Ale ona oczywiście nie uciekała. Równie dobrze mogłaby być przykuta do łóżka.

To sprawiło, że pomyślałem o Grze.

Zdałem sobie sprawę, że oto Ruth zaczęła grać w Grę.

Niech mnie diabli. Chociaż mrużyłem oczy za każdym razem, gdy pas opadał w dół, nie mogłem się nadziwić. Ta myśl była dla mnie niesamowita. Dorosły. Dorosły grał w Grę. Nie była to do końca nasza Gra, jednak była wystarczająco podobna.

Nagle przestała być zabroniona. Poczucie winy opadło. Jednak uczucie ekscytacji jej towarzyszące pozostało. Czuję, jak moje paznokcie głęboko zanurzają się w moich dłoniach.

Liczyłem dalej. Jedenaście. Dwanaście. Trzynaście.

Na czole i nad górną wargą Ruth pojawiły się małe strużki potu. Jej uderzenia były mechaniczne. Czternaście, piętnaście. Jej ramię uniosło się w górę. Pod bezkształtną sukienką widziałem, jak jej brzuch faluje.

– Wow!

Woofier wślizgnął się do pokoju i stanął pomiędzy mną i Donnym.

Szesnaście.

Wlepiął wzrok w czerwoną twarz Susan.

– Wow – powtórzył.

Wiem, że myślał o tym, o czym ja myślałem – myśleliśmy o tym obaj.

Kary były czymś osobistym. W moim domu przynajmniej tak było. W każdym domu, który znałem, tak było.

To nie była kara. To była Gra.

Siedemnaście, osiemnaście.

Susan upadła na podłogę.

Łkała. Całe jej kruche ciało trzęsło się, nogi miała tak mocno przyciśnięte do klatki piersiowej, jak tylko pozwalały na to jej szyny.

Ruth oddychała ciężko. Podciągnęła majtki Susan. Podniosła ją i ułożyła na łóżku, spuszczać na dół jej sukienkę.

– Dobrze – powiedziała łagodnie. – Wystarczy. Teraz odpoczywaj. Jesteś mi winna jeszcze dwa.

Przez chwilę wszyscy staliśmy, wsłuchując się w rozpaczliwe łkanie.

Usłyszałem zatrzymujący się samochód przed domem obok.

– Rany! – zawołałem. – Moja mama!

Wybiegłem do salonu, potem przez tylne drzwi. Matka wstawiła właśnie samochód do garażu. Bagażnik był otwarty, wystawały z niego torby z zakupami.

Przebiegłem przez trawnik do frontowych drzwi, wbiegłem po schodach do mojego pokoju i otworzyłem gazetę.

Słyszałem, jak otwierają się tylne drzwi.

– David! Zejdź na dół i pomóż mi z zakupami!

Drzwi zamknęły się.

Wyszedłem do samochodu. Moja mama zmarszczyła czoło. Podawała mi jedną torbę za drugą.

– W sklepie było mnóstwo ludzi – powiedziała. – Co robiłeś?

– Nic. Czytałem.

Gdy odwróciłem się, by wejść do środka, ujrzałem Meg po drugiej stronie ulicy, przy drzewach rosnących przez domem Zornów.

Wpatrywała się w dom Chandlerów, w ustach trzymając źdźbło trawy. Wyglądała na zamyśloną, jak gdyby próbowała podjąć jakąś decyzję.

Chyba mnie nie zauważyła.

Zastanawiałem się, ile wiedziała.

Zaniosłem torby do domu.

Później, gdy wyszedłem, żeby zabrać z garażu węża ogrodowego, zobaczyłem je w ogrodzie. Meg i Susan siedziały w wysokiej trawie przy brzozie.

Meg czesała siostrze włosy. Długie, płynne ruchy szczotki były jednocześnie stanowcze i delikatne. Drugą dłonią przytrzymywała włosy, unosiła je lekko i pozwalała im swobodnie opadać.

Susan uśmiechała się. Nie był to szeroki uśmiech, jednak widać było, że sposób, w jaki Meg pieści ją i pociesza, sprawia jej przyjemność.

W tej chwili zauważyłem, jak ta dwójka była sobie bliska, jak osamotnione i wyjątkowe były w swojej relacji. Niemal im zazdrościłem.

Nie chciałem im przeszkadzać.

Znalazłem węża ogrodowego. Gdy wyszedłem z garażu, poczułem na policzku wiatr i usłyszałem, jak Meg nuci piosenkę. Jej głos był delikatny, jakby śpiewała kołysankę. Była to piosenka, którą nuciła mi moja mama, kiedy byłem mały.

Złapałem się na tym, że ja też nuciłem ją przez cały dzień. A za każdym razem, gdy to robiłem, przed oczami miałem obraz Meg i Susan, siedzących razem w trawie i czułem na twarzy ciepły dotyk słońca i delikatnych dłoni głaszczących moją twarz.

Rozdział 18

– Davidzie, czy masz jakieś pieniądze?

Sięgnąłem do kieszeni, gdzie znalazłem pognieciony banknot jednodolarowy i trzydzieści pięć centów. Byliśmy w drodze na plac zabaw, ja i Meg. Mieliśmy pograć tam przez chwilę. Miałem swoją starą rękawicę i posklejaną taśmą piłkę.

Pokazałem jej pieniądze.

– Czy możesz mi je pożyczyć?

– Wszystko?

– Jestem głodna – powiedziała.

– Naprawdę?

– Chcę iść kupić sobie kanapkę.

– Kanapkę?

Zaśmiałem się.

– Dlaczego nie ukradniesz kilku batoników? To łatwe.

Sam tak robiłem kilka razy. Większość z nas tak robiła. Najlepiej było zbliżyć się do tego, co miałeś na oku, wziąć to i od razu wyjść. Bez wahania. W sklepie zawsze było mnóstwo ludzi. I nikt nie przejmował się panem Hollym, właścicielem, więc też nie mieliśmy poczucia winy. Jednak Meg tylko zmarszczyła czoło.

– Ja nie kradnę – powiedziała.

O Jezu, pomyślałem. Księżniczka.

Przez chwilę trochę jej nienawidziłem. Wszyscy kradli. To był jeden z aspektów bycia dzieckiem.

– Po prostu pożycz mi pieniądze, okay? – powiedziała.

Nie mogłem dłużej się na nią gniewać.

– Okay, pewnie – odparłem. Dałem jej banknot i monety. – Ale dlaczego chcesz kanapkę? Zrób ją sobie u Ruth.

– Nie mogę.

– Jak to?

– Nie wolno mi.

– Dlaczego?

– Nie mogę jeszcze jeść.

Przeszliśmy przez ulicę. Spojrzałem najpierw w lewo, potem w prawo, a potem na nią. Miała to dziwne spojrzenie. Jakby było coś, o czym nie mogła mówić. Na dodatek zaczerwieniła się.

– Nie rozumiem.

Kenny, Eddie i Lou Morino byli już na boisku, rzucali piłką. Denise stała z boku i przyglądała się. Nikt nas jeszcze nie zauważył. Wiedziałem, że Meg chciała już iść, jednak ja się w nią wpatrywałem.

– Ruth mówi, że jestem gruba – powiedziała w końcu.

Zaśmiałem się.

– Więc? – zapytała.

– Więc co?

– Jestem?

– Co? Gruba? – Widziałem jej poważny wyraz twarzy, jednak ja nie mogłem powstrzymać śmiechu. – Oczywiście, że nie. Ona żartuje.

Spojrzała na mnie.

– To naprawdę niezły żart – powiedziała. – Spróbuj kiedyś nie jeść kolacji, śniadania i obiadu przez cały dzień.

Zatrzymała się i odwróciła ode mnie.

– Dzięki – powiedziała.

Potem odeszła.

Rozdział 19

Po mniej więcej godzinie przestaliśmy grać w piłkę. Do tego czasu większość dzieciaków z sąsiedztwa była już na boisku, nie tylko Kenny, Eddie, Denise, Lou Morino, ale także Willie, Donny, Tony Morino, a nawet Glen Knott i Harry Gray, który pojawił się dlatego, że grał z nami Lou. Ze starszymi dzieciakami gra była ciekawa i szybka do momentu, kiedy Eddie wszedł brutalnym wślizgiem w trzecią bazę.

Wszyscy za wyjątkiem Eddiego wiedzieli, że był faul, jednak nie sposób było mu to powiedzieć. Okręzał bazy, podczas gdy Kenny pobiegł za piłką. A potem wybuchła tradycyjna kłótnia. Spierdalaj, sam spierdalaj, nie, ty spierdalaj.

Z tą różnicą że tym razem Eddie złapał za kij i zaczął gonić Lou Morino.

Lou był większy i starszy od Eddiego, jednak Eddie miał kij, a jego uderzenie skutkowało ryzykiem złamania nosa lub rozbitej głowy, więc wybiegł poza boisko, ciągnąc za sobą Harry'ego i Glena, podczas gdy Eddie zaczął biec w innym kierunku.

Reszta z nas bawiła się w berka.

To właśnie robiliśmy, zanim znów zobaczyłem Meg.

Do ręki dała mi resztę, a ja włożyłem monety do kieszeni.

– Jestem ci winna osiemdziesiąt pięć centów – powiedziała.

– W porządku.

Zauważyłem, że jej włosy wyglądały na nieco przetłuszczone, jakby nie umyła ich dziś rano. Mimo to i tak wyglądała ślicznie.

– Chcesz coś zrobić? – zapytała.

– Co?

Rozejrzałem się. Bałem się, że inni mogą usłyszeć.

– Nie wiem. Pójść nad rzekę?

Donny rzucił mi piłkę. Ja odrzuciłem ją do Williego. Jak zwykle był zbyt powolny i nie złapał jej.

– Nieważne – powiedziała Meg. – Jesteś zbyt zajęty.

Chyba była poirytowana albo urażona. Chciała odejść.

– Nie. Hej! Czekaj!

Nie mogłem jej zaprosić do gry. Nie miała rękawicy.

– Jasne, pewnie. Pójdziemy nad rzekę. Zaczekaj chwilę.

Był tylko jeden sposób, by wyjść z tego z twarzą. Musiałem zapytać innych.

– Hej, chłopaki! Chcecie iść nad rzekę? Łapać raki? Strasznie tu gorąco.

W sumie uważałem, że był to dobry pomysł. Naprawdę było gorąco.

– Pewnie, ja pójdę – odparł Donny.

Willie wzruszył ramionami i skinął głową.

– Ja też – powiedziała Denise.

Świetnie, pomyślałem, Denise. Teraz potrzeba już tylko Woofera.

– Ja idę na lunch – powiedział Kenny. – Może przyjdę tam później.

– Okay.

Tony zawahał się, jednak stwierdził, że także jest głodny. Czyli została nasza piątka.

– Chodźmy najpierw do domu – powiedział Donny. – Weźmiemy parę puszek na raki i coś do picia.

Weszliśmy przez tylne drzwi. Usłyszałem odgłos pralki dochodzący z piwnicy.

– Donny, to ty?

– Tak, mamó.

– Przynies z kuchni coś do picia, dobra? – powiedział Donny, patrząc na Meg. – Ja zejść na dół po słoiki i zobaczę, czego chce – szepnął w naszym kierunku.

Siedziałem z Williem i Denise przy kuchennym stole. Były na nim okruszki, które zrzuciłem na podłogę. Popielniczka była wypełniona po brzegi, nie było w niej jednak wystarczająco dużego niedopałka, który nadawałby się na potem.

Meg trzymała termos i ostrożnie nalewała do niego lemoniadę, kiedy pojawili się na górze.

Donny trzymał dwa słoiki z masłem orzechowym i stertę puszek. Ruth wycierała dłonie w fartuch. Uśmiechnęła się do nas, ale szybko spojrzała na Meg.

– Co robisz? – zapytała.

– Nalewam lemoniadę.

Ruth sięgnęła do kieszeni po papierosy i zapaliła jednego.

– Mówiłam ci przecież, żebyś trzymała się z dala od kuchni.

– Donny chciał, żebym przyniosła coś do picia. To był jego pomysł.

– Nie obchodzi mnie, czy to był pomysł.

Wypuściła trochę dymu i zaczęła kaszleć. Kaszel był tak silny, że przez chwilę nie potrafiła mówić.

– To tylko lemoniada – powiedziała Meg. – Nie jem.

Ruth skinęła głową.

– Pytanie brzmi – mówiła, zaciągając się papierosem – pytanie brzmi, co wykradłaś, zanim tu weszłam?

Meg skończyła nalewać napój do termosu.

– Nic – westchnęła. – Nic nie wykradłam.

Ruth znów skinęła głową.

– Podejdź tutaj – powiedziała.

Meg nie ruszyła się z miejsca.

– Powiedziałam, podejdź tutaj.

Podeszła.

– Otwórz buzię, niech sprawdzę twój oddech.

– Co?

Obok mnie Denise zaczęła chichotać.

– Nie wkurzaj mnie. Otwieraj usta.

– Ruth...

– Otwieraj.

– Nie!

– Co? Co powiedziałaś?

– Nie masz prawa...

– Mam wszelkie prawo. Otwieraj.

– Nie!

– Powiedziałam, otwieraj, kłamczucho.

– Nie jestem kłamczuchą.

– Wiem, że jesteś dziwką, więc jesteś też kłamczuchą. Otwieraj i to już!

– Nie.

– Otwieraj gębę!

– Nie.

– Mówię do ciebie.

– Nie zrobię tego.

– Oczywiście, że zrobisz. Jeśli będę musiała, sprawię, by chłopcy sami ci je otworzyli.

Willie parsknął ze śmiechu. Donny wciąż wstał w progu, trzymając puszki i słoiki. Wyglądał na zawstydzonego.

– Otwieraj gębę, dziwko.

Denise znów zachichotała.

Meg patrzyła prosto w oczy Ruth. Wzięła oddech. W tym momencie rzuciła wyzwanie dorosłemu z niewiarygodną dostojanością.

– Powiedziałam ci, Ruth – wycodziła. – Powiedziałam nie.

Nawet Denise się zamknęła.

Byliśmy pod wrażeniem.

Nigdy wcześniej nie widzieliśmy czegoś takiego. Dzieci były stworzone do tego, by znosić upokorzenie lub od niego uciec. Biegłeś do swojego pokoju, trzaskałeś drzwiami, krzyczałeś i płakałeś. Nie jadłeś kolacji. Wyolbrzymiałeś, celowo psułeś zabawki. Byłeś

ponury, cichy i nie przejmowałaś się szkołą. I to była jedyna broń w twoim arsenale. A to, czego nie robiłaś, to sprzeciwianie się dorosłemu i mówienie mu „pieprz się” w tyłu słowach. Dziecko po prostu nie stoi i nie mówi spokojnie „nie.” Wciąż byliśmy na to za mali. Więc to było naprawdę niezwykle. Ruth uśmiechnęła się i zgasła papierosa.

– Myślę, że pójde po Susan – powiedziała. – Chyba jest w swoim pokoju.

Teraz to ona wpatrywała się w Meg.

Trwało to przez chwilę, ich dwójka stała twarzą w twarz niczym rewolwerowcy gotowi do strzału. Ciało Meg zatrzęsło się.

– Trzymaj się z daleka od mojej siostry! Zostaw ją w spokoju!

Miała dłonie zaciśnięte w pięści, aż białe na kostkach. Wiedziałem, że ona wie o biciu tamtego dnia.

Zastanawiałem się, czy były jeszcze inne razy, inne rękoczynny.

W jakimś stopniu ulżyło nam. To bardziej przypominało coś, do czego byliśmy przyzwyczajeni.

Ruth po prostu wzduszyła ramionami.

– Nie musisz się tak denerwować, Meggy. Chcę ją tylko zapytać, co wie na temat twojego podjadania pomiędzy posiłkami. Jeżeli nie zrobisz tego, o co proszę, ona będzie musiała powiedzieć coś na ten temat.

– Jej nawet nie było z nami!

– Jestem pewna, że cię słyszała, kochanie. Jestem pewna, że sąsiedzi też cię słyszeli. Tak czy inaczej siostry wiedzą takie rzeczy, nieprawdaż? Instynktownie czy jakoś tak.

Skierowała się do sypialni.

– Susan?

Meg wyciągnęła dłoń i złapała ją za ramię. Jakby teraz była zupełnie inną dziewczyną wystraszoną bezsilną i zdesperowaną.

– Niech cię szlag! – powiedziała.

Od razu wiedziałem, że to był błąd.

Ruth odwróciła się i uderzyła ją w twarz.

– Śmiesz mnie dotykać? Dotykać mnie, do cholery? W ten sposób poczynać sobie ze mną, gówniaro?!

Znów ją uderzyła, a kiedy Meg wpadła na lodówkę i upadła na podłogę, Ruth podeszła, złapała ją za szczękę i mocno ścisnęła.

– A teraz otwórz tę przekłętą gębę, słyszysz mnie? Albo rozprawię się z tobą i twoją siostrzyczką! Słyszysz mnie? Willie? Donny?

Willie stał i podszedł do niej. Donny wyglądał na zdezorientowanego.

– Trzymajcie ją.

Zamarłem. Wszystko działo się tak szybko. Zorientowałem się, że Denise siedzi obok mnie z szeroko otwartymi oczami.

– Powiedziałam, trzymać ją.

Willie wziął jej prawe ramię, a Ruth chyba sprawiała jej ból, trzymając jej szczękę, bo Meg nie opierała się. Donny położył puszki i słoiki na stole i przytrzymał jej lewą rękę. Dwa pudełka stoczyły się ze stołu na podłogę.

– Otwieraj ryj, przybłędo!

Meg stawiała opór. Próbowwała wstać, szarpiąc się, jednak oni trzymali ją mocno. Willie dobrze się bawił, to było oczywiste. Jednak Donny był poważny. Ruth obiema rękami próbowała siłą otworzyć jej usta.

Meg ugryzła ją.

Ruth krzyknęła i cofnęła się. Meg zdołała wstać. Willie mocno wykręcił jej ramię za plecy. Jęknęła, szarpiąc się jeszcze mocniej w desperackiej panice, usiłując uwolnić lewe ramię z uścisku Donny'ego, co prawie jej się udało.

Potem znów Ruth podeszła bliżej.

Przez chwilę stała i wpatrywała się w jej twarz. Potem ścisnęła dłoń w pięść i uderzyła Meg w brzuch, dokładnie tak jak zrobiłby to mężczyzna, z prawie taką samą siłą. Odgłos przypominał uderzenie piłką. Meg upadła, krztusząc się. Próbowwała złapać oddech.

Donny puścił ją.

– Jezu! – wyszeptwała Denise.

Ruth cofnęła się.

– Chcesz się bić? – powiedziała. – Śmiało, walcz.

Meg potrząsnęła głową.

– Co? Już nie chcesz się bić? Nie?

Potrząsnęła głową.

Willie spojrzał na matkę.

– Wielka szkoda – powiedział cicho.

Wciąż trzymał jej ramię. Znów zaczął je mocno wykręcać. Szarpała się.

– Willie ma rację – powiedziała Ruth. – Dalej Meg, skarbie, walcz. Walcz z nim.

Willie mocno wykręcił jej ramię. Meg podskoczyła z bólu i potrząsnęła głową po raz trzeci.

– Chyba tego nie zrobi. Ta dziewczyna nie chce zrobić niczego, o co ją proszę.

Ruth spojrzała na rękę, w którą ugryzła ją Meg. Była tylko zaczerwieniona. Meg nie uszkodziła skóry.

– Puść ją – powiedziała.

Puścił jej rękę. Meg zatoczyła się. Płakała.

Nie chciałem na to patrzeć. Odwróciłem wzrok.

Zobaczyłem Susan stojącą w korytarzu. Trzymała się ściany, wyglądała na przestraszoną. Jej oczy skierowane były na siostrę.

– Muszę już iść – powiedziałem. Mój głos nawet dla mnie brzmiał dziwnie.

– A co z rzeką? – powiedział Willie. Był zawiedziony, cholerny dupek. Jak gdyby nic się nie stało.

– Później – powiedziałem. – Muszę już iść.

Czułem na sobie spojrzenie Ruth.

Wstałem. Z jakiegoś powodu nie chciałem przechodzić obok Meg. Zamiast tego przeszedłem obok Susan i skierowałem się do frontowych drzwi. Chyba mnie nie zauważyła.

– Davidzie – powiedziała Ruth. Jej głos był bardzo łagodny.

– Tak?

– To, co zobaczyłeś, to tylko domowa kłótnia – powiedziała. – Tylko pomiędzy nami. Widziałeś, co widziałeś. Ale to niczyja sprawa. Tylko nasza. Rozumiesz?

Zawahałem się i skinąłem głową.

– Dobry chłopak – powiedziała. – Wiedziałaś, że zrozumiesz.

Wyszedłem na zewnątrz. To był gorący, duszny dzień. W środku było chłodniej.

Poszedłem do lasu, zbacając ze ścieżki w stronę rzeki i w głąb lasu za domem rodziny Morino.

Tam było chłodniej. W powietrzu unosił się zapach sosny.

Wciąż widziałem szamoczącą się Meg, całą we łzach. A potem zobaczyłem Ruth, wlepiającą w nią zimne spojrzenie. W jakiś sposób przypomniało mi to kłótnię z moją mamą którą odbyłem w tym tygodniu. Powiedziała, że jestem taki sam jak mój ojciec. Zareagowałem gniewem, prawie tak wielkim jak Meg. Przegrałem. Szalałem. Nienawidziłem jej. Myślałem o tym teraz z perspektywy czasu, a potem pomyślałem o wydarzeniach tego poranka.

To był niesamowity dzień.

Zupełnie jakby wszystko przestało mieć teraz znaczenie.

Szedłem przez las.

Czułem pustkę.

Rozdział 20

Do sklepu można było dojść, idąc przez las, przechodząc przez rzekę w miejscu, gdzie znajdowała się Wielka Skala, podążając wzdłuż brzegu i mijając dwa stare domy. Następnego dnia szedłem tą drogą w ręku trzymając papierową torbę ze smakołykami. Rozmyślałem o Meg, co się na mnie zemściło. Usłyszałem jej krzyk.

Wiedziałem, że to była ona. To był tylko krzyk. To mógł być ktokolwiek. Jednak ja wiedziałem.

Zamarłem. Powoli zacząłem iść wzdłuż brzegu.

Stała na Wielkiej Skale. Willie i Woofers musieli ją zaskoczyć, kiedy trzymała rękę w wodzie, ponieważ miała podwinięty rękaw bluzki i krople wody na ramieniu. Widziałem długą pulsującą bliznę na jej skórze.

Rzucali w nią puszkami przyniesionymi z piwnicy, a rzut Woofera był celny.

Jednak potem Willie zaczął mierzyć w jej głowę.

To był trudniejszy cel. Zawsze przeceniał swoje siły.

Najpierw Woofers uderzył ją w kolano, a potem, gdy się odwróciła, prosto w plecy.

Gdy się ponownie odwróciła, zobaczyła, że podnoszą puste słoiki po maśle orzechowym. Woofers rzucił.

Szkoło roztrzaskało się u jej stóp, opryskując stopy.

Mogłaby poważnie ucierpieć, gdyby nim dostała.

Nie miała dokąd uciec, mogła jedynie wskoczyć do wody. Nie mogła uciec na brzeg, na którym stałem. Był za daleko.

Wskoczyła do wody.

Rzeka płynęła wartkim nurtem, a dno pokryte było omszałymi kamieniami. Widziałem, jak próbuje iść, gdy w tym samym momencie kolejny słoik uderzył w pobliską skałę. Poruszała się po kamieniach w wodzie sięgającej do ramion, usiłując złapać oddech. Próbowwała uciekać. Zrobiła cztery kroki i upadła.

Willie i Woofers wyli i krztusili się ze śmiechu tak bardzo, że zapomnieli o rzucaniu kolejnymi słoikami.

Wstała. Tym razem udało jej się utrzymać równowagę i podążyła w dół rzeki.

Kiedy znalazła się na zakręcie, schowała się za bujnymi zaroślami.

To był koniec zabawy.

Dziwnym trafem nikt mnie nie zauważył. Czułem się niczym duch.

Patrzyłem, jak podnoszą pozostałe puszki i słoiki. Odeszli, zataczając się ze śmiechu, podążając ścieżką prowadzącą do ich domu. Głosy stopiono zanikały.

Kretyni, pomyślałem. Wszędzie jest pełno szkła. Teraz nie możemy chodzić tutaj bez butów. Przynajmniej dopóki woda tego nie zmyje.

Ostrożnie przeszedłem po kamieniach na drugi brzeg.

Rozdział 21

Meg odegrała się w Dzień Niepodległości.

Był zmierzch, ciepły dzień powoli ogarniał mrok. Wszyscy siedzieli na kocach, na polance naprzeciw szkoły średniej, w oczekiwaniu na fajerwerki.

Donny i ja siedzieliśmy z moimi rodzicami. Tego wieczoru zaprosiłem go na kolację, a oni siedzieli z Hendersonami, ich przyjaciółmi, którzy mieszkali niedaleko nas.

Hendersonowie byli katolikami. Nie mieli dzieci, co od razu oznaczało, że coś było nie tak, chociaż nikt nie wiedział tego na pewno. Pan Henderson był dużym mężczyzną. W swoim ogrodzie hodował beagle i dla rozrywki czasem strzelał ze swoich strzelb, kiedy go odwiedzaliśmy. Pani Henderson była ładną blondynką z szerokim nosem.

Donny powiedział kiedyś, że to dla niego żaden problem. Mógłby ją przelecieć w każdej chwili.

Z miejsca, w którym siedzieliśmy, widzieliśmy Williego, Woofera, Meg, Susan i Ruth, siedzących obok rodziny Morino.

Było tu całe miasto.

Każdy, kto był w stanie iść, jechać, lub pełzać, czwartego lipca przybywał tu, by zobaczyć sztuczne ognie. Nie licząc uroczystej parady w Dzień Pamięci, to był największy spektakl w roku.

Dla przyzwoitości, była też policja. Tak naprawdę to nikt nie spodziewał się żadnych kłopotów. Miasto wciąż było na tym etapie, że każdy znał każdego lub przynajmniej kogoś, kto go zna. Z domu wychodziło się, nie zamykając drzwi, na wypadek gdyby ktoś chciał cię odwiedzić, a ciebie akurat nie było.

Policjanci byli przyjaciółmi rodziny, przynajmniej większość z nich. Mój tata znał ich z baru albo klubu weterana.

Generalnie dbali o ogólny porządek. Stali w oczekiwaniu na fajerwerki, tak samo jak cała nasza reszta.

Donny i ja słuchaliśmy pani Henderson, która opowiadała o nowym potomstwie beagli i piliśmy mrożoną herbatę, bekaliliśmy na siebie, wydzielając zapach zjedzonej pieczeni i śmialiśmy się do rozpuku. Moja mama zawsze robiła pieczeń z dużą ilością cebuli. To

doprowadzało mojego ojca do szału, ale właśnie taką pieczeń lubiliśmy. Za pół godziny będziemy po niej puszczać baki.

Wokół unosiła się cicha muzyka skomponowana przez Johna Philipa Souse.

Księżyc wisiał wysoko nad budynkiem szkoły.

W szarzejącym świetle można było dostrzec dzieciaki goniące siebie nawzajem w tłumie. Ludzie zapalali sztuczne ognie. Za naszymi plecami wystrzeliła uroczysta salwa.

Postanowiliśmy kupić lody.

Furgonetka z lodami była otoczona chmarą dzieciaków. Kiedy wreszcie zdołaliśmy dostać się na przód kolejki, Donny wziął truskawkowego, ja zdecydowałem się na waniliowego w polwie czekoladowej.

Gdy już mieliśmy wracać, zobaczyliśmy Meg stojącą z boku furgonetki. Rozmawiała z panem Jenningsem.

To sprawiło, że zamarliśmy na chwilę.

Ponieważ pan Jennings był także funkcjonariuszem Jenningsem. Był gliną.

Było coś w sposobie, w jaki się zachowywała, w jaki gestykulowała, mówiła do niego, że od razu wiedzieliśmy, o czym z nim rozmawia.

To było przerażające, to było szokujące.

Staliśmy tam jak wryci.

Meg mówiła. Zdradzała Ruth. Zdradzała Donny'ego i resztę.

Stała tyłem do nas.

Przez chwilę gapiliśmy się na nią a potem spojrzeliśmy na siebie.

Następnie zaczęliśmy iść. Jedliśmy lody, jak gdyby nigdy nic. Stanęliśmy tuż za nią.

Pan Jennings rzucił na nas okiem przez chwilę, jednak potem skierował wzrok w kierunku Ruth, Williego i reszty, kiwając głową i uważnie słuchając. Następnie znów spojrzął na Meg.

Łapczywie lizaliśmy lody. Rozejrzeliśmy się wokół.

– Myślę, że to jej prawo – powiedział.

– Nie – powiedziała Meg. – Nie rozumie pan.

Reszty nie mogliśmy usłyszeć.

Pan Jennings uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Położył dużą piegowatą dłoń na jej ramieniu.

– Posłuchaj – powiedział. – Z doświadczenia wiem, że prawdopodobnie twoi rodzice mieliby takie same odczucia. Musisz teraz myśleć o pani Chandler jak o twojej mamie, nieprawdaż?

Potrząsnęła głową.

Nagle policjant wydawał się być świadomy, że tu jesteśmy, naprawdę świadomy obecności Donny'ego i mojej. Chyba zaczął zadawać sobie pytanie, dlaczego tutaj jesteśmy i

jaki może mieć to wpływ na rozmowę, którą teraz odbywali. Widziałem, jak zmienia się jego wyraz twarzy. Jednak Meg nadal mówiła.

Spoglądał na nas przez jej ramię, patrzył długo i uważnie.

Następnie chwycił ją za rękę.

– Przejdźmy się – powiedział.

Widziałem, jak Meg nerwowo spogląda w kierunku Ruth, jednak trudno było cokolwiek dostrzec. Było już zupełnie ciemno, niebo oświetlały teraz jedynie księżyc i gwiazdy. Z mojej perspektywy tłum stał się bezkształtną masą. Wiedziałem, gdzie siedziała Ruth, jednak nie mogłem jej już dostrzec, tak samo jak moich rodziców i Hendersonów.

Oczywiście dobrze wiedziałem, dlaczego się bała. Sam się bałem. To, co robiła, było jednocześnie ekscytujące i zabronione, tak samo jak wydarzenie w nocy, kiedy próbowaliśmy ją zobaczyć, siedząc na drzewie.

Pan Jennings odwrócił się do nas plecami i delikatnie poprowadził za sobą Meg.

– Cholera – wyszeptał Donny.

Usłyszałem świst. Niebo eksplodowało. Zobaczyłem jasne, świetliste kule wirujące w powietrzu.

Oooooooooo, zaszumiał tłum.

Spojrzałem na twarz Donny'ego widoczną w białej poświacie fajerwerków. Zobaczyłem dezorientację i niepokój.

Zawsze był niechętny wobec Meg. Nadal taki był.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytałem go.

Potrząsnął głową.

– Nie uwierzy jej – powiedział. – Nic nie robi. Gliny gadają ale nigdy nic nie robią.

To było zdanie, które kiedyś wypowiedziała Ruth. Gliny gadają ale nigdy nic nie robią.

Powtarzał je szeptem, kiedy wracaliśmy do naszych koców. Jak artykuł wiary. Jak gdyby musiało nim być.

Powtarzał je prawie jak modlitwę.

Rozdział 22

Następnego wieczoru około dwudziestej na naszą ulicę podjechał radiowóz. Zobaczyłem, jak pan Jennings wchodzi po schodach, puka do drzwi i Ruth wpuszcza go do środka. Czekałem, wyglądając przez okno w salonie. Coś przetaczało się przez mój żołądek.

Moi rodzice byli na przyjęciu urodzinowym u Rycerzy Kolumba, a moją opiekunką była Linda Cotton, osiemnastoletnia, piegowata i ładna dziewczyna, która, mimo wszystko, i tak nie mogła się równać z Meg. Za siedemdziesiąt pięć centów na godzinę nie mogła się już mniej interesować tym, co robię, tak długo jak byłem cicho i nie przeszkadzałem jej w oglądaniu telewizji.

Mieliśmy z Lindą umowę. Ja nie powiem rodzicom o jej chłopaku Steve'ie, który zachodził, by obściskiwać się z nią na kanapie przez całą noc, a w zamian za to ja będę mógł robić to, co mi się podobało, pod warunkiem, że będę w łóżku przed przyjściem moich rodziców. W każdym razie i tak wiedziała, że jestem za duży na opiekunki.

Czekałem więc do momentu, aż odjechał radiowóz, po czym poszedłem do domu obok. Było za piętnaście dziewiąta.

Siedzieli w salonie i w jadalni. Wszyscy. Panowała kompletna cisza, nikt się nie ruszał, a ja miałem wrażenie, że ten stan trwał już od dłuższego czasu.

Wszyscy wlepiali wzrok w Meg. Nawet Susan.

Targały mną dziwne uczucia.

Później, w latach sześćdziesiątych, uświadomiłem sobie, czym one były. Wtedy otworzyłem list od amerykańskiej służby wojskowej, w którym informowali mnie o przydzielonej mi kategorii A.

To było poczucie eskalacji.

Teraz jednak stawka była wyższa.

Stałem w progu. Ruth powitała mnie.

– Witaj, Davidzie – powiedziała cicho. – Usiądź. Dołącz do nas.

Potem westchnęła.

– Niech ktoś przyniesie mi piwo.

Willie wstał, wszedł do kuchni, wziął jedno piwo dla niej, drugie dla siebie, otworzył je i podał. Potem znów usiadł.

Ruth zapaliła papierosa.

Spojrzałem na Meg, siedzącą na krześle naprzeciw szarego ekranu telewizora. Wyglądała na wystraszoną lecz zdeterminowaną. Pomyślałem o Garym Cooperze, wychodzącym na pustą ulicę pod koniec westernu „W samo południe”.

– No więc – powiedziała Ruth. – Więc to tak.

Przechyliła puszkę z piwem i zaciągnęła się papierosem.

Woofery wierzeli się na kanapie.

Potem Donny wstał i podszedł do Meg. Stał naprzeciw niej.

– Sprowadziłaś glinę na moją mamę – powiedział. – Na mamusię!

Meg spojrzała na niego. Jej twarz nieco się rozluźniła. To był w końcu Donny. Niechętny Donny.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja tylko chciałam się upewnić, że...

Podniósł dłoń i uderzył ją w twarz.

– Zamknij się! Stul pysk!

Jego ręka zawieszona była tuż przy jej twarzy, przygotowana, trzęsąca się.

W tym momencie wydawało się, że jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić, to uderzyć ją tym razem dużo mocniej. Patrzyła na niego przerażona.

– Siadaj – powiedziała cicho Ruth.

Zdawało się, że jej nie usłyszał.

– Siadaj!

Odsunął się. Miał kamienny wyraz twarzy. Usiadł na krześle w jadalni.

Znów zapadła cisza.

Wreszcie Ruth przerwała milczenie.

– Oto co chcę wiedzieć. Co ty sobie myślałaś, Meggy? Co ci przyszło do głowy?

Meg nie odpowiedziała.

– Czy naprawdę myślałaś, że on cię stąd zabierze? Ciebie i Susan? Więc powiem ci, że nicy z tego. Nigdzie cię stąd nie zabierze, panienko. Bo go nie obchodzisz. Gdybyś go obchodziła, to pomógłby ci wtedy na polance, czyż nie?

Jej głos wszedł na wyższe tony.

– Więc co jeszcze? Co jeszcze sobie myślałaś? Może myślałaś, że się go przestraszę?

Meg po prostu siedziała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i z tą jej determinacją w oczach. Ruth uśmiechnęła się, sącząc piwo. Ona też wyglądała na zdeterminowaną.

– Problem w tym – powiedziała – co teraz zrobimy? Ani w tym, ani w żadnym innym mężczyźnie nie ma niczego, co mogłoby mnie przestraszyć, Meggy. Jeżeli wcześniej tego nie wiedziałaś, to jestem pewna, że teraz jesteś już tego świadoma. Ale nie mogę pozwolić ci na to, abys co chwilę latała po glińiarzy. Więc pytanie brzmi, co teraz zrobimy? Wierz mi, że

odesłałabym cię w cholere, gdyby istniała taka możliwość. Nie potrzebuję tu małej głupiej dziwki, która rujnuje moją reputację. Tylko Bóg wie, ile muszę się namęczyć, żeby wyprowadzić cię na prostą. Psia krew, dziwię się, że w ogóle jestem w stanie cię wykarmić, za to co mi płacą!

Westchnęła.

– Chyba muszę to przemyśleć – powiedziała. Potem wstała i weszła do kuchni. Otworzyła lodówkę.

– Idź do swojego pokoju. Susie też. I zostańcie tam.

Sięgnęła po piwo, a potem zaśmiała się.

– Dobrze ci radzę, zanim Donny znów postanowi cię uderzyć.

Otworzyła puszkę z piwem.

Meg wzięła siostrę pod ramię i zaprowadziła ją do sypialni.

– Ty też, Davidzie – powiedziała Ruth. – Lepiej idź do domu. Przepraszam. Muszę to sobie wszystko dobrze przemyśleć.

– W porządku.

– Chcesz butelkę coli na drogę?

Uśmiechnąłem się. Na drogę? Mieszkałem tuż obok.

– Nie, nie trzeba.

– A może chcesz przemyścić trochę piwa?

Znacząco mrugnęła do mnie okiem. Napięcie zniknęło. Roześmiałem się.

– Byłoby fajnie.

Rzuciła mi puszkę. Złapałem ją.

– Dzięki – uśmiechnąłem się chytrze.

– Nie wspominaj o tym – powiedziała i tym razem wszyscy się śmialiśmy, ponieważ „nie wspominaj o tym” było naszym tajnym kodem.

Zawsze to mówiła, kiedy pozwalała nam, dzieciom, na coś, czego nasi rodzice nie pozwalali nam w naszych własnych domach. „Nie wspominaj o tym”.

Włożyłem puszkę pod koszulkę i wyszedłem na zewnątrz.

Kiedy wróciłem do domu, Linda siedziała skulona na kanapie i oglądała telewizję. Wyglądała na przygnębioną. Domyśliłem się, że dzisiejszej nocy Steve do nas nie zajrzy.

– Dobranoc – powiedziałem i wszedłem na górę do mojego pokoju.

Piłem piwo i myślałem o Meg. Zastanawiałem się, czy powinienem spróbować jej pomóc w jakiś sposób. Występował tutaj konflikt. Meg mi się podobała, a na dodatek lubiłem ją. Jednak Donny i Ruth byli starymi przyjaciółmi. Zastanawiałem się, czy ona w ogóle potrzebowała pomocy. Mimo wszystko dzieci bito w twarz. Dzieci były popychane. Zastanawiałem się, dokąd to zmierza.

„Co teraz zrobimy”, powiedziała Ruth.

Patrzyłem na obraz Meg wiszący na mojej ścianie i również zacząłem się nad tym zastanawiać.

Rozdział 23

Ruth zdecydowała, że od tej pory Meg nie wolno wychodzić samej z domu. Zawsze musiała z nią być ona, Donny lub Willie. Na ogół jednak w ogóle nie wychodziła, więc nigdy nie miałem szansy, by zapytać Meg, co chciała, żebym zrobił. Czy w ogóle chciała, żebym coś dla niej zrobił. Nie musiałem się więc zastanawiać, czy w ogóle bym to dla niej zrobił.

Nie miałem na to wpływu. Albo tak mi się przynajmniej wydawało.

Odczuwałem z tego powodu ulgę.

Jeżeli czułem, że tracę wszystko – jej zaufanie lub nawet jej towarzystwo – to nigdy nie byłem tego w pełni świadomy. Wiedziałem, że w sąsiednim domu sprawy przybrały całkiem dziwny obrót, a ja przez chwilę chciałem nabrać do tego dystansu, by poukładać to sobie jakoś w głowie.

Tak więc przez kilka kolejnych dni widywałem się z Chandlerami rzadziej niż zwykle, co także było dla mnie ulgą. Spotykałem się z Tonym, Kennym, Denise i Cheryl, a nawet z Eddiem od czasu do czasu, kiedy nie czułem zagrożenia z jego strony.

Ulica huczała od plotek, co się u nich działo. Prędzej czy później rozmowa wracała na temat Chandlerów. Niesamowite było to, że Meg wmieszała w to wszystko policję. To był rewolucyjny czyn, nad którym nie mogliśmy przejść do porządku dziennego. Czy możesz sobie wyobrazić nasłanie policji na dorosłego, który w dodatku mógłby być twoją matką? To było nie do pomyślenia.

Jednak był to również akt mający w sobie potencjał. Można było dostrzec, jak Eddie gorączkuje się na samą myśl o tym. Chyba myślał o swoim ojcu. Zamyślony Eddie to też nie było coś, do czego byliśmy przyzwyczajeni. To wzmocniło poczucie dziwności.

Jednak oprócz tej sprawy z policją to, o czym wszyscy wiedzieliśmy, łącznie ze mną był fakt, że ludzie często byli karani bez wyraźnej przyczyny, a jedyną odmienną kwestią było to, że wszystko działo się u Chandlerów, podczas gdy ich dom uznawaliśmy za ostoję spokoju. To i fakt, że we wszystkim brali udział Donny i Willie. Chociaż mimo wszystko nie uznaliśmy tego za coś bardzo osobliwego.

Teraz Gra rozgrywała się na naszych oczach.

Ale głównie chodziło o gliny, a Eddie miał w tej sprawie ostatnie słowo.

– No i gówno jej z tego przyszło – powiedział. Refleksja Eddiego.

To prawda. Dziwnym trafem, w miarę upływu kolejnego tygodnia, nasze uczucia w stosunku do Meg zmieniły się. Od podziwu wobec jej odważnego czynu, stawieniu czoła Ruth i publicznemu podważeniu jej autorytetu, powoli odpłynęliśmy w kierunku dziwnej niechęci do niej. Jak mogła być tak głupia, żeby myśleć, że gliniarz stanie po jej stronie, przeciwko dorosłej osobie? Nie zdawała sobie sprawy, że to tylko pogorszy sytuację? Jak mogła być tak naiwna, tak ufna i tak tępa zarazem?

Policjant to twój przyjaciel. Gówna prawda. Nikt z nas by tego nie zrobił. Wiedzieliśmy lepiej.

Prawie ją za to zniechęciliśmy. Jakby ponosząc klęskę z panem Jenningsem, ujawniła, jak wszyscy byliśmy słabi, będąc dziećmi. Bycie „tylko dzieciakiem” nabrało nowego znaczenia, była to nieustająca groźba, o której nigdy wcześniej nie myśleliśmy. Cholera, jeżeli tylko by chcieli, mogliby nas wszystkich potopić w rzece. Byliśmy „tylko dziećmi”. Byliśmy własnością. Należeliśmy do naszych rodziców ciałem i duszą. To oznaczało, że czekała nas zagłada w obliczu każdego prawdziwego niebezpieczeństwa ze strony świata dorosłych, a także oznaczało to bezradność, upokorzenie i złość.

To tak, jak gdyby ponosząc porażkę, Meg skazała na porażkę nas wszystkich.

Więc skierowaliśmy swój gniew na zewnątrz. W kierunku Meg.

Ja również. Przez te kilka dni przeszedłem powolną przemianę uczuć. Przestałem się martwić. Całkowicie odłączyłem się od niej.

Pieprzyć to, pomyślałem. Niech sprawy zmierzają dokąd chcą.

Rozdział 24

A miejscem, do którego dotarły, była piwnica.

IV

Rozdział 25

Kiedy wreszcie poszedłem do Chandlerów, zapukałem do drzwi.

Nikt nie otworzył.

Gdy stałem na ganku, byłem świadomy dwóch rzeczy. Pierwszą była Susan, która głośno płakała w swoim pokoju. Druga działa się na dole. Przepychanka. Meble szurające o podłogę. Stękanie, jęki. Niebezpieczeństwo wisiało w powietrzu.

Zaczęły się poważne kłopoty.

To niezwykle, jak bardzo chciałem tam wejść.

Schodziłem po dwa schody naraz, skręciłem za rogiem. Wiedziałem, gdzie byli.

W drzwiach do schronu stała Ruth. Uśmiechnęła się do mnie, kiedy przesunęła się, by wpuścić mnie do środka.

– Próbowwała uciec – powiedziała. – Willie ją powstrzymał.

Wszyscy ją teraz szarpali: Willie, Donny i Woofier. Rzucali nią na zmianę o betonową ścianę, waląc prosto w brzuch. Etap, w którym próbowała się temu sprzeciwić, miała już dawno za sobą. Wszystko, co można było teraz usłyszeć, to świst powietrza, gdy Donny uderzył ją a Meg skuliła się z bólu, chwytając się mocno rękoma za brzuch. Na jej zaciśniętych ustach widniał grymas bólu, jednak w jej oczach można było dostrzec ogromną koncentrację.

Przez chwilę znów była bohaterką walczącą z przeciwnościami losu.

Jednak tylko przez chwilę. Bo nagle stało się dla mnie jasne, że jedyne, co mogła zrobić, to przyjmować bezsilnie ciosy. I ponieść klęskę.

Pamiętam, że pomyślałem wtedy „przynajmniej to nie jestem ja”.

Gdybym chciał, mógłbym nawet się do nich przyłączyć.

Przez moment, myśląc o tym, miałem władzę.

Od dawna pytałem siebie „kiedy to się stało, kiedy się do tego przyłączyłem?”. Wtedy najczęściej wracam myślami właśnie do tego momentu, do tych myśli.

Do tego poczucia władzy.

Jednak wtedy nie wziąłem pod uwagę tego, że to była władza nadana mi przez Ruth, być może tylko tymczasowo. W tamtej chwili wydawała się taka prawdziwa. Kiedy patrzyłem, odległość pomiędzy mną i Meg stała się ogromna, nie do pokonania. To nie było tak, że moja sympatia do niej zniknęła. Ale wtedy po raz pierwszy zobaczyłem, jak różni się ode mnie. Ona była bezbronna. Ja nie. Byłem na wygranej pozycji. Ona nie mogła upaść niżej.

Czy to było nieuchronne? Pamiętam, jak pytała mnie „dlaczego oni mnie tak nienawidzą?”. Wtedy nie wierzyłem jej, nie potrafiłem udzielić żadnej odpowiedzi. Czy coś ominąłem? Może była w niej jakaś skaza, której ja nie zauważyłem i to ona spowodowała wszystkie te wydarzenia? Po raz pierwszy poczułem, że być może jej odseparowanie od nas mogło być usprawiedliwione.

Chciałem czuć, że może być usprawiedliwione.

Teraz mówię to w najgłębszym wstydzie.

Obecnie uważam, że duża część tego była ściśle osobista, to była część świata, jaki na co dzień widziałem. Próbowałem myśleć, że to wszystko wina moich rodziców, że to przez ich wojnę, przez mój chłodny spokój i dystans, jakiego nabrałem, będąc w epicentrum ich nieustającego huraganu. Teraz jednak już w to nie wierzę. I wątpię, czy kiedykolwiek wierzyłem. Moi rodzice kochali mnie o wiele bardziej, niż czasem na to zasługiwałem, nieważne, jakie żywili w stosunku do siebie nawzajem uczucia. A ja wiedziałem o tym.

Nie. Prawda była taka, że to siedziało we mnie, że czekałem aż coś takiego się wydarzy. Jak gdyby jakaś nieznana myśl krążyła w mojej głowie, omotała umysł, aż wreszcie czarny wiatr rozwiął chmury, odkrywając słońce.

I pytam siebie: „kogo nienawidziłem?”. „Kogo i czego się bałem?”.

W tej piwnicy, z Ruth, zacząłem uczyć się, że złość, nienawiść i samotność są niczym pojedynczy przycisk, czekający na palec, który poprowadzi człowieka do destrukcji.

I dowiedziałem się również, że te uczucia mogą mieć smak zwycięstwa.

* * *

Zobaczyłem, jak Willie bierze rozbieg. Po raz pierwszy nie wyglądał na niezdarnego. Przygwoździł ją mocno do ściany, uderzając barkiem w brzuch i unosząc nad ziemię.

Jedyną jej nadzieją było to, że być może któryś z nich chybi i rozbije sobie głowę o ścianę. Jednak tak się nie stało. Była zmęczona. Nie miała pola manewru, nie mogła nigdzie uciec. Nie mogła zrobić nic oprócz przyjmowania kolejnych ciosów. Dopóki nie upadnie. To miało nastąpić wkrótce.

Woofler wziął rozbieg. Musiała ugiąć kolana, żeby nie uderzył jej w pachwinę.

– Płacz, do cholery! – krzyknął Willie. Tak jak inni dyszał ciężko. Odwrócił się do mnie.

– Nie chce płakać – denerwował się.

– Jej to nie obchodzi – powiedział Woofler.

– Będzie płakać – odparł Willie. – Zmuszę ją.

– Ma zbyt wiele dumy – wtrąciła Ruth. – Duma poprzedza upadek. Musicie o tym pamiętać. Duma prowadzi do upadku.

Donny wziął rozbieg.

Rugby to była jego gra. Jej głowa uderzyła o betonową ścianę. Oczy stały się mgliste.

Meg osunęła się po ścianie.

Potem upadła na podłogę.

Ruth westchnęła.

– Wystarczy, chłopcy – powiedziała. – Nie zmusicie jej do płaczu. Nie tym razem.

Wyciągnęła ramię, machając ręką.

– Idziemy.

Widać było, że jeszcze nie skończyli. Jednak Ruth była znudzona i jej słowo było ostateczne.

Potem Willie wymamrotał coś na temat głupich dziwerek i jeden po drugim zaczęli wychodzić z piwnicy.

Ja wyszedłem jako ostatni. Nie mogłem oderwać oczu od Meg.

Nie wierzyłem, że coś takiego mogło się zdarzyć.

Patrzyłem, jak osunęła się po ścianie i bezwładnie opadła na zimny beton.

Nie wiem, czy była świadoma mojej obecności.

– Chodźmy – powiedziała Ruth.

Zamknęła szczelnie metalowe drzwi.

Meg została tam, w ciemnościach. Za drzwiami do chłodni. Weszliśmy na górę i nalaliśmy sobie coli. Ruth wyjęła cheddar i trochę krakersów. Usiedliśmy przy stole w jadalni.

Wciąż słyszałem płacz Susan dochodzący z sypialni. Potem Willie wstał i włączył telewizor, który zagłuszył jej głos.

Przez chwilę oglądaliśmy telewizję.

Ruth przeglądała jakieś kobiece czasopismo. Paliła papierosa, wertowała kartki, popijając colę z butelki.

Doszła do strony, gdzie umieszczone było zdjęcie. Była to reklama szminki.

– Nie rozumiem tego – powiedziała Ruth. – Przecież ta kobieta jest przeciętna. Widzicie to?

Podniosła magazyn ze stroną zapełnioną reklamą uśmiechniętej kobiety.

Willie spojrzał i wrzucił ramionami, po czym wtopił zęby w krakersa. Jednak ja uważałem, że ta twarz była ładna. Była mniej więcej w wieku Ruth, może nieco młodsza, jednak ładna.

Ruth potrząsnęła głową.

– Widzę ją dosłownie wszędzie – powiedziała. – Przysięgam. Wszędzie. Nazywa się Suzy Parker. Supermodelka. Nie rozumiem tego. Rudzielec. Może o to chodzi. Mężczyźni lubią rude. Ale do cholery, Meg ma przecież rude włosy. A Meg jest od niej ładniejsza, nie uważacie?

Znów spojrzałem na zdjęcie. Zgadzałem się z nią.

– Nie rozumiem – zmarszczyła czoło. – Meg jest definitywnie ładniejsza. Dużo ładniejsza.

– Pewnie, że tak – przytaknął Donny.

– Świat zwariował – powiedziała Ruth. – To nie ma dla mnie żadnego sensu.

Ukroiła kawałek sera i ułożyła go na krakersie.

Rozdział 26

– Przekonaj swoją mamę, żeby pozwoliła ci zostać u nas na noc – powiedział Donny. – Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

Staliśmy na dużych kamieniach do połowy zanurzonych w wodzie. Rzeka była tego dnia mulista.

– Dlaczego nie możemy porozmawiać teraz?

– Bo nie.

Nie powiedział, co chodziło mu po głowie.

Nie wiem, dlaczego byłem niechętny pomysłowi spania w tym domu. Może wiedziałem, że w jakiś sposób to będzie oznaczać, że jeszcze bardziej będę w to zamieszany. Albo po prostu wiedziałem, co powie moja mama – teraz w domu Chandlerów mieszkają dziewczyny i nocowanie u nich nie będzie już dla niej takie jednoznaczne.

Gdyby tylko wiedziała, pomyślałem.

– Willie też chce porozmawiać – powiedział Donny.

– Willie?

– Aha.

Roześmiałem się. Myśl, że Willie ma coś do powiedzenia, nie mieściła się w mojej głowie. To było intrygujące.

– Okay, w takim razie chyba nie mam innego wyjścia – powiedziałem.

Donny też się zaśmiał i rzucił płaskim kamieniem po wodzie, który pozostawił po sobie trzy kręgi na mieniącej się w słońcu rzece.

Rozdział 27

Moja mama nie była zadowolona.

– Nie sędzę – powiedziała.

– Ale mam, przecież nocuję tam cały czas.

– Nie ostatnio.

– Chodzi ci o Meg i Susan?

– Zgadza się.

– Posłuchaj. To nic takiego. Jest tak samo jak wcześniej. Chłopaki śpią na piętowych łózkach, a Meg i Susan zajmują sypialnię Ruth.

– Sypialnię pani Chandler.

– No tak, sypialnię pani Chandler.

– Gdzie zatem śpi pani Chandler?

– Na kanapie w salonie. O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz, o co mi chodzi.

– Nie, nie wiem.

– Tak, wiesz.

– Nie, nie wiem.

– Co się dzieje? – zapytał mój ojciec, który właśnie wszedł do kuchni z salonu. – O co chodzi?

– Chce znowu zostać tam na noc – powiedziała moja mama. Łuskała fasolę i wrzucała ją na sito.

– Gdzie? Tam?

– Tak, właśnie tam.

– Więc pozwól mu. – Usiadł przy kuchennym stole i otworzył gazetę.

– Robercie, są tam teraz dwie młode dziewczyny.

– No i...?

Westchnęła.

– Proszę cię – powiedziała. – Proszę, nie udawaj naiwnego.

– Naiwnego, do diabła? – odparł mój ojciec. – Pozwól mu. Mamy kawę?

– Mamy – wykrzywiła się. Znow westchnęła i wytarła dłonie w fartuch.

Wstałem, zabrałem czajnik i postawiłem na kuchence. Spojrzała na mnie, po czym znów powróciła do łuskania fasoli.

– Dzięki, tato – rzuciłem.

– Nie powiedziałam, że możesz iść – broniła się moja mama.

Uśmiechnąłem się.

– Nie powiedziałas też, że nie mogę.

Spojrzała na mojego ojca i potrząsnęła głową.

– Cholera jasna, Robert.

– Jasne – podsumował mój ojciec, po czym wrócił do czytania gazety.

Rozdział 28

– Powiedzieliśmy jej o Grze – przywitał mnie Donny.

– Komu?

– Ruth. Mojej mamie. A komu innemu, przygłupie?

Donny był sam w kuchni, kiedy wszedłem. Robił sobie kanapkę z masłem orzechowym. To chyba miało wystarczyć mu dziś za kolację.

Na blacie znajdowały się resztki masła orzechowego, dżemu i okruchy chleba. Dla zabawy policzyłem sztucce leżące w szufladzie. Wciąż było ich po pięć sztuk.

– Powiedzieliście jej?

Skinał głową.

– Wofer to zrobił.

Ugryzł kanapkę i usiadł przy stole w jadalni. Byłem naprzeciwko niego. Błat nosił ślady gaszonych papierosów, których wcześniej nie zauważyłem.

– Jezu! Co powiedziała?

– Nic. To było dziwne. Wyglądało, jakby wiedziała.

– Wiedziała? Co wiedziała?

– Wszystko. Jak gdyby to nie było nic takiego. Zupełnie jakby domyśliła się, że to robiliśmy. Że każdy dzieciak to robił.

– Żartujesz.

– Nie. Przysięgam.

– Bzdura.

– Mówię ci. Jedyne, co chciała wiedzieć, to kto był z nami, więc jej powiedziałem.

– Powiedziałeś jej? O mnie? O Eddiem? O wszystkich?

– Tak jak ci mówiłem, nie przejęła się. Hej, wyluzuj się. Mówię ci, że się tym nie przejęła.

– Denise? Powiedziałeś jej o Denise?

– Aha. O wszystkim.

– Powiedziałeś, że była naga?

Nie mogłem w to uwierzyć. Zawsze uważałem, że to Willie był tym głupszym. Patrzyłem, jak Donny pochłania kanapkę. Uśmiechnął się do mnie i potrząsnął głową.

– Mówię ci. Nie musisz się tym martwić – powiedział.

– Donny.

– Serio.

– Donny!

– Tak, Davy.

– Oszalałeś?

– Nie, Davy.

– Czy chociaż przez chwilę pomyślałeś, co się ze mną stanie, jeśli...

– Nic się z tobą nie stanie, na litość boską! Przystaniesz w końcu zachowywać się jak walnięty debil? To moja mama, do cholery! Pamiętasz?

– O tak, teraz czuję się o wiele lepiej. Twoja mama wie, że przywiązujemy nagie dziewczyny do drzewa. Świetnie.

Westchnął.

– David, gdybym wiedział, że będziesz zachowywał się jak przygłup, nie powiedziałbym ci.

– Ja jestem przygłup, tak?

– Tak. – Teraz był wkurzony. Wetknął ostatni kawałek kanapki do ust. Wstał. – Posłuchaj, kretynie. A wiesz, co dzieje się teraz w schronie? Dokładnie w tej chwili?

Spojrzałem na niego. Skąd miałem wiedzieć? Kogo to obchodziło?

W końcu dotarło to do mnie. Była tam Meg.

– Nie – powiedziałem.

– Tak – Poszedł do lodówki po colę.

– Bzdura!

Zaśmiał się.

– Przystaniesz wreszcie powtarzać to słowo? Nie wierzysz mi? Idź i sam zobacz. Cholera, dopiero co stamtąd przyszedłem po kanapkę.

Zbiegłem na dół. Słyszałem jego śmiech za moimi plecami.

Na zewnątrz robiło się ciemno, więc lampy w piwnicy były zapalone. Gołe żarówki wisiały nad pralką pod schodami i w rogu.

Willie stał za Ruth w drzwiach do schronu.

Oboje trzymali latarki w dłoniach.

Ruth zapaliła swoją i pomachała nią niczym glina stojący przed blokadą drogową.

– Jest i Davy – powiedziała.

Willie obrzucił mnie spojrzeniem. Miałem to w dupie.

Stałem z otwartymi ustami. Były suche. Polizałem je. Skinąłem do Ruth i wyjrzałem za drzwi.

Z początku nie mogłem się w tym połapać, być może dlatego, że cała ta sytuacja była wyrwana z kontekstu, może dlatego, że była tam Meg, a już na pewno dlatego, że była tam

Ruth. To było jak sen albo jakaś gra w czasie Halloween, kiedy każdy jest przebrany i nikt nie potrafi rozpoznać siebie nawzajem. Donny zszedł na dół i poklepał mnie w ramię. Zaproponował mi colę.

– Widzisz? – powiedział. – Mówiłem ci.

Widziałem.

Wzięli dwa duże gwoździe i przybili je do grubych belek, które Willie Senior rozmieścił pod sufitem w odstępach około metra.

Przy pomocy sznura do suszenia bielizny przywiązali nadgarstki Meg, owinęli sznur wokół gwoździ i poprowadzili w dół, obwiązując nogi ciężkiego stołu i przywiązując go tam w taki sposób, żeby za pomocą jednego ruchu można go było naciągnąć mocniej.

Meg stała na małej stercie książek – trzech grubych tomach encyklopedii świata.

Była zakneblowana, oczy miała przesłonięte opaską.

Miała bose stopy, szorty i bluzka były brudne. Gdy stała tak rozciągnięta, widać było jej pępek.

Był wklęsły.

Woofler chodził przed nią kierując strumień światła latarki to w górę, to w dół jej ciała.

Na jej lewym policzku znajdował się siniak.

Susan siedziała na kartonie, w którym znajdowały się warzywa w puszcze. Patrzyła. We włosy miała wpiętą niebieską kokardę.

W rogu zauważyłem koce i dmuchany materac. Dotarło do mnie, że Meg tutaj spała. Zastanawiałem się od jak dawna.

– Teraz jesteśmy już wszyscy – powiedziała Ruth.

Rozproszone, złocistożółte światło wpadało do pozostałej części piwnicy, jednak głównie świeciła tam latarka Woofera, a nasze cienie poruszały się powoli z każdym jego krokiem, sprawiając, że wszystko wokół wydawało się dziwne i nierealistyczne. Drut kolczasty nad jedynym oknem zdawał się przesuwac lekko to w tył, to w przód. Dwie drewniane belki podpierające sufit ustawione były pod dziwnym kątem. Siekiera, kilof, łom i łopata ustawione w kącie naprzeciw Meg zdawały się poruszać, to zwiększać, to kurczyć, wciąż zmieniając kształty.

Gaśnica prawie pełzała po podłodze.

Jednak to cień Meg zdominował pomieszczenie – odchylona głowa, otwarte, rozchylone ramiona. To był widok wyjęty prosto z komiksowych horrorów, które chyba wszyscy kolekcjonowaliśmy.

Łatwo było sobie wyobrazić światło latarki, dziwne przyrządy, rytuały i piec wypełniony rozgrzanymi węglami.

Zadygotałem. Nie z zimna, lecz na samą myśl o tym.

– Gra polega na tym, że musi coś powiedzieć – powiedział Woofler.

– Okay. Ale powiedzieć co? – zapytała Ruth.

– Cokolwiek. Zdradzić jakąś tajemnicę.

Ruth skinęła głową, uśmiechając się.

– Brzmi nieźle. Ale jak ma to zrobić, kiedy jest zakneblowana?

– Chodzi o to, żeby nie powiedziała tego od razu, mamie – wtrącił Willie. – W każdym razie będziemy wiedzieli, kiedy będzie na to gotowa.

– Jesteś pewna, że chcesz nam o czymś powiedzieć, Meggy? Jesteś gotowa? – zapytała Ruth.

– Ona nie jest gotowa – odezwał się Woofler. Jednak nie musiał się fatygować. Meg nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Więc co teraz? – zapytała Ruth.

Willie odepchnął się lekko od framugi drzwi i wszedł do pomieszczenia. Wpadł na pomysł.

– Teraz zabierzemy jedną książkę.

Pochylił się, wyjął środkową encyklopedię i cofnął się.

Sznur był teraz bardziej naprężony.

Willie i Woofler mieli zapalone latarki. Ruth trzymała swoją z boku, była zgaszona.

Widziałem, jak nadgarstki Meg robią się czerwone od uścisku sznura. Miała lekko wygięte plecy. Koszulka przesunęła się bardziej w górę. Ledwo była w stanie ustać na dwóch pozostałych książkach. Widziałem jej napięte łydki i uda. Przez chwilę stanęła na palcach, by odciążyć trochę nadgarstki, po czym opadła ponownie.

Willie wyłączył latarkę. Teraz zrobiło się straszniej.

Meg po prostu tam wisiała, kołysząc się lekko.

– Przyznaj się – powiedział Woofler. Potem zaśmiał się. – Nie. Nie rób tego – zmienił zdanie.

– Zabierz kolejną książkę – rozkazał Donny.

Spojrzałem na Susan, żeby sprawdzić, jak to znosi. Siedziała z dłońmi ułożonymi na kolanach. Na jej twarzy malowała się powaga, wpatrywała się w Meg, jednak nie wiedziałem, co czuje ani o czym teraz myśli.

Willie zabrał kolejną książkę.

Teraz Meg stała na palcach.

Wciąż nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Mięśnie jej nóg były mocno zarysowane pod skórą.

– Zobaczymy, jak długo będzie w stanie tak wytrzymać – powiedział Donny. – Po jakimś czasie ją zaboli.

– Nie – powiedział Woofler. – To wciąż jest zbyt łatwe. Zabierzmy ostatnią. Niech stoi na samych koniuszkach palców. Chcę przez chwilę na to popatrzeć. Zobaczyć, co się stanie.

Jednak nic się nie działo. Meg była zdeterminowana. I była silna.

– Nie chcesz dać jej szansy, żeby się przyznała? Czy nie o to chodzi? – zapytała Ruth.

– Nie – powiedział Woofler. – Za wcześnie na to. No dalej. To wciąż dla niej za łatwe. Zabierz ostatnią książkę, Will.

Tak zrobił.

A wtedy Meg wydała z siebie pojedynczy dźwięk, coś w rodzaju cichego jęku, i w tym momencie zaczęła oddychać ciężiej. Dół bluzki znajdował się tuż pod jej piersiami, a ja widziałem, jak jej brzuch unosi się i opada nieregularnie, ukazując żebra. Jej głowa odchyliła się w tył przez moment, potem znów pochyliła się do przodu.

Powoli traciła równowagę. Zaczęła się kołysać.

Jej twarz stała się czerwona. Mięśnie były boleśnie naprężone.

Patrzyliśmy w milczeniu.

Była piękna.

Ciche dźwięki towarzyszące jej oddechom były coraz częstsze, w miarę jak rosło napięcie mięśni. Nie mogła nic na to poradzić. Jej nogi zaczęły się trząść. Najpierw łydki, potem uda.

Cienka struga potu spływała spod żeber na brzuch i niżej na biodra.

– Powinniśmy ją rozebrać – powiedział Donny.

Słowa te wisiały przez moment w powietrzu, tak jak wisiała Meg, próbując odzyskać równowagę. Nagle to ja poczułem zawroty głowy.

– Właśnie – podchwycił Woofler.

Meg usłyszała. Potrząsnęła głową. Były w niej oburzenie, złość i strach. Usłyszałem dźwięki zza knebla. Nie, nie, nie.

– Morda w kubek! – powiedział Willie.

Próbowała skakać, ciągnęła za sznur, usiłując wyrwać się z bolesnego uścisku. Jednak jedyne, co robiła, to raniła siebie, ocierając nadgarstki.

Nie dbała o to. Nie miała zamiaru pozwolić, żeby to się stało.

Próbowała dalej.

Nie, nie!

Willie podszedł i uderzył ją w głowę książką.

Cofnęła się bezwładnie, oszołomiona.

Spojrzałem na Susan. Jej dłonie wciąż znajdowały się na kolanach, jednak piąstki miała już białe. Patrzyła prosto na swoją siostrę, nie na nas. Zęby dziewczynki mocno wgryzały się w dolną wargę.

Nie mogłem na nią patrzeć.

Odchrząknąłem i próbowałem wydobyć coś, co w jakiejś części przypominałoby mój własny głos.

– Hej... eee... chłopaki... słuchajcie... chyba nie powinniśmy...

Woofler krzyknął na mnie.

– Mamy pozwolenie! – wrzasnął. – Mamy! Mówię, żebyśmy zdjęli jej ubranie! Żebyśmy ją rozebrali!

Spojrzelismy na Ruth.

Stała, opierając się o drzwi z rękoma założonymi na brzuchu.

Miała dziwny wyraz twarzy, jakby była zła albo mocno o czymś myślała. Jej usta były ściśnięte i układały się w charakterystyczną prostą linię.

Nawet na moment nie spuściła wzroku z ciała Meg.

– Na tym właśnie polega Gra, prawda? – powiedziała.

W porównaniu z resztą domu, a nawet z piwnicą w schronie było chłodno. Jednak nie w tej chwili. W pomieszczeniu czuć było lepkość, wypełniało się gęstym powietrzem, które przechodziło w powolny, elektryzujący żar, buchający od każdego z nas. Ten żar otaczał nas, z każdą minutą izolował, ale jednocześnie w jakimś sensie mieszał nas ze sobą. Czuć to było w sposobie, w jaki stał Willie, spocony, pochylony, wciąż trzymający w ręku książkę. W powolnych krokach Woofera, który podchodził bliżej, kierując światło latarki na ciało Meg, pieszcząc nim jej twarz, brzuch i nogi. Czułem to od Donny'ego i Ruth. Jak gdyby była to słodka trucizna, której smak poznaliśmy teraz wszyscy.

Mieliśmy zamiar to zrobić. Mieliśmy zamiar to zrobić.

Ruth zapaliła papierosa i rzuciła zapalniczkę na podłogę.

– No dalej – powiedziała.

Dym wypełnił pomieszczenie.

– Kto chce to zrobić? – zapytał Wooper.

– Ja – powiedział Donny.

Przeszedł obok mnie. Teraz Wooper i Willie skierowali na Meg strumień światła. Widziałem, jak Donny sięga do kieszeni i wyjmując scyzoryk, który zawsze nosił przy sobie. Odwrócił się do Ruth.

– Zależy ci na jej ubraniach, mamo? – zapytał.

Spojrzała na niego.

– Spodenek nie muszę rozcinać – powiedział. – Ale...

Miał rację. Jedynym sposobem na zdjęcie bluzki było jej podarcie albo rozcięcie.

– Nie – stwierdziła Ruth. – Nie obchodzą mnie.

– Zobaczmy, co tam ma – powiedział Willie.

Wooper zachichotał.

Donny podszedł do Meg, wysuwając ostrze.

– Nie próbuj niczego – powiedział. – Nie skrzywdzę cię. Ale jeśli będziesz czegoś próbowała, znów będę musiał ci przywalić. Widzisz? To głupie.

Rozpiął ostrożnie jej bluzkę, odciągając materiał od ciała, jak gdyby wstydził się jej dotknąć. Jego twarz stała się czerwona. Palce poruszały się niezdarnie. Trząsał się.

Zaczęła się wrywać, jednak po chwili ustała.

Rozpięta bluzka wisiała bezkształtnie na jej ramionach. Zauważyłem, że pod spodem miała bawełniany stanik. To mnie zaskoczyło. Ruth nigdy nie nosiła stanika. Widocznie założyłem, że Meg też nie będzie.

Donny sięgnął po scyzoryk i rozciął rękaw na wysokości szwów. Nóż był ostry. Bluzka opadła na podłogę.

Meg zaczęła płakać.

Podszedł z drugiej strony i zrobił to samo z drugim rękawem. Potem się cofnął.

– Teraz spodenki – odezwał się Willie.

Słyszałem, jak Meg cicho płacze, usiłując przez knebel w ustach wydusić: Nie, proszę.

– Nie kop – powiedział Donny.

Szorty rozpinane były z boku. Rozsunął zamek, przesunął je w dół ud, poprawił cienkie białe majtki, potem zsunął spodenki po nogach Meg na podłogę. Jej mięśnie zdrząły.

Odsunął się w tył i spojrzał na nią.

Wszyscy spojrzeliśmy.

Widzieliśmy już wcześniej Meg mającą na sobie tak mało ubrań, jak tylko można to sobie wyobrazić. Miała wtedy dwuczęściowy kostium kąpielowy, jaki nosiły wszystkie dziewczyny tego lata. Nawet małe dzieci.

Ale teraz to coś zupełnie innego. Stanik i majtki były czymś osobistym i tylko dziewczyny mogły je widzieć, a jedynymi dziewczynami w pomieszczeniu były Meg i Susan. A Ruth na to pozwalała. Zachęcała do tego. Ta myśl nie mieściła mi się w głowie jeszcze przez długi czas.

Poza tym przed nami stała Meg. Tuż przed naszymi oczami. To uczucie przepelniało wszystkie moje myśli, cały mój umysł.

– Przyznasz się teraz, Meggy? – powiedziała Ruth delikatnym głosem.

– Nie, nie robi tego – odezwał się Willie. – Nie ma mowy. – Lśniaca strużka potu spływała mu po czole. Wytarł ją ręką.

Wszyscy się teraz pociliśmy, a Meg najbardziej. Mokre kropelki widoczne były pod jej pachami, w pępku i na brzuchu.

– Rozbierz ją do końca – zaproponował Willie. – Może potem pozwolimy jej się przyznać.

Woofers znów zachichotał.

– Ale wcześniej pokręci tyłeczkiem – powiedział.

Donny zbliżył się do niej. Przeciął najpierw prawe ramięczko jej biustonosza, potem lewe. Piersi Meg wyslizgnęły się nieco, wysuwając się z miseczek.

Mógł go rozpiąć od tyłu, lecz zamiast tego stanął z przodu. Wetknął ostrze pomiędzy miseczki i zaczął rozcinać materiał.

Meg łkała.

Płkanie w takiej pozycji musiało boleć, ponieważ z każdym ruchem sznur zaciskał się coraz mocniej.

Nóż był ostry, jednak chwilę to trwało. Potem usłyszeliśmy mały trzask i stanik opadł na ziemię. Jej piersi były nagie.

Były jaśniejsze od reszty ciała, blade, kształtne i śliczne. Poruszały się, kiedy płakała. Sutki miała różowawo-brązowe. Wydawały mi się przerażająco długie. Malutkie pagórki skóry. Formy, których nigdy wcześniej nie widziałem i których chciałem natychmiast dotknąć.

Wszedłem głębiej do pomieszczenia. Ruth stała teraz za moimi plecami.

Słyszałem swój oddech.

Donny klęknął przed nią i wyciągnął rękę. Przez chwilę wyglądało to jak adoracja, jak podziw.

Potem jego palce chwyciły majtki, po czym opuściły je wzdłuż jej nóg na podłogę. Miał teraz swoje pięć minut.

Przyszedł kolejny szok.

Włosy Meg.

Mały, jasny, blond-rudy obłoczek, na którym zawieszono były kropelki potu.

Zobaczyłem malutkie piegi po wewnętrznej stronie jej ud.

Dostrzegłem mały zawinięty kawałek skóry schowany do połowy pomiędzy jej nogami.

Patrzyłem na nią. Na jej piersi. Jakie to byłoby uczucie, ich dotykać?

Jej ciało przekraczało moją wyobraźnię. Te włosy tam na dole. Wiedziałem, że są miękkie. Bardziej miękkie od moich. Chciałem jej dotykać. To ciało byłoby gorące. Zaczęłem trząść się bez opamiętania.

Jej brzuch, jej uda, jej sprężysta blada pupa.

Podniecenie kłębiło się we mnie, rosło w moim ciele.

Pomieszczenie parowało od seksu.

Poczułem twardniejący ciężar pomiędzy nogami. Przesunąłem się do przodu, zafascynowany. Ominąłem Susan. Widziałem twarz Woofera, bladą i bezkrwistą. Widziałem, jak oczy Williego nie mogą oderwać się od tej kępki na dole.

Meg przestała płakać.

Odwrociłem się w kierunku Ruth. Ona też podeszła bliżej. Lewą ręką pocierała za swoją prawą pierś, lekko ją ściskając, po czym zabrała dłoń.

Donny klęknął, patrząc w twarz Meg.

– Przyznaj się – powiedział.

Jej ciało wiło się w konwulsjach.

Czułem jej pot.

Skinęła głową. Musiała.

Poddała się.

– Sznur – powiedział do Williego.

Ten podszedł do stołu i rozsupłał węzły, pozwalając, aby jej stopy opadły na cement, potem zawiązał sznur ponownie.

Głowa Meg pochyliła się z ulgą w przód.

Donny wstał i usunął jej knebel. Uświadomiłem sobie, że to była chusta Ruth. Otworzyła usta, a on wyjął szmatę, którą tam wepchnęli. Rzucił ją na podłogę, a chustę schował do tylnej kieszeni dżinsów. Jej róg lekko wystawał. Przez chwilę wyglądał jak wieśniak.

– Czy możesz...? Moje ramiona... – wyszeptła Meg. – Moje ramiona... boją.

– Nie – powiedział Donny. – To wszystko. To wszystko, co dostałaś.

– Przyznaj się – nalegał Woofler.

– Powiedz nam o tym, jak się z sobą zabawiasz – powiedział Willie. – Założę się, że wkładasz sobie palec.

– Nie. Powiedz nam o kile – zaśmiał się Woofler.

– Właśnie, o rzeżącce. – Willie szczyrzył zęby.

– Płacz! – rozkazywał Woofler.

– Już płakałam – powiedziała Meg.

Widziałem, że odzyskała nieco dawnej odwagi i że nie cierpiała teraz już tak bardzo.

Woofler tylko wzruszył ramionami.

– Więc płacz znowu.

Meg nic nie odpowiedziała.

Zobaczyłem, że jej sutki stały się teraz bardziej delikatne, gładkie i różowe.

Boże! Jaka ona była piękna.

Chyba czytała w moich myślach.

– Czy jest tutaj David? – zapytała.

Willie i Donny spojrzeli na mnie. Nie mogłem odpowiedzieć.

– Tak, jest tutaj – odparł Willie.

– Davidzie... – zaczęła. Jednak nie musiała kończyć zdania. Wiedziałem, co chciała powiedzieć.

Nie chciała, żebym tutaj był.

Wiedziałem też dlaczego. Ta wiedza zawstydziała mnie, tak jak Meg zawstydziała mnie już wcześniej. Jednak nie mogłem wyjść. Poza tym nie chciałem. Chciałem na nią patrzeć. Musiałem na nią patrzeć. Wstyd był niczym w porównaniu z pożądaniem, które ogarniało moje ciało.

– A Susan?

– Tak, ona też – potwierdził Donny.

– O Boże.

– Pieprzyć to – warknął Woofler. – Kogo obchodzi Susan? A co z wyznaniem?

Teraz Meg brzmiała bardzo dorośle.

– Wyznanie jest głupie – odparła. – Nie będzie żadnego wyznania.

To nas zatrzymało.

– Możemy cię znowu rozciągnąć – powiedział Willie.

– Wiem.

– Możemy cię wychłostać – zagroził Woofier.

Meg potrząsnęła głową.

– Proszę. Zostawcie mnie w spokoju. Zostawcie mnie. Nie ma żadnego wyznania.

Tego nikt się nie spodziewał.

Przez chwilę po prostu staliśmy, czekając, aż ktoś coś powie, coś, co przekonałoby ją, żeby grała w Grę zgodnie z regułami. Albo ją do tego zmusi. Albo aż Willie znowu ją rozciągnie na sznurach, tak jak powiedział. Cokolwiek, co nadałoby sprawom nowy bieg.

Jednak w ciągu tych kilku chwil wszystko przepadło. By to odzyskać, musielibyśmy zacząć od początku. Chyba wszyscy o tym wiedzieliśmy. Słodkie uczucie niebezpieczeństwa rozplynęło się w chwili, kiedy zaczęła mówić.

To było kluczowe.

Mówić zaczęła Meg. Nie jakaś piękna naga ofiara, ale Meg. Osoba posiadająca umysł, głos do wyrażania swoich myśli, może nawet posiadająca własne prawa.

Zdjęcie knebla było błędem.

Poczuliśmy się przygnębieni, źli i sfrustrowani. Więc staliśmy tam.

To Ruth przerwała milczenie.

– Możemy to zrobić – stwierdziła.

– Zrobić co? – zapytał Willie.

– To co mówi. Zostawić ją w spokoju. Pozwolić jej pomyśleć przez chwilę. Dla mnie to brzmi dobrze.

Zastanawialiśmy się nad tym.

– Właśnie – powiedział Woofier. – Zostawić ją samą. W ciemności. Niech tu wisi.

Pomyślałem, że to był jedyny sposób, by zacząć wszystko od nowa.

Willie wzruszył ramionami.

Donny spojrzał na Meg. Widziałem, że nie chciał wychodzić. Natarczywie jej się przyglądał.

Uniósł dłoń. Powoli, niepewnie przesunął ją w kierunku piersi.

Nagle poczułem, jak gdybym był częścią niego. Czułem tam swoją własną dłoń, z palcami, które prawie dotykały ciała Meg. Czułem wilgotne gorąco jej skóry.

– Oj, nie – odezwała się Ruth. – Nie.

Donny spojrzał na nią, po czym przestał. Był tylko o kilka centymetrów od jej piersi. Wzięłem oddech.

– Nie dotykaj tej dziewczyny! – powiedziała Ruth. – Nie chcę, żeby którykolwiek z was jej dotykał.

Opuścił dłoń.

– Dziewczyna taka jak ona – kontynuowała Ruth – nie jest nawet czysta. Trzymajcie od niej ręce z daleka. Słyszycie?

Słyszeliśmy.

– Dobrze, mamie – przytaknął Donny.

Ruth odwróciła się i skierowała do wyjścia. Rzuciła niedopałek papierosa na podłogę i kiwnęła do nas dłonią.

– No dalej – powiedziała. – Ale najpierw lepiej znów ją zakneblujcie.

Spojrzałem na Donny'ego, który przyglądał się kawałkowi szmaty na podłodze.

– Jest brudna – powiedział.

– Nie aż tak brudna – odparła Ruth. – Nie chcę, żeby mi wrzeszczała przez całą noc. No dalej.

Następnie spojrzała na Meg.

– Przemyśl sobie jedną rzecz, laluniu – powiedziała. – A właściwie dwie rzeczy. Po pierwsze, zamiast ciebie mogłaby tu wisieć twoja mała siostra. Po drugie, wiem o złych rzeczach, które zrobiłaś. Chcę o nich usłyszeć. Więc może wyznanie nie jest taką głupią dziecięcą grą, mimo wszystko. Mogę o nich usłyszeć albo od jednej, albo od drugiej z was. Przemyśl to sobie – dodała i odwróciła się.

Słyszeliśmy, jak wchodzi po schodach.

Donny zakneblował Meg.

Mogliśmy jej wtedy dotknąć, ale nie zrobiliśmy tego.

Jak gdyby Ruth wciąż tu była i przyglądała się. Była to obecność, która przepelniała pomieszczenie znacznie bardziej niż dym z jej papierosa. Jakby Ruth była duchem, który nawiedzał nas, jej synów i mnie. Nawiedzał zawsze, kiedy tylko się jej sprzeciwiliśmy.

Chyba wtedy uświadomiłem sobie ostre jak brzytwa niebezpieczeństwo jej przyzwolenia.

Przedstawienie należało do Ruth i tylko do Ruth.

Gra przestała istnieć.

Uzmysłowiłem sobie, że nie tylko Meg, ale my wszyscy wisieliśmy tam upokorzeni i nadzy.

Rozdział 29

Leżąc w łóżkach, nie mogliśmy przestać myśleć o Meg.

Czas mijał w całkowitym milczeniu pośród ciepłej ciemności, gdy nagle ktoś się odezwał i powiedział, jak wyglądała, kiedy Willie zabrał ostatnią książkę, jakie to musi być uczucie stać tak długo z rękoma związanymi nad głową bez względu na to, czy bolało i jakie to uczucie ujrzeć nagie ciało dziewczyny. Rozmawialiśmy o tym przez dłuższą chwilę, zanim znowu zapanowała cisza i każdy z nas zawiązał się w kokon swoich myśli i marzeń.

Był tylko jeden obiekt tych marzeń.

Meg. Meg, którą zostawiliśmy w schronie.

Musieliśmy ją znowu zobaczyć.

Zanim Donny zdążył się odezwać, zdawaliśmy sobie już sprawę z potencjalnego zagrożenia. Ruth powiedziała nam, abyśmy zostawili ją w spokoju.

Dom był mały i wszystko było w nim słychać, a Ruth spała tuż za cienkimi drzwiami, w pokoju Susan, bezpośrednio nad schronem. Czy Susan tam leżała teraz w łóżku, rozmyślając o swojej siostrze?

Gdyby Ruth się obudziła i przyłapała nas, stałoby się to, o czym baliśmy się nawet pomyśleć. Mogłaby nas wyłączyć z Gry.

Dobrze wiedzieliśmy, że właśnie to by nas spotkało.

Jednak obrazy, które zapamiętaliśmy, były zbyt intensywne. Zupełnie jakbyśmy potrzebowali potwierdzenia, że tam byliśmy. Jej całkowita nagość i dostępność przywoływały nas niczym pieśń syreny. Kusily nas.

Musieliśmy podjąć ryzyko.

Noc była czarna, bezksiężycowa.

Zeszliśmy z Donnym z łóżek. Willie i Woofler zsunęli się poniżej.

Drzwi do pokoju Ruth były zamknięte.

Przeszliśmy obok nich na paluszkach. Choć raz Woofler powstrzymał się od chichotu.

Willie zabrał z kuchennego stołu jedną z latarek, a Donny z łatwością otworzył drzwi do piwnicy.

Schody zaskrzypiały. Nic nie można było na to poradzić, tylko modlić się i liczyć na szczęście.

Drzwi do schronu również zaskrzypiały. Jednak nie aż tak strasznie.

Otworzyliśmy je i weszliśmy do środka, stojąc boso na tej samej zimnej betonowej podłodze, na której stała ona. Meg. Była tam dokładnie taka, jak ją zapamiętaliśmy, dokładnie taka, jak sobie wyobrażaliśmy.

No cóż, niezupełnie.

Jej dłonie przybrały biały kolor, były upačkane czerwienią i błękitem. Nawet w nieostrym świetle latarki można było dostrzec, jak blade było jej ciało. Cała pokryta była gęsią skórką jej sutki zrobiły się brązowe i skurczone.

Usłyszała, jak wchodzimy i wydała z siebie cichy jęk.

– Cicho – wyszeptał Donny.

Posłuchała go.

Przyglądaliśmy się jej. Zupełnie jakbyśmy stali naprzeciw sanktuarium lub oglądali dziwne egzotyczne zwierzę w zoo.

Jakbyśmy robili obie te rzeczy naraz.

Zastanawiam się teraz, czy coś by się zmieniło, gdyby nie była tak piękna, gdyby jej ciało nie było młode, silne i zdrowe, a brzydkie, grube i zwiotczałe. Prawdopodobnie nie. Prawdopodobnie i tak by się to wydarzyło. Nieunikniona kara obcego.

Jednak bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że to wszystko wydarzyło się właśnie dlatego, że była taka piękna i silna.

My nie. Dlatego też Ruth i reszta nas jej to zrobiła. Wydaliśmy pewien osąd nad jej pięknem, nad tym, co ono dla nas znaczyło i czego nie znaczyło.

– Założę się, że jest spragniona – zaczął Woofler.

Potrząsnęła głową. Tak. Tak, bardzo.

– Jeżeli mamy dać jej wody, to będziemy musieli wyjąć jej ten knebel – powiedział Willie.

– I co z tego? Nie narobi hałasu.

Podszedł bliżej.

– Nie narobisz hałasu, prawda Meg? Nie możemy obudzić mamy.

Nie. Potrząsnęła stanowczo głową z boku na bok. Widać było, że bardzo pragnęła wody.

– Wierzysz jej? – zapytał Willie.

Donny wzruszył ramionami.

– Jeżeli narobi hałasu, to sama wpakuje się w tarapaty. Nie jest głupia. Więc dajmy jej wody.

– Ja przyniosę – odezwał się Woofler.

Obok pralki znajdował się zlew. Woofer odkręcił kran i za naszymi plecami dobiegł nas cichy odgłos leżącej wody. Chłopak zachowywał się przy tym niezwykle cicho.

Również niezwykle uprzejmie. Oczywiście jak na niego.

Willie zdjął jej knebel tak jak wcześniej i wyjął z jej ust brudny zwitek szmaty.

Jęknęła i zaczęła poruszać szczęką na boki.

Woofer przyniósł stary słoje pełen wody.

– Znalazłem go przy puszkach z farbą – zaśmiał się. – Nie śmierdzi tak bardzo.

Donny zabrał od niego słoje i przyłożył go do ust Meg. Piła łapczywie, wydając z każdym łykiem ciche odgłosy zadowolenia. Opróżniła słoje w oka mgnieniu.

– O Boże – szeptała. – O Boże. Dziękuję.

To było dziwne uczucie. Zupełnie jakby wybaczyła nam wszystko. Jakby naprawdę była nam wdzięczna.

To było w pewnym sensie zadziwiające, że wystarczył jeden słoje wody, by to się stało.

Ponownie naszła mnie myśl o tym, jak bardzo była bezradna.

I zastanawiałem się, czy pozostali również czuli to, co ja odczuwałem – tę wszechogarniającą niemalże oszałamiającą potrzebę dotknięcia jej. Położenia na niej swoich rąk. Przekonania się, jaka była. Jakie były jej piersi, pośladki, uda. Jej kręcona blond-ruda kępka pomiędzy nogami.

Doświadczyć tego, co było zakazane.

To uczucie sprawiało, że omal nie zemdlałem. Wzrastało we mnie. Było coraz silniejsze.

– Chcesz jeszcze? – zapytał Woofer.

– A mogę?

Pobiegł w kierunku zlewu i po chwili stał już z powrotem, trzymając kolejny napełniony wodą słoje. Podał go Donny'emu. Meg opróżniła również i ten.

– Dzięki. Dziękuję.

Oblizła usta. Były spierzchnięte, wysuszone, miejscami popękane.

– Czy... czy moglibyście...? Sznury... sprawiają mi straszny ból.

Gołym okiem było widać, że sznury zrobiły swoje. Pomimo iż stopami stała płasko na ziemi, jej ciało nadal było mocno naciągnięte.

Willie spojrzał na Donny'ego.

Następnie obaj spojrzeli na mnie.

Przez chwilę czułem się zakłopotany. Dlaczego obchodziło ich moje zdanie? Zupełnie jakby oczekiwali czegoś ode mnie i nie byli pewni, czy to dostaną.

W każdym razie skinąłem głową.

– Myślę, że możemy – powiedział Donny. – Troszkę. Jednak pod jednym warunkiem.

– Zrobię wszystko. Mów.

– Musisz przyrzec, że nie będziesz się wrywać.

– Wrywać się?

– Musisz przyrzec, że będziesz się zachowywała cicho i musisz przyrzec, że nie będziesz się wrywać i że nikomu o tym nie powiesz. Nigdy nikomu o tym nie powiesz.

– O czym nie powiem?

– Że cię dotykaliśmy.

I wtedy to nastąpiło.

To, o czym wszyscy śniliśmy po nocach w naszych łóżkach. Nie powinno mnie to dziwić. Jednak mnie to zaskoczyło. Nie mogłem złapać tchu. Czułem, że każdy w piwnicy słyszał bicie mojego serca.

– Dotykaliście mnie? – zapytała niepewnie Meg.

Donny zarumienił się na twarzy.

– No wiesz.

– O Boże – wyszeptała.

Potrząsnęła głową.

– Jezus Maria. Nie.

Westchnęła. Następnie zamyśliła się na moment.

– Nie – odpowiedziała.

– Nie zrobimy ci żadnej krzywdy – powiedział Donny. – Tylko cię dotkniemy.

– Nie.

Zupełnie jakby to rozważyła i po prostu sobie tego nie wyobrażała bez względu na wszystko i to była jej ostateczna odpowiedź w tej kwestii.

– Naprawdę, nie wyrządzimy ci krzywdy.

– Nie. Nie zrobisz mi tego. Żaden z was mi tego nie robi.

W tej chwili była rozwścieczona. Ale Donny również.

– Wal się. I tak możemy to zrobić bez twojej zgody. Kto nas powstrzyma?

– Ja.

– Niby jak?

– Niech cię szlag, ale zrobicie mi to tylko raz i tylko jeden z was, ponieważ ja nie tylko o tym powiem. Będę krzyczeć.

Mówiła na serio, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Krzyczałyby. Nie przejmowała się tym. Miała nas.

– W porządku – powiedział Donny. – Jak chcesz. W takim razie zostawimy sznury tak jak są i zakneblujemy cię z powrotem.

Widać po niej było, że jest bliska płaczu. Jednak nie zamierzała dać mu tej satysfakcji. Nie z tego powodu. Jej głos był przepełniony goryczą.

– W porządku – odparła. – Zakneblujcie mnie. No dalej. Zostawcie mnie i wynoście się stąd!

– Tak zrobimy.

Skinął głową w kierunku Williego, a ten zrobił krok do przodu, trzymając szmatę i chustę.

– Otwórz usta – powiedział.

Przez chwilę się wahała, następnie rozchyliła wargi.

Willy wcisnął jej szmatę, a następnie obwiązał wokół chustą. Zawiązał ją mocniej, niż to było konieczne, mocniej niż była związana wcześniej.

– Nadal obowiązuje nas umowa – odezwał się Donny. – Daliśmy ci wody. Nas jednak tutaj nigdy nie było. Rozumiemy się?

Przytaknęła głową. Nie wiem jak to się działo, jednak stojąc tam nago, związana sznurem, emanowała jednocześnie dumą. Nie można było jej nie podziwiać.

– A więc dobrze – powiedział.

Odwrócił się, by wyjść.

Do głowy przyszedł mi pomysł.

Wyciągnąłem rękę i chwyciłem go za ramię, zatrzymując go, kiedy przechodził obok mnie.

– Donny?

– Tak?

– Posłuchaj. Poluzujmy jej trochę sznury. Tylko odrobinę. Wystarczy, że przysuniemy stół o parę centymetrów. Ruth nie zauważy. Spójrz na nią. Chcesz, żeby zwichnęła sobie ramię czy coś? Do świtu jeszcze kawałek, wiesz, co mam na myśli.

Wypowiedziałem te słowa wystarczająco głośno, żeby mogła je usłyszeć.

Donny wzruszył ramionami.

– Daliśmy jej możliwość wyboru. Nie była zainteresowana.

– Wiem o tym – powiedziałem. Nachyliłem się ku niemu, uśmiechnąłem i wyszeptalem.

– Być może będzie chciała się odwdzińczyć. Rozumiesz? Być może to zapamięta i doceni ten gest następnym razem.

Przysunęliśmy stół.

Właściwie to podnieśliśmy go i popchnęliśmy, starając się nie narobić przy tym hałasu, co przy naszej trójce plus Woofera, nie było zbyt trudnym wyczynem. Kiedy skończyliśmy, Meg miała może dwa i pół centymetra luzu w dłoniach, wystarczająco dużo, by mogła ugiąć łokieć. Po raz pierwszy od dawna miała trochę swobody.

– Do zobaczenia – wyszeptalem, zamykając za sobą drzwi. Spoglądając w ciemność piwnicy, wydawało mi się, że przytaknęła.

Od tej chwili byłem spiskowcem. Na dwa sposoby. Działając na różnych frontach.

Co za cudowny pomysł.

Byłem z siebie dumny.

Poczułem się sprytny, zadowolony oraz podekscytowany. Pomogłem jej. Pewnego dnia się odwdzięczy. Pewnego dnia, byłem tego pewien, pozwoli mi się dotknąć. Ten dzień nastąpi. Nie dla pozostałych, ale dla mnie.

Pozwoli mi na to.

– Do zobaczenia, Meg – wyszeptalem.

Zupełnie jakby mi podziękowała.

Byłem niespełna rozumu. Oszalałem.

Rozdział 30

Rano zesliśmy na dół i zobaczyliśmy, że Ruth uwolniła Meg z więzów i przyniosła jej ubrania na zmianę, kubek gorącej herbaty oraz kilka tostów bez masła. Meg siedziała ze skrzyżowanymi nogami na dmuchanym materacu, pijąc i jedząc.

W ubraniu, bez sznurów, knebla i bez przewiązanych oczu nie wyglądała już tak tajemniczo. Była blada, zmizerniała. Wyglądała na zmęczoną i wyraźnie poirytowaną. Ciężko było nam w tej chwili przywołać obraz dumnej lub cierpiącej Meg z poprzedniego dnia.

Można było zauważyć, że przelknięcie sprawia jej trudność.

Ruth stała nad nią zachowując się jak jej matka.

– Zjedz tosta – powiedziała.

Meg spojrzała w górę, na Ruth, a następnie w dół, na papierowy talerzyk na jej kolanach.

Z góry dochodziły do nas odgłosy włączonego telewizora. Leciał jakiś teleturniej. Willie powłóczył nogami.

Odgłosy padającego na zewnątrz deszczu również nie umknęły naszej uwadze.

Meg ugryzła kawałek chleba, a następnie przeżuwała go w nieskończoność, dopóki nie osiągnął konsystencji śliny, tak aby mogła go przełknąć.

Ruth westchnęła, bacznie przyglądając się dziewczynie. Wyglądało, jakby przeżuwanie kawałka chleba było jej sprawdzianem dla Meg. Oparła dłonie na biodrach i z rozkraczonymi nogami wyglądała zupełnie jak George Reeves w początkowej scenie „Supermana”.

– No dalej. Zjedz jeszcze – powiedziała.

Meg potrząsnęła głową.

– To jest zbyt... Nie mogę. Mam spierzchnięte usta. Czy mogę z tym poczekać? Zjeść później? Napiję się najpierw herbaty.

– Nie będę marnować jedzenia, Meg. Jedzenie kosztuje. Zrobiłam je dla ciebie.

– Ja... Ja wiem. Tylko...

– Co chcesz, żeby z tym zrobiła? Wyrzuciła do kosza?

– Nie. Nie możesz tego po prostu tutaj zostawić? Zjem to za chwilę.

– Do tego czasu będzie już czerstwy. Zjedz go teraz. Kiedy jest jeszcze świeży. Inaczej zlecą się robale. Karaluchy. Mrówki. Nie pozwolę na robale w moim domu.

To było całkiem zabawne, ponieważ wokół bzycało już kilka much.

– Zjem go naprawdę za chwilę, Ruth. Obiecuję.

Ruth wydawała się to rozważać. Przyjęła postawę, łącząc nogi i krzyżując ramiona na piersi.

– Meg, kochanie – powiedziała. – Chcę, abyś spróbowała zjeść tosta teraz. Jest smaczny.

– Wiem o tym. Tylko, że ciężko mi jest w tej chwili. Napiję się herbaty, dobrze?

Meg podniosła kubek do ust.

– To nie powinno być łatwe – stwierdziła Ruth. – Nikt nie mówił, że to będzie łatwe.

Zaśmiała się.

– Jesteś kobietą Meg. Bycie kobietą to trudne wyzwanie, nie łatwe.

Meg spojrzała w górę na nią i przytaknęła głową pijąc powoli herbatę.

Donny, Woofers, ja i Willie staliśmy w drzwiach ubrani w piżamy. Obserwowaliśmy rozwój wydarzeń.

Sam robiłem się pomału głodny. Jednak ani Ruth, ani Meg nie zdawały sobie sprawy z naszej obecności.

Ruth przyglądała się jej, z kolei Meg wpatrywała się w nią, pijąc herbatę małymi ostrożnymi łykami. Napój był cały czas gorący. Z zewnątrz nadal dochodziły nas odgłosy deszczu i wiatru uderzającego o zbiornik ściekowy.

Meg w dalszym ciągu piła, a Ruth nadal po prostu się w nią wpatrywała.

Nagle Meg na chwilę spojrzała w dół, zaciągając się ciepłym herbacianym płynem, rozkoszując się jego zapachem.

Wtedy Ruth wybuchła.

Wybiła kubek z jej rąk, który rozleciał się na pokrytej wapnem ścianie z pustaków. Herbata miała kolor moczu. Spływała teraz po Meg.

– Żryj to!

Dźgnęła palcem w tosta. Przebiła na wylot papierowy talerzyk.

Meg uniosła ręce w górę.

– Już dobrze! W porządku! Zjem. Zjem to w tej chwili! W porządku?

Ruth pochyliła się w jej kierunku, tak że teraz obie niemal stykały się ze sobą nosami. Meg nie mogła ugryźć kromki, nawet gdyby chciała. Musiałaby zahaczyć tostem o twarz Ruth. Ta aż kipiała z wściekłości.

– Zapaskudziłaś ścianę Williego – cedziła nerwowo. – Niech cię szlag, potłukłaś mój kubek. Wydaję ci się, że kubek nic nie kosztuje? Wydaję ci się, że herbata jest za darmo?

– Przepraszam. – Meg podniosła tosta, jednak Ruth w dalszym ciągu stała nachylona przy jej twarzy. – Zjem go, w porządku? Ruth?

– No ja kurwa myślę, że zjesz.

– Zjem.

– Zapaskudziłaś ścianę Williego.

– Przepraszam.

– Kto to teraz posprząta? Kto uprzątnie bałagan z tej ściany?

– Ja to zrobię. Przepraszam, Ruth. Naprawdę.

– Mam cię w dupie! Wiesz, kto to teraz posprząta?

Meg nie odpowiedziała. Widać było po niej, że nie wiedziała, co odpowiedzieć. Ruth była coraz bardziej wściekła. Nakręcała się. Nic nie było w stanie jej uspokoić.

– Wiesz?

– N...ie.

Ruth wyprostowała się i ryknęła z wściekłości.

– Su-san! Su-san! Złaż tutaj w tej chwili!

Meg próbowała wstać. Ruth popchnęła ją z powrotem na ziemię.

Tym razem tost wypadł z talerza i upadł na podłogę.

Meg wyciągnęła rękę, by go podnieść i chwyciła za kawałek, który wcześniej jadła, jednak brązowy mokasyn Ruth przygniół go z drugiej strony.

– Zapomnij! – powiedziała. – Nie chcesz żreć, to nie musisz!

Wyrwała jej papierowy talerzyk, a resztki tostów wyleciały w powietrze.

– Wydaje ci się, że będę dla ciebie gotować? Ty mała dziwko! Ty mała niewdzięcznico!

Susan schodziła w dół, kuśtykając po schodach. Słychać było, jak idzie, zanim się pojawiła.

– Susan, podejdź no tutaj!

– Dobrze, pani Chandler.

Ustąpiliśmy jej miejsca, by mogła przejść. Zrobiła krok obok Woofera, który skinął głową i zachichotał.

– Zamknij się – rzucił Donny.

Jak na małą dziewczynkę wyglądała jednak całkiem poważnie – pomimo wczesnej pory była już schludnie ubrana i ostrożnie kroczyła z poważnym wyrazem twarzy.

– Podejdź do stołu – powiedziała Ruth.

Susan zrobiła, co jej kazano.

– Odwróć się.

Odwróciła się twarzą do stołu. Ruth rzuciła okiem w stronę Meg, a następnie zdjęła pasek.

– Pokażę ci, jak to wyczyścimy – powiedziała. – Pomoże nam w tym Susan.

Odwróciła się do nas.

– Niech jeden z was chłopcy podejdzie tutaj i podniesie jej sukienkę oraz pozbędzie się jej majtek.

To były pierwsze słowa, które do nas wypowiedziała tamtego poranka.

Meg próbowała po raz kolejny się podnieść, jednak Ruth ponownie odepchnęła ją mocno na ziemię.

– Wprowadzimy pewną regułę, Meg. Ilekroć będziesz nieposłuszna, ilekroć będziesz się mądrzyć, pyskować czy cokolwiek, paniusiu, to ona za to zapłaci. Dostanie lanie, a ty będziesz się temu przyglądać. Wypróbujemy ten sposób. Jeżeli nie poskutkuje, wtedy znajdziemy coś innego.

Odwróciła się w kierunku Susan.

– Sądzisz Suzie, że to sprawiedliwe? Że to ty powinnaś obrywać za tą miernotę, twoją siostrę? Za jej wybryki?

Susan cicho popłakiwała.

– N... ieeee – zajęczała.

– Oczywiście, że nie. Nigdy nie twierdziłam, że to jest sprawiedliwe. Ralpie, podejdź tutaj i odkryj dla mnie tyłek tej dziewczuszki. Wy chłopcy przytrzymajcie Meg, na wypadek, gdyby była na tyle głupia i weszła na linię ognia. Jeżeli będzie się rzucała, to użyjcie siły. Tylko uważajcie na to, gdzie jej dotykacie. Pewnie ma wszy łonowe czy jakieś inne paskudztwo. Bóg jeden wie, gdzie ta cipa była wcześniej.

– Wszy? – zapytał Woofier. – Prawdziwe wszy?

– Nieważne – odparła Ruth. – Po prostu róbcie, co wam mówię. Jeszcze w swoim życiu usłyszycie o dziwkach i wszach łonowych.

Wszystko odbyło się tak jak wcześniej, z tym wyjątkiem, że Meg przy tym była. Z tym wyjątkiem, że powód był szalony.

Jednak przywykliśmy już do tego.

Woofier zdjął Susan majtki i tym razem nikt nie musiał jej nawet przytrzymywać, gdy Ruth wymierzyła jej dwadzieścia szybkich nieprzerwanych batów. Mała krzyczała i wyla, a jej tyłek stawał się coraz bardziej czerwony w małym, ciasnym pomieszczeniu wybudowanym przez Williego Seniora na wypadek uderzenia bomby atomowej. Z początku Meg się wyrwała, słysząc wrzaski i płacz siostry oraz dźwięk trzaskającego paska, jednak Willie wykręcił jej rękę za plecami, przycisnął twarzą do materaca, tak że ledwo mogła oddychać. Nie mówiąc już o jakiegokolwiek pomocy siostrze.

Łzy spływały nie tylko po policzkach Susan, lecz również po twarzy Meg, plamiąc brudny materac, podczas gdy Donny i ja, stojąc w naszych pomiętych piżamach, przysłuchiwaliśmy i przypatrywaliśmy się temu wydarzeniu.

Gdy było już po wszystkim, Ruth odsunęła się i założyła z powrotem pasek, a Susan pochyliła się z trudem, szcękając protezami, nałożyła majtki i poprawiła sukienkę.

Willie uwolnił Meg i odsunął się na krok.

Gdy Susan odwróciła się przodem do nas, Meg podniosła głowę znad materaca i oczy sióstr spotkały się. Dostrzegłem coś w ich spojrzeniu. To coś, pomimo łez, wydawało się łagodne, smutne oraz dziwnie spokojne.

Wytrąciło mnie to z równowagi. Zastanawiało mnie, czy one nie są silniejsze niż my wszyscy tutaj razem wzięci.

Byłem świadomy, że to się ponownie w jakiś sposób nasilało.

Następnie oczy Meg zwróciły się w kierunku Ruth.

Teraz jej spojrzenie było przepełnione wściekłością.

Ruth również to dostrzegła i wykonała mimowolny krok, odsuwając się od niej. Zmrużyła oczy i rozejrzała się po pokoju. Utkwiła wzrok w rogu, wpatrując się w siekiere, kilof, łopatę i łom, stojące razem niczym żelazna rodzina zniszczenia.

Ruth uśmiechnęła się.

– Sądzę, że Meg się na nas wkurwiła, chłopcy – stwierdziła wesoło.

Meg nie odezwała się ani słowem.

– No cóż, i tak jej to niewiele pomoże, ale zabierzcie ten sprzęt, aby jej zbyt nie kusilo. Może jest na tyle głupia, by spróbować. Tak więc zabierzcie to i wychodząc, zamknijcie za sobą drzwi.

– Tak przy okazji, Meg – zakomunikowała – właśnie zjadłaś obiad i kolację. Spędziliśmy naprawdę udany dzień.

Odwróciła się i ruszyła do wyjścia.

Obserwowaliśmy ją jak wychodzi. Szła lekko chwiejnym krokiem. Zupełnie jakby była pod wpływem alkoholu, pomyślałem. Jednak wiedziałem, że tak nie było.

– Mam ją ponownie związać? – Woofier zapytał Williego.

– Spróbuj – powiedziała Meg.

Willie prychnął w odpowiedzi.

– To dobre, Meg – rzucił w jej kierunku. – Zgrywaj twardą. W każdej chwili możemy to zrobić i dobrze o tym wiesz. Susan jest tutaj, nie zapominaj.

Meg rzuciła na niego gniewne spojrzenie. Willie wzruszył ramionami.

– Może później, Woof – odparł Willie i poszedł zabrać siekiere i łopatę. Woofier wziął kilof oraz łom i wyszedł za nim.

Następnie dyskutowali, gdzie je położyć. Czasami zalewało piwnicę, więc istniało ryzyko, iż narzędzia zardzewieją. Woofier chciał je powiesić na belkach wspierających sufit. Donny zasugerował, by je przybić do ściany. Willie z kolei powiedział, by to pieprzyć i postawić je przy bojlerze, niech zardzewieją. Wygrał Donny i zaczęli szukać młotka i gwoździ w pamiętającej czasy drugiej wojny światowej, stojącej obok suszarki szafce Williego Seniora, która służyła teraz jako skrzynka na narzędzia.

Spojrzałem na Meg. Zbierałem w sobie siły, by to zrobić. Chyba spodziewałem się nienawiści z jej strony. Na wpół przestraszony i na wpół mający nadzieję, że to właśnie mnie spotka, ponieważ wtedy przynajmniej wiedziałbym, co do mnie czuje i co czuje względem reszty. Zdawałem sobie już sprawę, że gra na dwa fronty będzie ciężkim zadaniem. Nie

dostrzegłem w jej oczach jednak żadnej nienawiści. Były przepełnione spokojem. W pewnym sensie były neutralne.

– Możesz stąd uciec – powiedziałem łagodnie. – Może będę mógł ci pomóc.

Uśmiechnęła się, jednak nie był to słodki uśmiech.

– I co chciałbyś dostać w zamian, Davidzie? – zapytała. – Masz jakieś życzenia?

Przez krótką chwilę zabrzmiała trochę jak przybłęda, tak jak opisywała ją Ruth.

– Nic. Naprawdę – odpowiedziałem. Jednak tutaj mnie miała. Zaczerwieniłem się.

– Naprawdę, zupełnie nic?

– Szczerze. Naprawdę. Nic. To znaczy, nie wiem dokąd, ale przynajmniej mogłabyś stąd uciec.

Skinęła głową i spojrzała na Susan. Wtedy tembr jej głosu całkowicie się zmienił, był bardzo poważny, niesamowicie sensowny i ponownie bardzo dorosły.

– Ja bym mogła – wyszeptała. – Ale ona nie.

Nagle Susan ponownie wybuchła płaczem. Wstała, spoglądając przez krótką chwilę na Meg, następnie utykając, podeszła do niej i pocałowała ją w usta i w policzek, i ponownie w usta.

– Coś wymyślimy – powiedziała. – Meg? Coś poradzimy. W porządku?

– Okay – odpowiedziała Meg. – W porządku.

Spojrzała na mnie.

Przytuliły się do siebie, a następnie Susan podeszła do mnie i stojąc przy drzwiach, chwyciła mnie za rękę. Razem ponownie zamknęliśmy Meg w piwnicy.

Rozdział 31

Następnie, zupełnie jakby zaprzeczając mojej ofercie pomocy, trzymałem się z dala.

Zważywszy na okoliczności, było to najlepsze, co mogłem zrobić.

Nawiedzały mnie obrazy.

Meg śmiejąca się na diabelskim młynie, leżąca na skale przy rzece. Pracująca w ogrodzie w swoich szortach i w bluzce z odkrytymi plecami oraz w dużym słomianym kapeluszu na głowie. Meg biegnąca na boisku do bazy.

Jednak przede wszystkim naga, wyczerpana, bezbronna i otwarta na mnie.

Z drugiej jednak strony widziałem bijących ją Williego i Donny'ego.

Usta przyciśnięte do materaca, co uniemożliwiało jej przełknięcie kawałka tostu.

Obrazy były sprzeczne. Mąciły mi w głowie.

Rozmyślając, co zrobić, jeżeli w ogóle coś, z pomocą wymówki, jaką był deszczowy paskudny tydzień, który trzeba było przeczekać, trzymałem się od niej z daleka.

Donny'ego widziałem w tym tygodniu dwa razy. Reszty nie widziałem wcale.

Po raz pierwszy widziałem go, wynosząc śmieci, kiedy wybiegł w tę szarą popołudniową mżawkę na zewnątrz, z bluzą naciągniętą na głowę.

– Zgadnij, co się stało – powiedział. – Nie ma dzisiaj wody.

Padalo od trzech dni.

– Że co?

– Meg, kretynie. Ruth nie dała jej dzisiaj ani kropli wody. Aż do jutrzejszego poranka.

– Dlaczego?

Uśmiechnął się.

– Długo by gadać – odpowiedział. – Później ci o tym opowiem.

Następnie wbiegł z powrotem do domu.

Po raz drugi spotkałem go kilka dni później. Wypogodziło się, a ja wsiadałem właśnie na rower z zamiarem pojechania do sklepu, do którego wysłała mnie matka. Donny podjechał na podjazd swoim starym, rozwalającym się rowerem.

– Gdzie jedziesz?

– Do sklepu. Matka wysłała mnie po mleko i jakieś pierdoły. A ty?

– Do Eddiego. Przy wieży ciśnień będzie później mecz. Braves kontra Bucks. Mamy na ciebie poczekać?

– Nieee – ziewnąłem. To był mecz Małej Ligi, która mnie nie interesowała.

Donny potrząsnął głową.

– Muszę się stąd wyrwać – powiedział. – Świra od tego dostaję. Wiesz, co teraz muszę robić?

– Co?

– Wyrzucać jej gówno na tyłach ogródka! Dasz wiarę?

– Nie kapuję. Dlaczego?

– Nie wolno jej już w ogóle przebywać w domu, poza piwnicą. Nie może korzystać z toalety, wcale. Więc ta mała głupia cipa stara się to trzymać w sobie. Ale nawet ona musi przecież sikać i srać czasami. Teraz ja muszę, cholera, po niej sprzątać! Dasz wiarę? Dlaczego, kurwa, Woofier nie może tego zrobić? – wzruszył ramionami. – Mama mówi, że to zadanie dla jednego z nas, starszych chłopców.

– Dlaczego?

– Skąd, do cholery, mam to wiedzieć?

Odjechał.

– Hej, na pewno nie chcesz, żebyśmy na ciebie poczekali?! – zawołał już z daleka.

– Na pewno. Nie dzisiaj.

– Okay. Do zobaczyska. Przyjdiesz później?

– Okay, przyjdę.

Nie przyszedłem. Nie wtedy.

Wydawało mi się to takie obce. Nie potrafiłem nawet sobie jej wyobrazić, jak idzie do łazienki, jeszcze ciężiej przychodziło mi wyobrażenie, jak Meg korzysta z miski, którą później ktoś będzie musiał opróżnić na tyłach ogródka. Co, gdybym poszedł do nich, a oni nie posprzątałiby jeszcze po niej? Co, gdybym musiał wdychać zapach jej sików i gówna? To wszystko napawało mnie obrzydzeniem. Ona napawała mnie obrzydzeniem. To nie była Meg. To był ktoś obcy.

Kolejny dziwny obraz, który nie dawał mi spokoju. A cały problem polegał na tym, że nie miałem z kim o tym porozmawiać, nikogo, przy kim mógłbym to z siebie wyrzucić.

Gdybym opowiedział o tym dzieciakom z sąsiedztwa, to na pewno każde z nich miałoby jakiś pogląd na to, co się w tym domu działo. Niektóre poglądy byłyby mało konkretne, inne zaś całkiem dokładne. Jednak nikt z nich nie miał żadnego zdania na ten temat. Jak gdyby to, co się tam działo, było niczym burza, zachód słońca, jakaś siła natury, coś, co się po prostu czasami przytrafiało. Nie było więc żadnego sensu w rozmawianiu o przelotnym letnim deszczu.

Wiedziałem na tyle dużo, by być świadomym tego, że chłopiec, który ma problem, powinien pójść do swojego ojca.

Tak więc zaryzykowałem.

Skoro byłem już starszy, powinienem spędzić trochę czasu w Orlim Gnieździe, pomagając ojcu w restauracji, przy sprzątanii, noszeniu i takie tam, pracując przy grillu w kuchni ze skrobaczką i wodą sodową w ręku. Szorując grill, czekając, aż ostygnie, a woda sodowa rozpuści tłuszcz. Harówka, którą widziałem, jak Meg wykonuje tysiące razy. W końcu się odezwałem.

Ojciec przyrządzał sałatkę z krewetek, kruszył chleb, aby zwiększyć jej objętość.

Czekaliśmy na dostawę alkoholu i przez okno w ścianie działowej, pomiędzy barem a kuchnią widzieliśmy Hodiego, barmana z dziennej zmiany, jak sprawdza ilość kartonów z listą zamówienia i wyklóca się z dostawcą o kilka skrzynek wódki. To była markowa wódka i facet ewidentnie chciał go wykiwać. Hodie się wściekł. Był prawdziwym świrem z Georgii, obdarzonym na tyle wybuchowym temperamentem, aby zamknąć go w pace na pół wojny. Dostawca zaczął się pocić.

Mój ojciec był rozbawiony, przyglądając się całej tej sytuacji. Dla wszystkich za wyjątkiem Hodiego brakujące dwie skrzynki wódki nie stanowiły żadnego problemu. Przynajmniej tak długo, jak długo mój ojciec nie musiał płacić za coś, czego nie otrzymał. Być może jednak to przez złość Hodiego zebrałem się w sobie i odezwałem.

– Tato, czy kiedykolwiek widziałeś faceta bijącego dziewczynę?

Ojciec wzruszył ramionami.

– Oczywiście – odpowiedział. – Tak mi się wydaje. Dzieciaki. Pijaki. Kilku widziałem. Dlaczego pytasz?

– Sądzisz, że to jest... w porządku... że tak wolno?

– W porządku? Masz na myśli, czy coś to usprawiedliwia?

– Taa.

Roześmiał się.

– To ci dopiero trudne pytanie – powiedział. – Kobieta potrafi czasami naprawdę wkurzyć. Ogólnie rzecz ujmując, powiedziałbym, że nie. To znaczy, musisz sobie radzić z kobietą w inny sposób. Musisz uszanować fakt, że kobieta jest słabszą płcią. Inaczej jesteś łobuzem, rozumiesz?

Wytarł dłonie w fartuch. Następnie się uśmiechnął.

– Sęk w tym – tłumaczył – że kobiety nieraz zasłużyły i nadal zasługują na takie traktowanie. Kiedy pracujesz w barze, to widzisz takie rzeczy. Czasami kobieta za dużo wypije, staje się agresywna, głośna, może czasami nawet uderzy faceta, który jej towarzyszy. Więc co taki ma wtedy zrobić? Po prostu siedzieć spokojnie? To grzotnie ją raz. Wtedy musisz go od razu powstrzymać. – Uśmiechnął się. – Rozumiesz, to jest jak wyjątek, który potwierdza regułę. Nigdy nie wolno uderzyć kobiety, nigdy! Boże uchroni, jeżeli

kiedykolwiek cię na tym przyłapię! Ponieważ jeśli tak, to cienko z tobą. Jednak czasami nie ma innego wyboru. Zostałeś do tego zmuszony. Rozumiesz? To działa w obie strony.

Zacząłem się pocić. Zarówno z powodu rozmowy, jak i z powodu pracy przy grillu, jednak dzięki niej miałem dobrą wymówkę.

Ojciec wziął się za przyrządzanie sałatki z tuńczyka. W tej również znajdowały się okruchy chleba oraz marynata. W pokoju obok Hodie wyprowadzał dostawcę do samochodu w poszukiwaniu brakujących butelek wódki.

Starąłem się zrozumieć to, co powiedział mi ojciec. Nigdy nie wolno uderzyć kobiety, ale czasami nie ma się wyboru.

„Zostałeś do tego zmuszony”.

To zakotwiczyło w moim umyśle. Czy Meg w pewnym momencie zmusiła do tego Ruth swoim zachowaniem? Zrobiła coś, o czym nie wiedziałem?

Czy to była sytuacja typu „nigdy”, czy „czasami”?

– Dlaczego pytasz? – odezwał się mój ojciec.

– Bez powodu – odpowiedziałem. – Chłopaki po prostu o tym gadali.

Przytaknął głową.

– Najlepiej będzie, jak będziesz trzymał ręce przy sobie. Z dala od facetów i kobiet. Dzięki temu unikniesz kłopotów.

– Tak jest.

Nalałem trochę więcej wody sodowej na grill i przyglądałem się, jak zaskwierczała.

– Ludzie mówią że tata Eddiego bije panią Crocker. Biję także Denise i Eddiego.

Ojciec zmarszczył czoło.

– Tak, wiem o tym.

– Znaczą, że to prawda?

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Ale to prawda, tak?

Westchnął.

– Posłuchaj mnie – zaczął. – Nie mam pojęcia, dlaczego nagle zacząłeś się tym tak interesować, ale jesteś już wystarczająco duży, by wiedzieć, by zrozumieć chyba, że... to jest tak, jak ci powiedziałem. Czasami ktoś cię sprowokuje... Mężczyzna czuje się sprowokowany i robi to, o czym wie, że nie powinien był tego zrobić.

Ojciec miał rację. Byłem wystarczająco duży, by to zrozumieć. Zrozumiałem również podtekst jego wypowiedzi. Tak wyraźny, jak echo wściekłego Hodiego, wydzierającego się na dostawcę na zewnątrz.

Przez pewien czas i z jakiegoś powodu mój ojciec bił moją matkę.

Wtedy ledwo o tym pamiętałem. Budziłem się wyrwany z głębokiego snu. Odgłos łamanych mebli. Krzyki. Bicie.

To było dawno temu.

Poczułem nagły przyływ złości na niego. Spojrzałem na jego cielsko i pomyślałem o mojej matce. I wtedy poczułem, jak powoli ogarnia mnie chłód, uczucie izolacji oraz bezpieczeństwa.

Zrozumiałem, że to z mamą powinienem o tym wszystkim porozmawiać. Ona będzie wiedziała, jakie to uczucie, co ono oznaczało.

Ale wówczas nie mogłem tego zrobić. Nawet gdyby wtedy tam była. Nawet nie próbowałem.

Przyglądałem się, jak ojciec kończył przyrządzać sałatki i ponownie wycierał ręce w biały bawełniany fartuch. Na jego temat często żartowaliśmy, że został przeklęty przez sanepid. Następnie zaczął kroić salami elektryczną maszynką do mięsa, którą właśnie zakupił, i z której był tak bardzo dumny. Ja dalej szorowałem grill z tłuszczu, dopóki nie zaczął błyszczeć.

I żaden z problemów nie został rozwiązany.

Wkrótce potem ponownie poszedłem do Meg.

Rozdział 32

Wróciłem tam z jednego powodu. Wciąż powracającego do mnie, obrazu ciała Meg.

Wywoływał on we mnie tysiące fantazji, zarówno w dzień, jak i w nocy. Niektóre z nich były subtelne, inne gwałtowne, niektóre niedorzeczne.

Leżałem w nocy w łóżku z radiem tranzystorowym schowanym pod poduszką słuchając „At the Hop” zespołu Danny and the Juniors. Zamykałem oczy i wyobrażałem sobie swingującą Meg wraz z jakimś niewidzialnym partnerem. Była jedyną dziewczyną na zabawie, która tańczyła ubrana wyłącznie w białe skarpetki zwinięte do kostek. Zadowolona ze swojej nagości, zupełnie jakby dopiero co zakupiła nowe szaty króla.

Śniłem również, że graliśmy w Monopol, siedząc naprzeciwko siebie, a ja właśnie postawiłem hotel lub jakąś posiadłość. Meg wstała, westchnęła i ściągnęła z siebie swoje cienkie, białe, bawełniane majteczki.

Jednak najczęściej w radiu grali „Twilight Time” The Platters, a ja trzymałem nagą Meg w ramionach i całowaliśmy się w niebieskawej poświacie gwiazd.

Albo graliśmy w naszą Grę. I nie było w tym nic zabawnego.

Czułem się spięty i poddenerwowany.

Czułem, że muszę tam pójść. Zupełnie jakbym się obawiał tego, co mogę tam zastać. Nawet moja matka to zauważyła. Widziałem, jak mi się przygląda. Sama nie odezwała się ani słowem. Widać było, że się zastanawia, co się ze mną dzieje, ilekroć zdarzyło mi się odskoczyć od stołu, rozlewając wodę, albo kiedy chwiejnym krokiem szedłem do kuchni po colę.

Być może to był właśnie jeden z powodów, dla których nigdy z nią na ten temat nie rozmawiałem. Albo dlatego, że była moją matką i kobietą.

Jednak poszedłem.

I wtedy znowu wszystko się zmieniło.

Wchodząc, pierwszą rzeczą jaką wychwyciłem uchem, był kaszel Ruth, następnie usłyszałem, jak odzywa się cicho i dotarło do mnie, że musiała rozmawiać z Meg. Mówiła tonem, którym nigdy w życiu nie zwróciłaby się do żadnego z nas. Głosem nauczycielki przemawiającej do małej dziewczynki, wydającej jej polecenia.

Zszedłem schodami do piwnicy.

W schronie zamontowali oświetlenie, ciągnąc kabel od gniazdka nad pralką wieszając go na haku na jednej z poprzecznych belek Williego Seniora. Żarówka z drucianą osłoną smętnie zwisała, jaskrawo rozświetlając pomieszczenie.

Ruth siedziała na składanym krześle, które było częścią zestawu mebli do gry w karty, który trzymano na dole. Siedziała plecami do mnie, paląc papierosa. Żarzące się pety rozświetlały podłogę piwnicy, co sugerowało, iż siedziała tam od dłuższej chwili.

Chłopaków nie było nigdzie w pobliżu.

Meg stała naprzeciwko niej w żółtej sukience z falbankami, której byś się po niej w ogóle spodziewał. Wydawało mi się, że to była stara sukienka Ruth, można było zauważyć, że nie była zbyt czysta. Miała krótkie puszyste rękawy oraz plisowaną spódnicę, tak że ramiona i nogi dziewczyny były odkryte.

Ruth miała na sobie niebiesko-zieloną wersję czegoś podobnego, jednak z bardziej gładkiego materiału, z mniejszą ilością falbanek i ozdóbek.

Oprócz dymu tytoniowego, moje nozdrza podrażniły również zapachy kamfory i kulek naftalinowych na mole.

Ruth nadal przemawiała.

Z początku można było odnieść wrażenie, że są siostrami, mniej więcej tego samego wzrostu, chociaż Ruth była wyższa i chudsza od Meg. Obie z lekko przetłuszczonymi włosami, obie ubrane w te stare, śmierdzące sukienki, zupełnie jakby przymierzały kreacje przed wyjściem na zabawę.

Z tym wyjątkiem, że Ruth po prostu siedziała i paliła papierosa.

Meg natomiast stała z rękoma mocno przywiązanymi za plecami do jednego z czterech wspierających pali Williego Seniora i z równie mocno spętanymi nogami.

Miała knebel na ustach, jednak nie miała przewiązanych oczu.

– Kiedy byłam dziewczynką taką jak ty – mówiła Ruth – poszukiwałam Boga. Szukałam go w każdym kościele w mieście. Byłam w kościele baptystów, luteranów, kościele episkopalnym i kościele metodystów. Wszędzie. Poszłam nawet na nowennę do Saint Maties, usiadłam na balkonie, gdzie znajdowały się organy. To było, zanim się dowiedziałam, czym są kobiety. A wiesz, kto mi o tym powiedział, Meg? Moja mama. Oczywiście, że nie zdawała sobie sprawy z tego, że udzielała mi lekcji, nie w sposób, w jaki ja daję lekcję tobie. Chodziło o to, co zobaczyłam. Chcę więc, abyś wiedziała i rozumiała, że moi rodzice dali mi wszystko, wszystko, czego mogła zapragnąć dziewczynka. To właśnie od nich dostałam. Oczywiście za wyjątkiem studiów, ale dziewczęta w tamtym czasie i tak na ogół nie studiowały. Jednak mój tato, Panie świeć nad jego duszą ciężko pracował, by utrzymać rodzinę, a mama i ja miałyśmy wszystko. Nie to co Willie.

Odpaliła kolejnego papierosa od tego już gasnącego i rzuciła peta na podłogę. Sądziłem, że nie wiedziała o mojej obecności lub też nie zwracała na mnie uwagi, ponieważ nawet kiedy Meg patrzyła wprost na mnie z dziwnym wyrazem twarzy i pomimo iż na pewno było mnie

słysząc, kiedy schodziłem po tych starych, skrzypiących schodach, Ruth nie odwróciła się ani nie przestała mówić, nawet gdy odpalała papierosa.

– Jednak mój tato pił zupełnie jak Willie – powiedziała. – Słyszałam go. Słyszałam, jak wracał w nocy prosto do łóżka i dosiadał moją matkę niczym kobyłę. Słyszałam, jak stękali i sapali na górze, słyszałam krzyki matki „nie, nie, nie” oraz dziwny odgłos plaśnięcia od czasu do czasu, co również przypomina mi Williego. My, kobiety, powtarzamy te same błędy co nasze matki, zawsze ulegając mężczyznom. Ja również byłam słaba i teraz już wiesz, skąd się wzięli ci wszyscy chłopcy, z którymi zostawił mnie na lodzie. Nie mogę pracować jak kiedyś, w czasie wojny. Teraz mężczyźni dostają każdą pracę, a ja muszę opiekować się dziećmi.

Poprawiła się na krześle. Jej ramiona zafalowały.

– Tak, Willie przysyła czekci, ale to nie wystarcza. Wiesz o tym. Zauważyłaś to. Twoje czekci zresztą też nie na wiele się zdają. Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię? Jesteś przeklęta i to nie z powodu twojego okresu. Jesteś w jeszcze gorszej sytuacji, niż ja kiedykolwiek byłam. Wyczuwam to w tobie, Meggy! Zrobisz dokładnie to samo co moja matka i ja, z jakimś irlandzkim dupkiem, który spuści ci łomot, zerżnie cię, sprawi, że ci się to spodoba. Sprawia, że to pokochasz, a później bum! I tyle go widziałas.

– To przez cipkę. O to chodzi. Przez twoją ciepłą moką cipkę. To jest twoje Przekleństwo, rozumiesz? Przekleństwo Ewy. To słabość. Tutaj nas mają. Mówię ci. Kobieta jest niczym więcej jak tylko dziwką i zwierzęciem. Musisz to sobie uświadomić, musisz to zapamiętać. Po prostu wykorzystywana, rżnięta i ukarana. Jest niczym więcej, jak głupią żalną dziwką z dziurą i zawsze tylko tym będzie. Jedyne co mogę dla ciebie zrobić, właśnie robię. Mogę spróbować jakoś to z ciebie wypalić.

Ruth zapaliła zapalną.

– Rozumiesz?

Rzuciła zapalną wprost w żółtą sukienkę Meg. Zapalną zgasła dotykając materiału i upadła na podłogę, dymiąc. Odpaliła kolejną.

– Rozumiesz?

Nachyliła się tym razem bardziej do przodu i rzuciła ponownie, a zapalną, gdy dotknęła sukienki nadal płonęła. Wpadła pomiędzy fałdy materiału. Meg zaczęła się jednak wic i zrzuciła ją z siebie.

– Taka silna zdrowa dziewczyna jak ty. Wydaje ci się, że tak ładnie i świeżo pachniesz. Dla mnie śmierdzisz spalenizną. Jak napalona pizza. Jesteś przeklęta i słaba. Oj, jesteś Meggy.

Na jej sukience, w miejscu, w które wcześniej uderzyła zapalną, znajdowała się teraz mała czarna plamka. Meg patrzyła na mnie, wydając odgłosy przez zakneblowane usta.

Ruth upuściła papierosa i przesunęła nogę, by go rozgnieść.

Wstała z krzesła, pochyliła się w dół i odpaliła kolejną zapalną. Pomieszczenie nagle wypełniło się siarką.

Przyłożyła zapalną do rąbka jej sukienki.

– Rozumiesz? Myślę, że byłabyś mi wdzięczna.

Meg wiała się, walczyła mocno z więzami. Rąbek sukienki zwęglił się, ale nie zapalił. Zapalka płonęła powoli. Ruth potrząsnęła ręką i upuściła ją.

Następnie zapaliła kolejną.

Trzymała ją nisko przy końcu sukienki, w tym samym miejscu, które już przypaliła wcześniej. Wyglądała jak jakiś szalony naukowiec przeprowadzający eksperyment w filmie.

Przypalony materiał przypominał mi zapach prasowania.

Meg wiała się. Ruth wzięła do ręki jej sukienkę i przystawiła do niej nową zapalną, dopóki ta nie zaczęła płonąć. Potem upuściła ją na nogę Meg.

Widziałem, jak cienkie pasmo płomienia pełźnie w górę.

Rozprzestrzenia się.

Zupełnie jak Woofers ze swoimi żołnierzami, które wrzucał do pieca. Z tym wyjątkiem, że to się działo naprawdę.

Stłumione wycie Meg było tego dowodem.

Płomień rozprzestrzenił się już do połowy jej uda.

Ruszyłem, by ugasić płomień własnymi rękami. Wtedy Ruth sięgnęła ręką po cokolwiek stojącą na podłodze i oblała nią Meg.

Spojrzała na mnie, śmiejąc się.

Oczy Meg wyrażały ulgę.

Zapewne wyglądałem na mocno wystraszonego, ponieważ Ruth ciągle się śmiała. Zdałem sobie sprawę, że musiała być świadoma tego, że stałem za nią przez cały ten czas. Jednak to jej nie obchodziło. To, że podsłuchiwałem nie miało dla niej żadnego znaczenia. Nic nie miało znaczenia, poza skupieniem się na lekcji, której udzielała Meg. W jej oczach było coś, czego nigdy wcześniej nie dostrzegłem.

Od tamtej chwili widziałem to jeszcze parę razy.

Zbyt często.

W oczach mojej pierwszej żony, po jej drugim załamaniu nerwowym. W oczach niektórych z jej towarzyszy w „domu opieki”. Jeden z nich, tak mi powiedziano, zamordował swoją żonę i dziecko nożycami ogrodowymi.

W tych oczach była zimna, surowa pustka, w której brak miejsca na śmiech. Nie ma współczucia ani litości. Jest skrajna, depresyjna dzikość. Zupełnie jak oczy polującego zwierzęcia.

Jak oczy węża.

Taka była Ruth.

– Jak sądzisz? – zapytała. – Myślisz, że posłucha?

– Nie wiem – odpowiedziałem.

- Chcesz pograć w karty?
- Karty?
- W remika czy cokolwiek innego.
- Czemu nie.

Wszystko, pomyślałem. Wszystko, co zechcesz.

– Dopóki chłopcy nie wrócą do domu – powiedziała. Poszliśmy na górę i zagraliśmy. Przez ten czas nie zamieniliśmy chyba nawet dziesięciu słów.

Wypiłem mnóstwo coli, a Ruth odpalała papierosa od papierosa.

Wygrała.

Rozdział 33

Okazało się, że Donny, Willie i Woofery byli w kinie na popołudniowym seansie „*Jak stworzyć potwora*”. Normalnie bym się wkurzył, ponieważ kilka miesięcy wcześniej oglądaliśmy poprzednie części, „*Nastoletni Wilkołak*” oraz „*Nastoletni Frankenstein*”, w których pojawiały się te same potwory, a oni powinni na mnie zaczekać lub przynajmniej mi o tym powiedzieć. Stwierdzili, że film nie był jednak tak dobry jak dwie poprzednie części, a ja ciągle rozmyślałem o tym, co zobaczyłem na dole. Kiedy skończyliśmy grać, ponownie powrócił temat Meg.

– Ona śmierdzi – powiedział Woofery. – Jest brudna. Powinniśmy ją wykapać.

Nie wyczułem żadnego smrodu.

Tylko zapach kamfory, papierosów i siarki.

Jeżeli już, to właśnie Woofery unikał mydła.

– Dobry pomysł – podchwycił Donny. – Dawno się nie myła. Założę się, że bardzo by tego chciała.

– A kogo obchodzi, czego ona chce? – zaśmiał się Willie.

Ruth tylko się przysłuchiwała.

– Musielibyśmy pozwolić jej wejść na górę – powiedział Donny. – Może spróbować ucieczki.

– Bez jaj. A gdzie miałyby uciec? – powiedział Woofery. – Niby dokąd? Możemy ją przecież związać.

– To jest jakiś pomysł.

– Możemy też zabrać Susan.

– Niby tak.

– Gdzie ona teraz jest?

– Susan jest w swoim pokoju – wtrąciła się Ruth. – Myślę, że się przede mną chowa.

– Raczej nie – stwierdził Donny. – Na okrągło czyta.

– Chowa się przede mną. Ona się przede mną chowa.

Ruth nadal miała ten dziwny wyraz oczu, co zauważyłem nie tylko ja, ale dostrzegła to teraz i reszta chłopaków. Nikt więcej nie ważył się jej zaprzeczyć.

– Co ty na to, mamó? – zapytał Woofery. – Możemy?

Skończyliśmy grać w karty, jednak Ruth nadal tasowała talię. W końcu przytaknęła.

– Chyba by się jej to przydało – powiedziała przygnębiona.

– Będziemy musieli ją rozebrać – stwierdził Willie.

– Ja to zrobię – powiedziała Ruth. – Pamiętajcie, chłopcy.

– Taa – odparł Woofler. – Pamiętajmy. Żadnego dotykania.

– Zgadza się.

Spojrzałem na Williego i Donny'ego. Willie był wkurzony. Trzymał ręce w kieszeniach. Garbiąc się, przestępował z nogi na nogę.

Co za przygłup, pomyślałem.

Donny wyglądał na zamyślonego, niczym dorosły, który ma cel i zadanie do wykonania, i właśnie rozważa najlepszy i najskuteczniejszy sposób, w jaki można się do tego zabrać.

Woofler uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze! – powiedział. – Bierzmy się za nią!

Zeszliśmy na dół, Ruth podążyła za nami.

Donny uwolnił Meg z więzów, najpierw nogi, następnie ręce. Dał jej chwilę na rozmasowanie nadgarstków i ponownie związał je z przodu. Wyjął knebel z jej ust i schował go do kieszeni.

Nikt z nas nie wspomniał o plamach po coli na jej sukience, które od razu rzucały się w oczy.

Oblizła usta.

– Pić – poprosiła.

– Za chwilę – powiedział Donny. – Idziemy na górę.

– My?

– Tak.

Nie pytała dlaczego.

Trzymając za sznur, Donny zaprowadził ją na górę. Woofler szedł przed nim, a Willie i ja tuż za nim. Ruth i tym razem szła na samym końcu.

Wyczuwałem jej obecność za naszymi plecami. Coś było z nią nie tak, byłem tego pewien. Wyglądała na zmęczoną zamyśloną całkiem nieobecna. Jej kroki na schodach wydawały się lżejsze od naszych, lżejsze niż powinny być. Niemal jak szept. Jakby poruszanie się sprawiało jej trudność, jakby przytyła z dziesięć kilo. Wtedy nie wiedziałem zbyt wiele na temat problemów ze zdrowiem psychicznym, wiedziałem natomiast, że to, co u niej spostrzegłem, nie było całkowicie zdrowym zachowaniem. Zaniepokoiła mnie.

Gdy weszliśmy na górę, Donny posadził Meg przy stole w jadalni i podał jej szklanekę wody z kranu.

Zlew był pierwszą rzeczą którą zauważyłem. Wewnątrz znajdowała się sterta brudnych naczyń, która czekała na mycie, co najmniej od kilku dni.

Inne rzeczy również przykuły moją uwagę.

Nie byłem dzieckiem, które zwraca uwagę na kurz. No bo które dziecko to obchodzi? Jednak zauważyłem, jak brudne i zakurzone było to miejsce. Najbardziej było to widać na stole w salonie tuż za mną gdzie można było dostrzec ślady po rękach na całej powierzchni mebla. Na stole przed Meg wały się okruchy chleba. Popielniczka obok niej wyglądała, jakby nie była opróżniana od lat. Dostrzegłem również dwie zapalki leżące na wysłużonym dywaniku, a tuż obok nich zwitek papieru, który wyglądał jak zmięte opakowanie po papierosach, które ktoś beztrąsko tam wyrzucił.

Ogarnęło mnie dziwne uczucie, że coś dobiega końca, że się powoli rozpada.

Meg wypła wodę i poprosiła o jeszcze jedną szklanę.

– Proszę – nalegała.

– Nie martw się – powiedział Willie. – Dostaniesz wody.

Zdziwienie pojawiło się na twarzy Meg.

– Wykąpiemy cię – dodał.

– Co?

– Chłopcy pomyśleli, że przydałby ci się prysznic – powiedziała Ruth. – Chciałabyś tego, czyż nie?

Meg wahała się. Widać było po niej dlaczego. Nie tak określił to Willie. On powiedział, że „ją wykąpiemy”.

– Ta... tak – odpowiedziała.

– To bardzo miło z ich strony – powiedziała Ruth. – Cieszę się, że i ty się cieszysz.

Zupełnie jakby mówiła sama do siebie, niemal mamrotała. Spojrzeliśmy z Donnym na siebie. Widziałem po nim, że trochę się denerwował z jej powodu.

– Napiałabym się piwa – powiedziała Ruth.

Wstała i poszła do kuchni.

– Ktoś ma ochotę się przyłączyć?

Nikt nie miał ochoty, co samo w sobie było dosyć dziwne. Otworzyła lodówkę, spojrzała na jej zawartość, po czym ją zamknęła.

– Nie ma ani jednego – stwierdziła, powłócząc nogami w stronę jadalni. – Dlaczego nikt nie kupił piwa.

– Mamo – odezwał się Donny. – Nam nie wolno, jesteśmy dziećmi. Nie pozwalają nam kupować piwa.

Ruth zachichotała.

– Oczywiście – powiedziała.

Następnie ponownie się odwróciła.

– W takim razie napiję się szkoockiej.

Sięgnęła ręką do szafki i wyjęła butelkę. Wróciła do jadalni, podniosła szklanę, z której piła Meg i wypełniła ją do połowy.

– Robimy to czy nie? – zapytał Willie.

Ruth opróżniła zawartość szklanki.

– Oczywiście, że robimy – odpowiedziała.

Meg spoglądała na każdego z nas z osobna.

– Nie rozumiem – odezwała się. – Co robimy? Sądziłam, że to ja miałam... że pozwolicie mi się wykapać.

– Wykąpiesz się – potwierdził Donny.

– Jednak musimy cię doglądać – sprecyzowała Ruth. Wypiła kolejną porcję alkoholu, który wzbudził nagły płomień w jej oczach. – Musimy upewnić się, że będziesz czysta.

Wtedy Meg zrozumiała.

– Nie chcę – zaczęła się bronić.

– Nie ma znaczenia, czego ty chcesz – powiedział Willie. – Liczy się to, czego my chcemy.

– Śmierdzisz – odezwał się Wofer. – Musisz się wykapać.

– To już zresztą postanowione – skwitował Donny.

Meg spojrzała na Ruth, która nachyliła się nad szklanką przyglądając się jej niczym stary, zmęczony sęp.

– Pozwólcie mi... na... odrobinę... prywatności.

Ruth zaśmiała się.

– Sądziłam, że miałaś już dosyć prywatności, będąc sama tam na dole.

– Nie to miałam na myśli. Chodzi mi o...

– Wiem, o co ci chodzi. A odpowiedź brzmi, że nie możemy ci zaufać. Wejdiesz do środka, ochlapiesz się trochę wodą ale to nie sprawi, że będziesz czysta.

– Nie, naprawdę, przysięgam, że nie. Zabiłabym za kąpiel.

Ruth wzruszyła ramionami.

– W takim razie, nie ma sprawy i nie ma potrzeby nikogo zabijać.

– Proszę.

Ruth machnęła na nią ręką.

– Ściągaj tę kieckę, zanim doprowadzisz mnie do szału!

Meg spojrzała na każdego z nas i westchnęła. Jak sądzę uznała, że nadzorowana kąpiel jest lepsza niż żadna.

– Moje ręce – odparła.

– Tak – powiedziała Ruth. – Rozwiąż ją Donny. Rozepnij jej sukienkę, a później rozwiąż jej ręce.

– Ja?

– Tak.

Też byłem nieco zdziwiony. Prawdopodobnie Ruth postanowiła odstąpić od zasady niedotykania.

Meg i Donny wstali. Chłopak odpiął sukienkę do połowy jej pleców. Rozwiązał jej rękę. Następnie stanął ponownie za nią, by zdjąć sukienkę z jej ramion.

– Czy mogę przynajmniej prosić o ręcznik?

Ruth uśmiechnęła się chytrze.

– Jeszcze się nie zmoczyłaś – odpowiedziała. Skinęła głową na Donny'ego.

Meg zamknęła oczy, stała sztywno i nieruchomo, kiedy Donny chwycił za rękawy z falbankami i ściągnął je z jej ramion. Obnażył piersi, biodra i uda. Rzucił sukienkę u jej stóp. Meg zrobiła krok, wychodząc z niej. Oczy miała nadal zamknięte, zupełnie jakby sądziła, że nie widząc nas, my nie widzimy jej.

– Zwiąż ją ponownie – odezwała się Ruth.

W tym momencie zorientowałem się, że zupełnie wstrzymałem oddech.

Donny stanął naprzeciw niej. Wyciągnęła złączone dłonie przed siebie i on zaczął je wiązać.

– Nie – sprostowała Ruth. – Tym razem masz jej związać ręce z tyłu.

Meg otworzyła oczy.

– Z tyłu!? Jak mam się umyć z...?

Ruth wstała.

– Psia krew! Nie pyskuj, dziewucho! Kiedy mówię z tyłu, to znaczy, że ma być z tyłu, a jeśli powiem, że masz je sobie wsadzić do dupy, to też tak zrobisz! Nie pyskuj! Rozumiesz? Niech cię szlag, kurwa! Ja cię umyję, skoro nie wiesz jak! A teraz rób co mówię i to szybko!

Widać było, że Meg się bała. Jednak nie stawiała oporu, kiedy Donny wygiął jej rękę do tyłu i związał je w nadgarstkach. Ponownie zamknęła oczy. Z tym że teraz, zbierały się w nich łzy.

– A teraz zaprowadź ją do środka – powiedziała Ruth.

Donny poprowadził Meg przez wąski przedpokój do łazienki. Poszliśmy za nim. Łazienka była niewielka, jednak wszyscy zmieściliśmy się w środku. Woofier usiadł na koszu z brudną bielizną Willie oparł się o umywalkę, a ja stanąłem obok niego. W przedpokoju, naprzeciwko łazienki, znajdował się schowek, w którym Ruth zaczęła grzebać. Szukała czegoś. Po chwili przyszła, trzymając parę żółtych, gumowych rękawic.

Założyła je. Sięgały prawie do łokci.

Pochyliła się i odkręciła kurek z wodą.

Kurek z czerwoną kropką oznaczającą gorącą wodę.

Tylko ten.

Czekała przez chwilę, aż wanna się napełni.

Sprawdziła temperaturę dłonią pozwalając, by woda ściekała po rękawicy.

Jej usta tworzyły ponurą prostą linię.

Wrząca woda nadal leciała, buchając parą uderzając w odpływ. Następnie przełączyła kurek na prysznic i zaciągnęła zasłonę.

Łazienka zapełniła się parą.

Oczy Meg były nadal zamknięte. Łzy spływały po jej policzkach.

Para wodna zamieniła się w gęstą mgłę.

Nagle Meg to poczuła. I wiedziała, co to oznacza.

Otworzyła oczy i cofnęła się przerażona. Zaczęła krzyczeć. Donny chwycił ją za jedną rękę, a Ruth trzymała za drugą Meg stawiała opór, szarpała się i wyrwała, krzycząc „nie, nie”. Była silna. Nadal była silna.

Wyrwała się z uchwytu Ruth.

– Do kurwy nędzy! – wrzasnęła Ruth. – Mam tu sprowadzić twoją siostrzyczkę? Mam iść po twoją ukochaną Susan? Chcesz, żeby to ona się tutaj znalazła zamiast ciebie? Chcesz, żeby płonęła?

Meg odwróciła się gwałtownie w jej stronę. Była wściekła. Była dzika. Szalona.

– Tak! – krzyczała. – Tak! Ty suko! Idź po Susan! Idź po nią! Już mi na tym, kurwa, nie zależy!

Ruth spojrzała na nią, zmrużyła oczy. Następnie spojrzała na Williego. Wzruszyła ramionami.

– Idź po nią – powiedziała łagodnie.

Nie musiał tego robić.

Odwróciłem się, kiedy mnie mijał i zobaczyłem, jak Willie się zatrzymuje, ponieważ Susan już tam była. Obserwowała nas, stojąc w przedpokoju. Ona również płakała.

Meg ją dostrzegła.

Straciła wówczas resztki sił.

– Niiieeeee – płakała. – Niiieeeee. Błaaaaagam...

Przez chwilę staliśmy w ciszy, w cieplej, ciężkiej mgłę, przysłuchując się parzącemu strumieniowi wody i jej łkaniu. Wiedzieliśmy, co się stanie. Wiedzieliśmy, jak to się skończy.

Ruth odciągnęła zasłonę prysznicza.

– Wsadź ją do środka – powiedziała do Donny’ego. – Tylko się pilnuj.

Przyglądałem się, jak wsadzają Meg do wanny i jak Ruth reguluje baterię prysznicza, tak by gorąca woda wylatywała na jej nogi, uda i brzuch, a w końcu na jej piersi, roztrzaskując się gorącym strumieniem o jej sutki. Dziewczyna wierzgała rozpaczliwie związanymi za plecami rękoma, próbując się uwolnić. W każdym miejscu smaganym przez parzące bicze jej skóra przybierała nagły czerwony kolor. Czerwony. Kolor bólu.

W końcu nie byłem w stanie dłużej wytrzymać jej krzyków.

Wybiegłem.

V

Rozdział 34

Ten jeden raz.

Nigdy później nie uciekłem.

Po tym dniu byłem uzależniony, a moim narkotykiem było pragnienie. A właściwe żądza poznania granicy tego, co dozwolone. Jak daleko mogą się posunąć. Pragnienie wiedzy, czy posuną się dalej.

To zawsze byli oni. Ja trzymałem się z dala, a przynajmniej tak mi się wydawało. Z jednej strony z dala od Meg i Susan, z drugiej natomiast z dala od Chandlerów. W niczym bezpośrednio nie brałem udziału. Obserwowałem. Nigdy nie dotykałem. To wszystko. Tak długo jak trzymałem się tej myśli, tak długo wydawało mi się, że byłem, jeśli nie całkowicie bez winy, to przynajmniej nie całkowicie winny.

To było jak oglądanie filmu w kinie. Czasami był to przerażający film, podczas którego odczuwasz niepokój czy główny bohater i bohaterka przeżyją. Jednak to tylko film. Po skończonym seansie wstajesz odpowiednio wystraszony i podekscytowany, wychodzisz z ciemności i zostawiasz ją za sobą.

Czasami jednak czułem się, jakbym oglądał filmy, które wyświetlali później w latach sześćdziesiątych. Głównie obrazy zagraniczne, w których przeważającym uczuciem była pewna fascynująca, hipnotyczna gęstość niewyraźnej iluzji, złożonej z kolejnych warstw znaczeń, które na końcu wskazywały całkowity brak znaczenia. Aktorzy ze sztucznymi twarzami przemierzali się biernie przez surrealistyczny koszmar krajobrazów, zatraconych i wyzbytych z emocji.

Jak ja.

Oczywiście nie tylko oglądaliśmy te obrazy, lecz również tworzyliśmy ich scenariusze i reżyserowaliśmy je. Tak więc nieuniknionym było poszerzenie obsady filmu.

Również nieuniknione wydawało się to, że to Eddie Crocker miał być pierwszym, który weźmie udział w castingu.

Był pogodny, słoneczny poranek pod koniec lipca, trzeci tydzień niewoli Meg, kiedy po raz pierwszy poszedłem do nich i zastałem go tam.

Kilka dni po wydarzeniach w łazience pozwolili jej zostać w ubraniu. Miała pęcherze i chcieli, aby się zagoiły. Traktowali ją całkiem dobrze, karmili zupą oraz kanapkami, dawali jej wody, kiedy tylko chciała. Ruth zaścieliła nawet materac i pozamiatała niedopałki papierosów z podłogi. Trudno było stwierdzić, czy Willie bardziej narzekał na ostatni ból zęba, czy na to jak bardzo się nudził w tej sytuacji.

Z pomocą Eddiego miało się to się zmienić.

Meg miała na sobie ubranie, parę wyblakłych jeansów i bluzkę. Jednak ponownie ją związali i wsadzili knebel w usta. Leżała brzuchem na stole, z obiema rękami przywiązanymi do jednej z nóg, z mocno skrępowanymi nogami na podłodze.

Eddie dostał kolejnego ataku szału i bij ją po tyłku.

Przestał na chwilę, a Willie zaczął smagać jej plecy i nogi skórzanym pasem. Bili ją mocno. Zwłaszcza Eddie.

Woofery i Donny stali i się przyglądali.

Ja również. Jednak tylko przez chwilę.

Nie podobało mi się to.

Eddie za bardzo się wczuwał.

Zbyt dobrze zapamiętałem go, idącego tamtego dnia ulicą z uśmiechem wymalowanym na twarzy od ucha do ucha, z węzłem między zębami, którym rzucał w nas na okrągło, dopóki zwierz nie zdechł na ulicy.

Eddie był dzieciakiem, który z łatwością odgryzłby z Ciebie głowę.

Był dzieciakiem, który uderzyłby Cię kamieniem w głowę albo przywaliłby Ci kijem w jaja w jednej chwili bez powodu.

Eddie był maniakiem.

Tego dnia było gorąco i pot spływał z niego litrami, ściekał z jego przystrzyżonych na jeża, rudych włosów, wprost na czoło. Jak zwykle nie miał na sobie koszulki, tak więc oczom naszym ukazała się jego wspaniała sylwetka, a nozdrza spowił zapach spoconego ciała.

Śmierdział lepkim, słodko słonym zapachem starego, zepsutego mięsa.

Wszedłem.

Poszedłem na górę.

Susan układała puzzle na kuchennym stole, na którym stała w połowie pełna szklanka mleka.

Telewizor, choć raz, był wyłączony. Słysząc było bicie i śmiech dobiegające z dołu.

Zapytałem ją o Ruth.

Ruth, jak powiedziała Susan, odpoczywała w sypialni. To przez jej bóle głowy. Ostatnio często jej dokuczały.

Siedzieliśmy więc w milczeniu. Z lodówki wyjąłem sobie budweisera. Układanie puzzli wychodziło jej całkiem sprawnie, ukończyła już więcej niż połowę. Obrazem z układanki byli „Handlarze futer na Missouri”, autorstwa George’a Caleba Bingham, który przedstawiał

ponurego, sękatego, starego mężczyznę w zabawnej spiczastej czapie oraz rozmarzonego młodzieńca w łodzi, wiosłujących w dół rzeki o zachodzie słońca, oraz czarnego siedzącego kota, przywiązanego do dziobu łodzi. Susan ułożyła już krawędzie, kota, łódź oraz większą część mężczyzny i młodzieńca. Do ukończenia pozostało jej jedynie niebo, rzeka oraz kilka drzew.

Pociągając piwo, przyglądałem się jej, jak dopasowuje element drzewa.

– Jak się masz? – zapytałem.

– W porządku – odpowiedziała, nie podnosząc głowy.

Usłyszałem śmiech dochodzący ze schronu.

Przyłożyła kolejny element. Nie pasował.

– To ci przeszkadza? – zapytałem. – Chodzi mi o odgłosy.

– Tak – odparła.

Jednak nie brzmiało to wcale, jakby jej to przeszkadzało. Po prostu stwierdziła fakt.

– Bardzo?

– Uhm.

Skinałem głową. Nie wiedziałem, co jeszcze mógłbym powiedzieć. Przyglądałem się jej i piłem piwo. Wkrótce skończyła układać młodzieńca i zabrała się za drzewa.

– Nie mogę sprawić, by przestali.

– Wiem o tym.

– Eddie tu jest. Wyłącznie z jednego powodu.

– Wiem o tym.

Skończyłem piwo.

– Powstrzymałbym ich, gdybym tylko mógł – powiedziałem. Zastanawiałem się, czy to była prawda. Ona również.

– Tak? – powiedziała.

Po raz pierwszy podniosła wzrok i spojrzała na mnie swoim bardzo dojrzałym, zadumany wzrokiem.

– Oczywiście, że tak.

Z zachmurzoną twarzą powróciła do układania puzzli.

– Może się zmęczą – stwierdziłem, uświadamiając sobie od razu, jak fatalnie to zabrzmiało. Susan nic nie odpowiedziała.

Jednak chwilę później odgłosy ucichły i usłyszałem kroki na schodach.

Należały do Eddiego i Williego. Obaj zgrzani, z rozpiętymi koszulami. Spocony brzuch Williego wylewał się na zewnątrz spodni. Nie zwracając na nas uwagi, podeszli do lodówki. Przyglądałem się, jak Willie otwiera colę, a Eddie budweisera oraz jak penetrowali lodówkę w poszukiwaniu jedzenia. Najwyraźniej nic w niej nie znaleźli.

– Musisz się bardziej przyłożyć – mówił Eddie. – Ona nie będzie płakać. Nie jest beksą.

Jeżeli ja czułem się od tego wszystkiego całkowicie odseparowany, to Eddie wręcz przeciwnie. Jego głos był jak lód. Chociaż to Willie był gruby i brzydki, jednak to Eddie był tym, który mnie obrzydzał.

Willie wybuchnął śmiechem.

– Ona już się napłakała – powiedział. – Szkoda że jej nie widziałeś po tym, jak ją wyszorowaliśmy.

– Taa. Myślisz, że powinniśmy przynieść coś dla Donny’ego i Woofera?

– O nic nie prosili. Jeśli coś chcą niech sami przyjdą.

– Szkoda że nie masz nic do żarcia – powiedział Eddie.

Zaczęli iść w kierunku schodów, nadal nie zwracając na nas uwagi. Mnie to nie przeszkadzało. Przyglądałem się, jak znikali w przedpokoju.

– Więc co zamierzasz zrobić? – zapytał Eddie.

Poczułem, jak jego głos przenika mnie niczym smuga trującego dymu.

– Zabić ją?

Zamarłem.

– Nie – odpowiedział Willie.

Powiedział coś jeszcze, jednak odgłos kroków stawianych przez nich na schodach zagłuszył jego wypowiedź.

Zabić ją? Słowa Eddiego przyprawiły mnie o gęsią skórę. „Aż mnie ciarki przeszły”, jakby to powiedziała moja matka.

To jego sprawa, pomyślałem. To jego problem.

To był oczywisty fakt.

Zastanawiałem się, jak daleko to zajdzie, jak to się skończy. Nie dawało mi to spokoju niczym jakiś niezrozumiały matematyczny problem.

Niewyobrażalne stało się rzeczywistością dwójka dzieciaków rozważająca to z piwem i colą w ręku.

Pomyślałem o leżącej w łóżku Ruth z jej wściekłym bólem głowy.

Pomyślałem o wszystkich tych, którzy są tam teraz z Meg na dole. Razem z Eddiem.

Mogli to zrobić. Mogli.

Mogli to zrobić w każdej chwili. Nawet przez przypadek.

Nie zastanawiałem się, dlaczego nadal utożsamiałem obecność Ruth z nadzorem. Po prostu to robiłem.

W końcu była dorosła, czyż nie?

Dorośli by na to nie pozwolili, prawda?

Spojrzałem na Susan. Jeżeli usłyszała słowa Eddiego, to nie dawała tego po sobie poznać. Układała puzzle.

Rozdygotany, bojąc się nasłuchiwać odgłosów, i zarazem przerażony ich brakiem, układałem wraz z nią.

Rozdział 35

Od tamtego dnia, przez cały następny tydzień Eddie przychodził codziennie. Drugiego dnia przysła również jego siostra, Denise. Siłą zmusili Meg do zjedzenia krakersów, których nie mogła pogryźć, ponieważ przez całą noc miała zakneblowane usta i była bez wody. Eddie wściekł się i uderzył ją w twarz aluminiowym karniszem, który aż się wygiął, pozostawiając na jej policzku szeroki obrzęk i rozcięcie na dolnej wardze.

Przez resztę dnia bili ją i uderzali o ścianę.

Ruth prawie w ogóle tam nie schodziła. Coraz częściej dokuczały jej bóle głowy. Narzekała, że swędzi ją skóra, zwłaszcza twarz i dłonie. Wydawało mi się, że straciła też na wadze. Na jej ustach pojawiła się opryszczka i została tam przez kilka dni. Nawet gdy telewizor był włączony, słyszeliśmy jej kaszel dobiegający z góry.

Gdy Ruth nie było w pobliżu, zakaz dotykania Meg nie obowiązywał.

Denise dała temu początek. Lubiła szczypać. Jak na dziewczynę w jej wieku, miała sporo siły w palcach. Chwytała Meg za skórę i wykręcała ją nakazując jej płakać. Najczęściej Meg nie uroniła łzy, co sprawiało, że Denise jeszcze mocniej ją szczypała. Jej ulubionym punktem były piersi. Zostawiała je sobie na koniec.

Wtedy, najczęściej, Meg płakała.

Willie lubił wywlekać ją na stół, ściągnąć jej spodnie i zlać w tyłek.

Woofler lubował się w robalach. Kładł pająka albo gąsienicę na jej brzuchu i przyglądał się, jak Meg wzdryga się z obrzydzenia.

Jednak to Donny mnie zaskoczył. Za każdym razem, kiedy sądził, że nikt go nie obserwuje, dotykał rękoma jej piersi, nieco je ściskając, albo dotykał ją między nogami. Widziałem to z tuzin razy, jednak nigdy nie zdradziłem swojej obecności.

Robił to delikatnie, jak kochanek. Raz, kiedy Meg nie miała knebla w ustach, widziałem, jak ją pocałował. Zważywszy na fakt, że mógł z nią zrobić, co tylko chciał, był to dziwny, jednak na swój sposób delikatny i niewinny pocałunek.

Któregoś dnia przyszedł Eddie, śmiejąc się i trzymając w plastikowym kubku psie łajno. Przytrzymali ją na stole, podczas gdy Woofler ścisnął ją za nos, dopóki nie otworzyła ust, by zaczerpnąć oddechu. Wtedy Eddie wsadził je do środka. Od tej chwili nikt już jej nie pocałował.

W piątek pracowałem w ogródku aż do czwartej po południu i kiedy tam przyszedłem, usłyszałem radio włączone na cały regulator. Jego ryk dobiegał zza tylnych drzwi. Gdy zszedłem na dół, zauważyłem, że grupa zyskała kolejnych członków.

Wieści szybko się rozniosły.

Teraz byli tam nie tylko Eddie i Denise, lecz również Harry Gray, Lou i Tony Morino, Glenn Knoll, a nawet Kenny Robertson. Tuzin osób, wliczając w to Meg i mnie, stłoczonych w maleńkim schronie, oraz Ruth, która stała w drzwiach, uśmiechając się i przyglądając, jak odpychali i szturchali Meg tam i z powrotem, niczym kulkę w automatach do gry, złapaną w pułapkę tuzina ludzkich flipperów.

Ręce miała związane z tyłu.

Na podłodze leżały puszki po piwie i coli. Gęste szare chmury papierosowego dymu szczelnie wypełniały pomieszczenie. W pewnym momencie w radiu leciała piosenka Jerry'ego Lee Lewisa, „Breathless”^{*}. Wszyscy wybuchnęli śmiechem i zaczęli śpiewać.

Meg wylądowała na podłodze, posiniaczona, szlochająca. Poszliśmy na górę po coś do jedzenia. Mój film nadal trwał.

Przez resztę tygodnia dzieciaki przychodziły tam i z powrotem. W większości przypadków tylko się przyglądały. Jednak pamiętam, że gdy Ruth nie było w pobliżu, Glen Knoll i Harry Gray zrobili z Meg któregoś dnia, jak to określili, „kanapkę”. Ścisnęli ją z obu stron, podczas gdy ona wisiała na linach przywiązanych na gwoździach do belek pod sufitem. Pamiętam, jak Tony Morino przyniósł z ogródka pół tuzina ślimaków, a Woofer rozłożył je na jej całym ciele.

Jednak tak długo, jak nie sprawiało jej to bólu, Meg najczęściej nie płakała. Po wydarzeniach z psią kupą trudno było ją bardziej upokorzyć. Niewiele było też rzeczy, które mogły ją przestraszyć. Wyglądała, jakby pogodziła się ze swoim losem. Zupełnie jakby jedyne, co jej zostało, to czekanie, aż być może się znudzimy i zostawimy ją w spokoju. Prawie wcale nie stawiała oporu. Jeśli jednak próbowała, wołaliśmy wtedy Susan. W większości przypadków nie musieliśmy. Ubrania ściągała i wkładała praktycznie na zawołanie. Ściągała tylko wtedy, kiedy wiedzieliśmy, że Ruth nie ma nigdzie w pobliżu lub gdy Ruth sama to zaproponowała. To nie zdarzało się jednak zbyt często.

Przez większość czasu zwyczajnie siedzieliśmy przy stole, gadając, grając w karty, popijając colę albo przeglądając czasopisma. Zupełnie jakby Meg wcale tam nie było. Odzywaliśmy się do niej po to, aby się z niej pośmiać i szydzić. Znęcanie się nad nią przeszło do porządku dziennego. Jej obecność fascynowała nas niczym trofeum, była główną atrakcją naszego klubu. Spędzaliśmy tam większość czasu, był środek lata, jednak od przesiadywania w piwnicy wszyscy mieliśmy blady odcień skóry. Meg po prostu siedziała lub stała tam

^{*} Dyszący, oddychający z trudem – przyp. tłum.

związana w milczeniu, a my przez większość czasu się do niej nie odzywaliśmy. Czasami ktoś wpadł na nowy pomysł, nowy sposób wykorzystania jej, więc go wypróbowywaliśmy.

Głównie jednak wyglądało to, jakby Meg miała rację. Może któregoś dnia po prostu nam się to znudzi i przestaniemy się spotykać. Ruth była zajęta sama sobą i jej różnymi fizycznymi dolegliwościami. Zajęta, dziwna i nieobecna. Bez jej podjudzania nasze zainteresowanie osobą Meg słabło, stawało się coraz bardziej sporadyczne, mniej intensywne.

W końcu dotarło do mnie, że był już środek sierpnia. We wrześniu ponownie zaczynała się szkoła. Po wakacjach Willie, Donny i ja mieliśmy iść do pierwszej klasy gimnazjum w Mount Holly, a Meg do pierwszej klasy liceum. Do tego czasu to będzie musiało się skończyć. To ledwo trzymało się kupy. Jedną rzeczą jest przetrzymywanie kogoś przez wakacje, gdzie nikt specjalnie nie zwracał na to uwagi, natomiast czymś zupełnie innym było więzienie kogoś w okresie szkolnym.

Tak więc do września to musi się skończyć, w ten czy inny sposób.

Pomyślałem, że być może Meg miała rację. Może musiała to tylko przeczekać.

Później przypomniałem sobie jednak, co powiedział Eddie. I zmartwiło mnie to, jak bardzo się myliła.

Eddie był tym, który rozwiązał nasz klub.

Zrobił to, podnosząc ponownie stawkę.

Doszło do dwóch zdarzeń. Pierwsze z nich nastąpiło w ulewny brzydki dzień. Taki, który zaczyna się szarością później przywdziewa bury kolor i trzyma się go kurczowo, dopóki nie przejdzie w czerń.

Eddie ukradł ojcu dwa sześciopak piwa i przyniósł je ze sobą. On, Denise oraz Tony Morino wypili kilka z nich duszkiem, podczas gdy Willie, Woofers, Donny i ja piliśmy znacznie wolniej. Wkrótce cała trójka upiła się i po piwach nie było ani śladu. Willie poszedł na górę po kolejne. Wtedy Eddie powiedział, że musi się odlać. Przy okazji wpadł też na pomysł. Wtajemniczył nas, szepcząc nam do ucha.

Gdy Willie wrócił, zdjął wraz z Tonym Morino Meg na ziemię, położył ją na plecy i przywiązał jej ręce mocno do nóg stołu. Denise przytrzymała jej stopy, a reszta, pod jej głową rozłożyła kilka gazet.

Wtedy Eddie nasikał jej na twarz.

Myślę, że gdyby nie to, że Meg była przywiązana do stołu, to spróbowałyby go zabić.

Jednak zamiast tego wszyscy wybuchnęli śmiechem, przyglądając się, jak dziewczyna wrywała się, aż w końcu opadła na plecy i już więcej się nie podniosła.

Wtedy Donny uświadomił sobie, że Ruth wcale się to nie spodoba, że lepiej będzie, jak to wszystko posprzątają. Postawili więc Meg na nogi i związali jej ręce za plecami. Trzymali ją podczas gdy Woofers pozbierał gazety i wrzucił je do pieca, a Donny przyniósł wody w dużej

miedzianej misce, którą trzymali w piwnicy i używali do wylewania wody z pralki. Nalał do niej płynu do płukania. Następnie, wraz z Tonym i Williem, wyprowadzili Meg ze schronu do piwnicy, gdzie stała miska z wodą. Wsadzili jej głowę do mydlanej wody i trzymali ją pod powierzchnią śmiejąc się, podczas gdy Willie szorował jej włosy. Przez chwilę próbowała się wyrwać. Kiedy ją podnieśli, z trudem łapała oddech.

Meg była czysta.

Wtedy Eddie wpadł na kolejny pomysł.

Powiedział, że musimy ją opłukać.

Chwyił za gumowy wąż i odkręcił gorącą wodę, zupełnie jak Ruth wtedy pod prysznicem.

Następnie skierował strumień na Meg.

Kiedy podniosła się z ziemi, wyła z bólu, a twarz miała rozpaloną jak rak. Ręka Eddiego była tak czerwona, że aż się zdziwiłem, jakim cudem zdołał w niej utrzymać wąż.

Meg była opłukana.

Czysta i opłukana. Czyż Ruth nie będzie z tego powodu zadowolona?

Ruth była jednak wściekła.

Przez resztę tygodnia przykładła do oczu Meg zimny kompres. Bała się, że może stracić wzrok. Meg miała oczy miała tak opuchnięte, że ledwo mogła je otworzyć i wydzielał się z nich płyn gęstszy od jakiegokolwiek ły. Jej twarz wyglądała okropnie, była pokryta plamami, zupełnie jakby oparzyła się gigantyczną ilością soku trującego bluszczu. Jednak to o jej oczy martwiliśmy się najbardziej.

Położyliśmy ją na dmuchanym materacu. Karmiliśmy ją.

Eddie był na tyle mądry, że trzymał się z daleka.

Następnego dnia Meg poczuła się lepiej. Kolejnego dnia było z nią jeszcze lepiej.

Trzeciego dnia Eddie zjawił się ponownie.

Nie było mnie tam wtedy, ojciec zabrał mnie do Orlego Gniazda, swojej restauracji. Jednak wkrótce się o wszystkim dowiedziałem.

Ruth leżała na gorze, w swoim łóżku, a chłopaki sądzili że spała, odpoczywając po kolejnym ataku bólu głowy. Woofers, Donny i Willie grali w karty, kiedy przyszedł Eddie wraz z Denise.

Eddie chciał znowu zdjąć z Meg ubranie, jak powiedział, chce tylko popatrzeć, więc wszyscy się zgodzili. Zachowywał się cicho, był opanowany. Popijał colę.

Rozebrali ją zakneblowali i przywiązali do stołu, twarzą do przodu. Tym razem jednak przywiązali każdą jej nogę do innej nogi stołu. To Eddie wpadł na ten pomysł. Chciał by się rozciągnęła. Zostawili ją tak przez jakiś czas, wracając do gry w karty, aż Eddie wypił colę do końca.

Wtedy Eddie spróbował wsadzić jej do środka butelkę.

Wszyscy byli tak zdumieni i zaabsorbowani tym, co robił, że nie usłyszeli, jak Ruth zesłała na dół i stała tuż za nimi. Gdy weszła przez drzwi, Eddie zdążył już wsadzić w nią krawędź szyjki, a reszta nas przypatrywała się temu, stojąc wokół.

Ruth spojrziała i zaczęła na nich krzyczeć, że nikt nie miał prawa jej dotknąć, nikt, że była brudna, że nosiła w sobie choróbska i że Eddie i Denise mają się natychmiast stamtąd wynosić i zostawić ją samą z Woferem, Williem i Donnym, aby mogła się na nich wydrzeć.

Resztę usłyszałem od Donny'ego.

Powiedział mi, że naprawdę się wystraszył. Ruth zdrowo odwaliło.

Wpadła w szał. Wydierała się na całą piwnicę, roztrzaskiwała różne przedmioty i bełkotała dziwne rzeczy o tym, jak to już ona nigdy nie wyjdzie ani do kina, ani do restauracji, ani na tańce czy imprezę, że jedyne, czym się zajmuje to te pieprzone, cholerne dzieciaki, którym sprząta, prasuje i gotuje. O tym, że się tu zestarzeje, że zmarnowała swoje najlepsze lata, że jej ciało nie wygląda już tak dobrze jak kiedyś. Mówiąc to, za każdym razem uderzała ręką w ścianę lub drucianą siatką wiszącą na oknie, kopała butelkę po coli, dopóki ta nie roztrzaskała się o ścianę.

Wtedy powiedziała do Meg coś w rodzaju „i jeszcze ty! ty!” i wpatrywała się w nią z taką wściekłością wypisaną na twarzy, jakby to była wina Meg, że ciało Ruth się starzało i że nie mogła już więcej nigdzie wychodzić. Nazwała ją kurwą suką i pierdolonym śmieciem, następnie zamachnęła się i kopnęła ją w krocze. Dwa razy.

Teraz Meg miała tam siniaki. Okropne siniaki.

Na szczęście, jak powiedział Donny, Ruth miała wtedy na sobie kapcie.

Mogłem to sobie wyobrazić.

Tej nocy, kiedy mi o tym powiedział, miałem sen.

Siedziałem w domu, oglądając galę boksu w telewizji. Sugar Ray Robinson przeciwko jakiemuś wielkiemu, niezgrabnemu i bezimiennemu białemu facetowi. Mój ojciec spał obok mnie, chrapiąc w wyściełanym fotelu, podczas gdy ja siedziałem na kanapie. Oprócz światła z telewizora, w całym domu panowała ciemność. Byłem zmęczony, bardzo zmęczony i wtedy wszystko się zmieniło i nagle znalazłem się na gali, siedziałem przy ringu, ludzie wiwatowali wokół, a Sugar Ray atakował rywala, sunąc na niego niczym czołg, wymierzając w niego sierpowe. To było ekscytujące.

Dopingowałem więc Sugar Raya i rozglądałem się w poszukiwaniu ojca, by zobaczyć, czy on również go dopingował. Stary spał jak zabity na fotelu obok, zupełnie jak w domu na fotelu, powoli opadając na podłogę.

– Obudź się – powiedziała moja matka, szturchając go. Musiała tam być cały czas, chociaż jej wcześniej nie widziałem. – Obudź się – powtórzyła.

Nie dała rady. Spojrzałem ponownie w stronę ringu, gdzie zamiast Sugar Raya zobaczyłem Meg, taką jaką ją pamiętałem, kiedy stała nad rzeką tamtego dnia. W szortach i w jasnej bluzce bez rękawów, z rudymi jak płomień włosami, spiętymi w kucyk, powiewającymi tam i z powrotem. Uderzyła tego faceta. Biła go mocno. Wstałem, wiwatując i krzycząc.

– Meg!, Meg!, Meg!

Obudziłem się z płaczem. Poduszka była przesiąknięta łzami.

Czułem się zdezorientowany. Dlaczego płakałem? Nic nie czułem.

Poszedłem do sypialni rodziców.

Spali w oddzielnych łóżkach. Spali tak od lat. Tak jak w moim śnie ojciec chrapał. Matka spała cicho obok niego.

Podszedłem do jej łóżka i stałem tam, przypatrując się jej. Delikatna, filigranowa, ciemnowłosa kobieta. Kiedy tak spała, wyglądała młodziej niż kiedykolwiek przedtem.

Pokój przepelniony był ich snem, pachnącym stęchlizną i odorem ich oddechu.

Chciałem ją obudzić. Chciałem jej powiedzieć. Opowiedzieć wszystko.

Była jedyną osobą której mogłem powiedzieć.

– Mamo? – wykrztusiłem.

Bardzo cicho. Część mnie nadal bardzo się bała lub nie chciała zaryzykować obudzenia jej. Łzy spływały mi po policzkach. Leciądo mi z nosa. Pociągnąłem nim. Ten dźwięk wydał mi się głośniejszy od głosu, którym ją wołałem.

– Mamo?

Przewróciła się na drugą stronę, nieznacznie jęcząc.

Wydawało mi się, że aby ją obudzić, muszę spróbować jeszcze tylko jeden raz.

Wtedy pomyślałem o Meg, samej pośród długiej ciemnej nocy, leżącej w schronie. Cierpiącej Meg.

Wtedy powrócił do mnie sen.

Poczułem na sobie mocny uścisk.

Nie mogłem złapać oddechu. Miałem nagłe zawroty głowy, wzbierało we mnie przerażenie.

Pokój zaszedł ciemnością. Wręcz czułem, że zaraz eksploduje.

Znałem powód tego wszystkiego.

To moja głupia, bezmyślna zdrada.

Moja nikczemność.

Poczułem, jak wzbiera we mnie płacz, olbrzymi i mimowolny niczym krzyk. To było jak krzyk. Zakryłem usta i wybiegłem z pokoju, potykając się. Upadłem na kolanach w przedpokoju, skulony przed drzwiami. Siedziałem tam trzęsąc się i płacząc. Nie mogłem powstrzymać potoku łez.

Siedziałem tam przez długi czas.

Rodzice się nie obudzili.

Kiedy wstałem z podłogi, na zewnątrz już prawie świtało.

Poszedłem do swojego pokoju. Z łóżka oglądałem przez okno, jak noc przechodzi z głębokiej czerni w intensywny ciemny błękit.

Myśli pędziły jak szalone, przelatując przez moje ciało jak poranne wróble, zrywające się z dachu.

Usiadłem i całkowicie spokojny przyglądałem się wschodowi słońca.

Rozdział 36

Plusem było to, że, przynajmniej na razie, reszta została wykluczona. Musiałem z nią porozmawiać. Musiałem ją przekonać, w końcu jej pomóc.

Pomóc jej uciec, z Susan czy bez niej. Nie dostrzegałem, żeby Susan groziło jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Za wyjątkiem kilku klapsów, nic, jak dotąd, się jej nie stało, przynajmniej nic, co bym widział. To Meg potrzebowała pomocy. Najwyższy czas, pomyślałem, żeby sobie to uświadomiła.

To było zarazem łatwiejsze i trudniejsze, niż się spodziewałem.

Trudniejsze, ponieważ dowiedziałem się, że ja również zostałem wykluczony.

– Moja mama nie chce, aby ktokolwiek przychodził – powiedział Donny. Jechaliśmy razem rowerami na miejskie kąpielisko, po raz pierwszy od wielu tygodni. Był gorący, bezwietrzny dzień i po paru metrach byliśmy już złani potem.

– Jak to? Przecież nic nie zrobiłem. Dlaczego ja?

Zjechaliśmy z górki, przez jakiś czas jadąc na luzie.

– To nie o to chodzi. Słyszałeś, co zrobił Tony Morino?

– Nie.

– Powiedział swojej matce.

– Co?!

– Dokładnie. Ten mały gnój. Jego brat, Louie, wygadał się nam. Znaczący, nie powiedział jej o wszystkim. Nie sądzę, żeby mógł jej o wszystkim powiedzieć. Jednak powiedział za dużo. Powiedział jej, że trzymamy Meg w piwnicy. Powiedział, że Ruth nazwała ją dziwką i zdziurą i że ją biła.

– Jezu Chryste. Co ona na to?

Donny roześmiał się.

– Na całe szczęście rodzina Morino to naprawdę surowi katolicy. Jego mama powiedziała, że Meg najprawdopodobniej sobie na to zasłużyła, że jest rozwiązła, czy coś w tym rodzaju. Powiedziała, że rodzice mają prawo i że Ruth jest teraz jej matką. Wiesz, co dalej zrobiliśmy?

– No co?

– Ja i Willie udawaliśmy, że o niczym nie wiemy. Poszliśmy wraz z Tonym przez las na farmę Bleekera. On w ogóle nie znał tego miejsca. Najpierw pozwoliliśmy, by się zgubił, a następnie puściliśmy go kaniem na moczarach. Zostawiliśmy go tam samego. Dwie i pół godziny zajęło mu odnalezienie drogi i powrót do domu, ale wtedy było już ciemno. A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze? Jego matka spuściła mu manto za to, że nie był na kolacji i że wrócił do domu cały umorusany w błocie i gównie. Jego matka!

Śmialiśmy się. Zjechaliśmy na nowiutki podjazd przy centrum rekreacyjnym i postawiliśmy rowery przy stojakach. Następnie przeszliśmy przez klejący się, zalatujący słodkawym smrodem asfalt do basenu.

Przy bramie okazaliśmy plastikowe wejściówki. Na basenie było mnóstwo ludzi. Małe dzieci, kopiące i rozpryskujące wodę na płyciźnie, niczym ławica piranii. Brodzik dla niemowląt był przepełniony rodzicami, pilnującymi swoich pociech, których pulchne palce ścisnęły dętki w kształcie kaczuszek i smoków. Długie, zniecierpliwione kolejki ustawiały się przy trampolinie i bufecie. W każdym pojemniku na śmieci były osy, latały wokół opakowań po lodach i napojach.

Wrzaski, pluskanie i krzyki, które towarzyszyły wszystkim biegającym dookoła ogrodzonego trawnika, były ogłuszające. Gwizdek ratownika piszczał co chwilę. Rzuciliśmy na ziemię ręczniki i poszliśmy w miejsce, gdzie woda miała dwa i pół metra głębokości. Usiedliśmy, zanurzając swobodnie nogi w pachnącej chlorem wodzie.

– Więc co to ma ze mną wspólnego? – zapytałem.

Donny wzruszył ramionami.

– Nie wiem – odparł. – Mama się teraz martwi. Martwi się, że ktoś się wygada.

– Ja? Chryste, ja nikomu nie powiem! – zaklinałem, wspominając siebie w ciemnościach, stojącego przy śpiącej matce. – Wiesz przecież, że nie puszczę pary z ust.

– Wiem. Ruth po prostu ostatnio dziwaczeje.

Nie mogłem bardziej naciskać. Donny nie był tak głupi jak jego brat. Znał mnie. Domyśliłby się, gdybym dalej naciskał. Zatem czekałem. Rozbryzgiwaliśmy wodę stopami.

– Posłuchaj – powiedział. – Pogadam z nią w porządku? To jakieś bzdury. Od jak dawna przychodzisz już przecież do naszego domu?

– Od dawna.

– Pieprzyć to więc. Pogadam z nią. A teraz zamoczmy się trochę.

Wskoczyliśmy do wody.

Ta łatwiejsza część zadania polegała na przekonaniu Meg do ucieczki.

Był ku temu powód.

Po raz ostatni, powiedziałem sobie, będę stał i przyglądał się, czekając na odpowiedni moment, by się do niej odezwać. Wtedy ją przekonam. W głowie miałem nawet pewien plan.

I wtedy to się skończy.

Będę musiał udawać, że jestem z nimi, choćby nie wiem co. To już nie miało znaczenia.
To już ostatni raz.

Prawie do tego nie doszło.

Ponieważ ten jeden ostatni raz, omal nie doprowadził nas obojga do ostateczności.
Ostatni raz był straszny.

Rozdział 37

– W porządku – powiedział Donny następnego dnia. – Moja mama mówi, że możesz.

– Co możesz? – zapytała moja mama.

Stała za mną przy kuchennej ladzie, krojąc cebulę. Donny stał na ganku za moskitierą. Stałem tak, że nie mogłem jej zobaczyć. Kuchnia śmierdziała cebulą.

– Co planujecie? – zapytała ponownie.

Spojrzałem na niego. Zareagował szybko.

– W następną sobotę chcemy pojechać z rodziną na piknik, pani Moran. Pomyśleliśmy, że może David mógłby pojechać z nami. Czy ma pani coś przeciwko?

– Nie widzę problemu – odpowiedziała moja mama, uśmiechając się przy tym. Donny był dla niej niesamowicie uprzejmy, bez cienia dwuznaczności, a ona lubiła go za to, pomimo że nie przepadała za resztą jego rodziny.

– Super! Dziękuję, pani Moran. Tymczasem, David.

Tak więc niedługo potem ich odwiedziłem.

Ruth wróciła do Gry.

Wyglądała okropnie. Miała rany na całej twarzy i widać było, że je również drapała, ponieważ dwie krwawiły. Miała tłuste, zniszczone włosy, pełne łupieżu. Jej cienka bawełniana sukienka wyglądała tak, jakby Ruth spała w niej od wielu dni. Tym razem byłem pewien, że straciła na wadze. Miała to wypisane na twarzy – podkrążone oczy, naciągnięta skóra na policzkach.

Paliła jak zwykle, siedząc na składanym krześle, wpatrując się w Meg. Tuż przed nią na papierowym talerzyku leżała nadgryziona kanapka z tuńczykiem, której używała jako popielniczki. Dwa niedopałki wystawały z mokrego białego chleba.

Obserwowała Meg z uwagą nachylając się do przodu na krześle, mrużąc oczy. Pomyślałem, że wyglądała tak jak wtedy, gdy oglądała swoje teleturnieje w telewizji. Tydzień temu Charles Van Doren, nauczyciel angielskiego z Columbii, został nazwany oszustem za wygranie stu dwudziestu dziewięciu tysięcy dolarów w teleturnieju. Ruth była niepokieszona. Zupełnie, jakby ją również oszukano.

Spoglądała teraz na Meg z takim samym nasilonym zdumieniem w oczach, jak Van Doren, kiedy odpowiadał na pytanie w dźwiękoszczelnej kabinie.

Rozważała kolejne posunięcie.

Willie kłuł Meg swoim kieszonkowym scyzorykiem.

Znowu przywiązali ją do sufitu. Meg stała na czubkach palców, rozciągnięta, z tomami encyklopedii świata, porozrzucanymi pod jej stopami. Była naga. Cała brudna i posiniaczona. Pod lśniącem potem widać było jej bladą skórę. Jednak to wszystko nie miało znaczenia. Powinno mieć, jednak nie miało. Jej magia, ta mała, okropna magia spoglądania na nią w tym stanie zawładnęła mną na chwilę niczym fatalne zauroczenie.

Była dla mnie kwintesencją seksu. Była ucieleśnieniem okrucieństwa. Przez krótką chwilę upijałem się tym uczuciem niczym winem, które uderza do głowy. Znowu byłem z nimi.

Wtedy spojrzałem na Woofera.

Pomniejszszą wersją mnie lub tego, czym mogłem się stać. Stał z nożem w dłoni.

Nic dziwnego, że Ruth była tak bardzo skupiona.

Wszyscy byli, Willie i Donny również. Nikt się nie odzywał, ponieważ nóż był czymś zupełnie innym od paska czy strumienia gorącej wody. Nożem można poważnie zranić, trwale uszkodzić, a Woofier był zbyt młody, by w pełni to pojąć, by zrozumieć, że śmierć i wypadki się zdarzają. Nie znał ich konsekwencji. Stąpali po cienkim lodzie i dobrze o tym wiedzieli. Mimo to pozwolili na to. Chcieli, by do tego doszło. To była ich edukacja.

Nie potrzebowałem tej nauki.

Jak dotąd obeszło się bez krwi, jednak wiedziałem że może do tego dojść, że to tylko kwestia czasu. Nawet z kneblem w ustach i z zawiązanymi oczyma, widać było przerażenie wypisane na twarzy Meg. Jej piersi i brzuch drżały od niespokojnych oddechów. Blizna na jej ramieniu wyglądała jak postrzępiona błyskawica.

Dźgnął ją w brzuch. Stojąc na czubkach palców, nie mogła się odchylić, by uniknąć ciosu. Wiła się jedynie konwulsyjnie, uwiązana sznurami. Woofier chichotał i kłuł ją poniżej pępka.

Ruth spojrzała na mnie i skinęła głową witając się i zapalając kolejnego papierosa. Na jej serdecznym palcu rozpoznałem obrączkę należącą do matki Meg.

Woofier przesunął ostrzem po jej klatce piersiowej i ukłuł ją w pachę. Zrobił to tak szybko i lekkomyślnie, że wypatrywałem stróżki krwi ciekącej po jej żebrach. Tym razem miała jednak szczęście. Dostrzegłem jednak coś innego.

– Co to jest?

– Co? – odezwała się nieprzytomnie Ruth.

– Tam, na jej nodze.

Na udzie, tuż nad kolanem, miała czerwoną pięciocentymetrową trójkątną plamę.

Zaciągnęła się papierosem. Nie odpowiedziała.

Willie zrobił to za nią.

– Mama trochę prasowała – powiedział. – Pyskowała, więc mama przypaliła ją żelazkiem. Nic wielkiego, z tym że teraz żelazko jest zepsute.

– Nic, kurwa, wielkiego – rzuciła Ruth.

Miała na myśli żelazko.

W tym czasie Woofler przesuwiał dalej nożem po brzuchu Meg. Tym razem zadrasnął dolną części jej klatki piersiowej.

– Ups – stwierdził.

Obejrzał się i spojrzał na Ruth. Wstała.

Zaciągnęła się papierosem i strzepnęła popiół.

Następnie podeszła.

Woofler cofnął się.

– Kurwa mać, Ralphie! – powiedziała.

– Przepraszam – odparł. Wypuścił nóż, który zabrzączał na podłodze.

Widać po nim było, że się bał. Jednak tembr jej głosu był obojętny, zupełnie jak jej twarz.

– Do cholery! Teraz musimy przypalić jej ranę.

Uniosła papierosa.

Odwróciłem wzrok.

Usłyszałem stłumiony kneblem krzyk Meg. Przenikliwy, cienki, stłumiony pisk, który gwałtownie zmienił się w zawodzenie.

– Stul pysk! – wycedziła Ruth. – Zamknij się albo znowu to zrobię.

Meg nie potrafiła się powstrzymać.

Poczułem jak drzę. Wpatrywałem się w betonową ścianę.

Wytrzymaj, pomyślałem, słysząc syknięcie.

Usłyszałem jej krzyk.

Poczułem zapach spalenizny.

Odwróciłem się i zobaczyłem Ruth z papierosem w jednej dłoni, drugą ręką trzymała się za pierś przez szarą bawełnianą sukienkę. Ścisła ją. Widziałem ślady po oparzeniach tuż obok siebie, pod żebrami Meg. Jej ciało było oblane potem. Widziałem, jak ręka Ruth przemieszcza się niedbale po pogniecionej sukience, jak dotyka się między nogami, stęka i chwieje, po czym wyciąga papierosa ponownie do przodu.

Chciałem to przerwać. Czuję to. Czuję to w sobie. Musiałem coś zrobić, coś powiedzieć. Cokolwiek, by powstrzymać przypalanie. Zamknąłem oczy i nadal widziałem, jak Ruth dotyka się między nogami. Zapach przypalanej skóry unosił się wokół. Ścisnęło mnie w żołądku. Odwróciłem się i usłyszałem, jak Meg krzyczy i krzyczy. I wtedy nagle Donny zawołał „mamo!, mamo!, mamo!” przyciszonym głosem. Słowa przepelnione były strachem.

Nie mogłem tego zrozumieć.

I wtedy to usłyszałem. Pukanie.

Ktoś stał przy drzwiach.

Frontowych drzwiach.

Spojrzałem na Ruth.

Wpatrywała się w Meg ze spokojną, rozluźnioną twarzą beztroską i nieobecną. Powoli uniosła papierosa, przykładając go do ust i zaciągając się głęboko. Smakował jej.

Poczułem, jak ścisnęło mnie ponownie w żołądku.

Przecież słyszałem pukanie.

– Otwórzcie – powiedziała. – Tylko powoli. Spokojnie.

Wstała po cichu. Willie i Donny przez chwilę spoglądali niepewnie na siebie, a następnie poszli na górę.

Woofier spojrzał na Ruth, a później na Meg. Wyglądał na zdezorientowanego. Nagle znów stał się małym chłopcem, który chciał, żeby mu powiedzieć, co ma teraz zrobić. Mam iść czy mam zostać? – pytał bezradnie wzrokiem.

Nikt nie przyszedł mu z pomocą a już na pewno nie Ruth. W końcu sam poszedł po rozum do głowy i podążył za braćmi.

Czekałem, dopóki nie wyszedł.

– Ruth? – powiedziałem.

Wydawała się mnie nie słyszeć.

– Ruth?

Nadal się wpatrywała w Meg.

– Nie sądzisz...? Znaczący, jeżeli jest tam ktoś... Chyba nie powinnaś im tego zostawiać? Williemu i Donny'emu?

– Hmm?

Spojrzała na mnie, jednak nie byłem pewien, czy mnie widziała. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo z tak pustym wyrazem twarzy.

To była jednak moja szansa. Być może jedyna. Wiedziałem, że muszę ją przycisnąć.

– Nie wydaje ci się, że powinnaś się tym sama zająć, Ruth? Co jeśli to znowu pan Jennings?

– Kto?

– Pan Jennings. Policjant Jennings. Glina, Ruth.

– Ach, tak.

– Mogę... ją popilnować, jeśli chcesz.

– Popilnować?

– Mieć na nią oko, żeby nie...

– Tak. Dobrze. Przypilnuj jej. To dobry pomysł. Dziękuję ci, Davy.

Zacząła iść w kierunku drzwi, jej kroki były powolne, ciężkie. Następnie obróciła się. Jej głos nagle znowu był ostry jak brzytwa, plecy miała wyprostowane. Oczy wyglądały na zmęczone odbijającym się w nich światłem.

– Lepiej, żebyś tego nie spierdolił – ostrzegła.

– Co?

Przycisnęła palec do ust i uśmiechnęła się.

– Jeżeli usłyszę tutaj jakikolwiek dźwięk, to obiecuję, że zatłukę was oboje. Nie ukarzę was. Zabiję. Zrozumieliśmy się, Davy? Czy to jest dla ciebie jasne?

– Tak.

– Na pewno?

– Tak, proszę pani.

– Dobrze. Bardzo dobrze.

Odwróciła się, a następnie usłyszałem odgłos jej kapci, szurających po schodach. Słyszałem jakieś dźwięki dobiegające z góry, jednak nic z nich nie rozumiałem.

Odwrociłem się do Meg.

Zobaczyłem miejsce, które Ruth przypaliła jej za trzecim razem. Jej prawą pierś.

– Jezu, Meg – powiedziałem. Podszedłem do niej. – To ja, David.

Zdjąłem jej przepaskę z oczu, tak aby mogła mnie zobaczyć. Jej oczy przepełnione były szaleństwem.

– Meg – odezwałem się. – Meg, posłuchaj mnie. Posłuchaj mnie, proszę. Proszę cię, zachowuj się cicho. Słyszałaś, co powiedziała? Ona to zrobi, Meg. Proszę cię, Meg, nie krzycz, dobrze? Chcę ci pomóc. Nie mamy wiele czasu. Posłuchaj mnie. Wyjmę ci knebel z ust, w porządku? Nie będziesz krzyczeć? To ci nie pomoże. Tam na górze może być ktokolwiek. Akwizytor czy ktoś. Ruth może się z tego wytłumaczyć. Ona może się z wszystkiego wytłumaczyć. Wyciągnę cię z tego, rozumiesz mnie? Wyciągnę cię stąd!

Terkotałem jak karabin maszynowy, ale nie potrafiłem przestać.

Wyjąłem jej knebel z ust, by mogła odpowiedzieć.

Oblizła usta.

– Jak? – zapytała cichym, przepełnionym bólem, ochrypłym głosem.

– Dziś w nocy. Późno. Gdy wszyscy będą spać. To musi wyglądać tak, jakbyś sama to zrobiła. Bez niczyjej pomocy. Rozumiesz?

Skinęła głową.

– Mam trochę pieniędzy – powiedziałem. – Dasz sobie radę. Ja będę tutaj zaglądał i dopilnuje, by nic złego nie stało się Susan. Później może wymyślimy sposób, jak ją też z tego wyciągnąć. Może idź na policję. Pokaż im... to. Dobrze?

– Dobrze.

– Dobrze. Dziś w nocy. Przrzekam.

Usłyszałem trzaśnięcie zamykania frontowych drzwi i odgłos kroków w salonie, usłyszałem, jak schodzą po schodach do piwnicy. Wsadziłem jej knebel w usta. Zawiązałem oczy.

To Donny i Willie.

Spoglądali na mnie.

– Skąd wiedziałeś? – zapytał Donny.

– Co wiedziałem?

– Powiedziałeś mu?

– Komu powiedziałem? Co miałem mu powiedzieć? O czym ty mówisz?

– Nie wciskaj mi kitu, David. Ruth powiedziała, że mówiłeś, że to Jennings może stać przy drzwiach.

– Więc jak ci się kurwa wydaje, kto to mógł być, dupku? O Jezu, pomyślałem. Jasna cholera! A błagałem ją, żeby nie krzyczała.

Mogliśmy to wszystko zakończyć, tu i teraz.

Musiałem się jednak przed nimi zgrywać.

– Jaja sobie robisz – powiedziałem.

– Ja nie żartuję.

– Pan Jennings? Mój Boże, ja tylko strzelałem.

– Całkiem trafnie – zaśmiał się nerwowo Willie.

– Powiedziałem tak, żeby...

– Żeby co?

Żeby poszła na górę, pomyślałem.

– Żeby się przesła. Chryste, widzieliście ją. Wyglądała jak jakiś pieprzony zombie!

Spojrzeli na siebie nawzajem.

– Nieco jej odwaliło – stwierdził Donny.

Willie wzruszył ramionami.

– Chyba tak.

Chciałem, aby mówili dalej. Żeby nie myśleli o tym, że byłem tutaj sam z Meg.

– Co mu powiedzieliście? – zapytałem. – Szukał Meg?

– W pewnym sensie – powiedział Donny. – Powiedział, że wpadł zobaczyć, jak się mają miłe dziewczęta. Zaprowadziliśmy go więc do pokoju Susan, by mógł ją zobaczyć. Powiedzieliśmy, że Meg wyszła na zakupy. Susan oczywiście nie odezwała się słowem, nie odważyła się. Chyba to kupił. Wyglądał na skрэpowanego. Trochę nieśmiały jak na gliniarza.

– Gdzie jest twoja mama?

– Powiedziała, że musi przez chwilę odpocząć.

– Co macie na kolację?

Bezsensowne pytanie, jednak pierwsze, jakie przyszło mi do głowy.

– Nie wiem. Usmażymy pewnie parę hot dogów na grillu. Dlaczego pytasz? Chcesz wpaść?

– Zapytam mamę – powiedziałem. Spojrzałem na Meg. – A co z nią? – zapytałem.

– A co ma być?

– Chcecie ją tu tak zostawić, czy jak? Trzeba jej przynajmniej opatrzyć te oparzenia, żeby nie wdało się zakażenie.

– Pieprzyć ją – powiedział Willie. – Jeszcze z nią nie skończyłem.

Pochylił się i podniósł nóż Woofera.

Przygarbiony, z uśmiechem na twarzy wpatrywał się w dziewczynę, podrzucając nożem, chwytając za jego ostrze.

– Chociaż może i skończyłem – stwierdził. – Sam nie wiem. Nie wiem. – Podeszedł do niej. I wtedy powiedział, tak by mogła go usłyszeć, głośno i wyraźnie: – Po prostu nie wiem.

Widać było, że drwił z niej.

Postanowiłem go zignorować.

– Pójdę i zapytam mamę – zwróciłem się do Donny'ego.

Nie chciałem tam zostać i czekać, aż się zdecyduje. I tak nic nie mogłem wtedy zrobić. Czasami trzeba spasować i skupić się na tym, co możesz zrobić. Odwróciłem się i zacząłem wchodzić po schodach.

Na górze przez chwilę sprawdzałem drzwi.

Liczyłem na lenistwo z ich strony, na brak organizacji.

Sprawdziłem zamek.

Tak, wciąż był zepsuty.

Rozdział 38

Nadszedł czas, kiedy nawet winny musiał wykazać się niespotykaną niewinnością.

W naszym miasteczku nie było włamań. Złodzieje byli w dużych miastach, ale nie tutaj. To był jeden z powodów, dla których rodzice wyjechali z miasta.

Drzwi zamykano przed zimmem, wiatrem i deszczem, ale nie przed ludźmi. Jeśli więc jakiś zamek w drzwiach lub oknie się zepsuł, to prędzej ze starości lub od wpływu pogody, aniżeli celowo. Nikt nie zamykał drzwi na klucz.

Dom Chandlerów nie był pod tym względem wyjątkowy.

Na tyłach domu były drzwiczki z zamkiem, który chyba nigdy nie działał. Przynajmniej nie w tym stuleciu. Następne, drewniane drzwi były lekko wypaczone tak, że ich zamek za cholere nie pasował już do ościeżnicy.

Nawet teraz, gdy więzili Meg, nie zawracali sobie głowy, by to naprawić.

Jedyne co stało na przeszkodzie, to zaryglowane metalowe drzwi od schronu. Były toporne i hałaśliwe, jednak wystarczyło jedynie pozbyć się rygla.

Sądziłem, że to da się zrobić.

O trzeciej dwadzieścia pięć rano wyruszyłem, by się przekonać.

Wziąłem ze sobą małą latarkę i scyzoryk. W kieszeni miałem trzydzieści siedem dolarów, zarobione przy odśnieżaniu. Byłem ubrany w trampki, jeansy oraz koszulkę, którą mama ufarbowała dla mnie na czarno, po tym jak Elvis wystąpił w takiej samej w „Kochając cię”. Zanim zdążyłem minąć podjazd przed ich ogródkiem, spocona koszulka przykleiła się do moich pleców. Była jak druga skóra.

W domu panowała ciemność.

Wszedłem na ganek i zatrzymałem się, nasłuchując. Uwieszony na pogodnej zasłonie nocy księżyc, niemal w pełni, spoglądał na mnie.

Wydawało mi się, że dom Chandlerów oddychał, trzeszczał jak kości starej, śpiącej kobiety.

Przerażał mnie.

Przez chwilę chciałem o wszystkim zapomnieć, wrócić do domu z powrotem do łóżka i naciągnąć się kołdrą. Chciałem być gdziekolwiek, tylko nie tam. Przez cały wieczór

marzyłem o tym, by rodzice przyszli do mnie i oznajmili mi: „Synu, nie wiemy, jak ci o tym powiedzieć. Przeprowadzamy się”.

Marzenie się jednak nie spełniło.

Oczyrna wyobraźni widziałem jak mnie złapią na schodach. Nagle ktoś zapala światło i widzę Ruth, stojącą nade mną z wymierzoną w moje czoło strzelbą. Wątpiłem, czy mieli w domu broń. Jednak tak to widziałem. Ten obraz powtarzał się w kółko i w kółko, niczym zacięta płyta.

Odbija ci, pomyślałem.

Obiecałem jej jednak.

Bez względu na to, jak bardzo to było przerażające, dzisiaj bałem się jeszcze bardziej. Patrząc na Ruth, w końcu dostrzegłem dokąd to wszystko zmierzało. Jasno i wyraźnie ujrzałem śmierć Meg.

Nie wiem, jak długo stałem na ganku.

Jednak wystarczająco długo, aby usłyszeć, jak krzak dzikiej róży, poruszany łagodnym wiatrem, ociera się o dom. Aby usłyszeć rechot żab w pobliskim potoku i ćwierkanie świerszczy w lesie. Wystarczająco długo, aby moje oczy zdążyły przywyknąć już do ciemności i do nocnych pogawędek żab i świerszczy, które mnie uspokajały. Tak więc po chwili czułem nie tyle przerażenie, które ogarnęło mnie na początku, co podniecenie. Podniecenie, że w końcu coś robię. Coś dla Meg i dla samego siebie, coś, czego nikt, kogo znam, nigdy nie zrobił. Myślenie o tym mi pomagało. Myślenie o każdej sekundzie rzeczywistości tego, co robiłem. Myśląc w ten sposób, sprawiałem, że była to w pewnym stopniu gra. Włamywałem się w środku nocy do domu, w którym wszyscy spali. To wszystko. Nie było tam nikogo groźnego. Nie było Ruth. Nie było Chandlerów. Zwykli ludzie. Ja byłem włamywaczem. Opanowanym, ostrożnym, skradającym się włamywaczem. Nikt mnie nie złapie. Ani dzisiaj, ani nigdy.

Otworzyłem zewnętrzne drzwi.

Zazgrzytały lekko.

Otwarcie kolejnych nie było już tak prostą sprawą. Drzewo przeszło wilgocią. Przekręciłem klamkę, palce położyłem na ościeżnicy, kciuk na drzwiach. Pchnąłem je lekko, delikatnie.

Zaskrzypiały.

Pchnąłem jeszcze raz, mocniej i bardziej miarowo. Chwyciłem silnie za klamkę, lekko się przy tym odchylając, aby w momencie otwierania, drzwi nie zadrgały i nie trzasnęły.

Zaskrzypiały jeszcze bardziej.

Byłem przekonany, że usłyszeli mnie w całym domu.

Wciąż mogłem uciec, gdybym musiał. Ta myśl mnie pocieszała.

Nagle drzwi się otworzyły. Wydały przy tym mniej hałasu niż pierwsza para drzwi.

Nasłuchiwałem.

Wszedłem na podest.

Włączyłem kieszonkową latarkę. Schody zagracone były szmatami, mopami, szczotkami, wiadrami. Rzeczami, których Ruth używała do sprzątania, oraz słojami gwoździ, puszkami farb i rozcieńczalnikami. Na całe szczęście większość z nich stała po jednej stronie schodów, naprzeciw ściany. Wiedziałem, że schody były bardziej stabilne i mniej skrzypiały po stronie ściany wspartej podporą. Jeżeli miałbym wpaść, to właśnie tutaj, gdzie najłatwiej było o hałas. Zacząłem ostrożnie schodzić w czeluść piwnicy.

Po każdym stopniu robiłem przerwę i nasłuchiwałem. Chciałem, by kroki nie miały określonego rytmu.

Jednak każdy ze stopni musiał zaskrzypieć.

Trwało to wieczność.

Kiedy w końcu dotarłem na sam dół, serce waliło mi jak oszalałe. Nie mogłem uwierzyć, że nikt mnie nie usłyszał.

Zbliżyłem się do drzwi schronu.

Piwnicę wypełniał zapach wilgoci, pleśni i prania oraz czegoś, co przypominało zapach rozlanego zsiadłego mleka.

Odsunąłem rygiel tak cicho i spokojnie, jak tylko to było możliwe.

Metal zazgrzytał, równie głośno jak drewniane wejście.

Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka.

Dokładnie w tamtej chwili uświadomiłem sobie, dlaczego się tam znalazłem i co zamierzałem zrobić.

Meg siedziała w kącie na dmuchanym materacu, oparta plecami o ścianę. Czekwała. W cienkim promyku światła dostrzegłem, jak bardzo była przerażona oraz jak cholernie ciężki miała za sobą dzień. Do ubrania dała jej jedynie starą pomiętą koszulę. Nie miała na sobie nic więcej.

Na jej nogach widać było ślady po nożu Williego.

Miała krwawe linie i zadrapania skrzyżowane na wysokości ud, wzdłuż łydek. Sięgały kostek.

Na koszuli była również krew. Głównie zaschnięta krew, lecz nie zawsze. Miejscami nadal z niej ściekała.

Podniosła się.

Podeszła do mnie i na jej skroni dostrzegłem świeży siniec.

Pomimo tych wszystkich obrażeń, nadal wyglądała na mocną i gotową.

Zaczęła coś do mnie mówić, lecz przyłożyłem palec do ust, uciszając ją.

– Rygiel w drzwiach od schronu i te z tyłu domu zostawię otwarte – wyszeptalem. – Pomyślą że o nich zapomnieli. Daj mi z pół godziny. Na schodach trzymaj się strony przy ścianie i nie biegnij. Donny jest szybki, dorwałby cię – tłumaczyłem jak nauczyciel w szkole.

Sięgnąłem ręką do kieszeni i podałem jej pieniądze. Spojrzała na nie. Następnie potrząsnęła głową.

– Lepiej nie – wyszeptała. – Jeśli coś pójdzie nie tak i je przy mnie znajdą to wtedy będą wiedzieli, że ktoś tutaj był. Nie będzie drugiej okazji. Zostaw to dla mnie... – zamyśliła się na chwilę. – Zostaw to dla mnie przy Wielkiej Skale. Połóż jakiś kamień czy coś. Znajdę je, nie martw się.

– Dokąd pójdziesz? – zapytałem.

– Nie wiem. Jeszcze nie wiem. Może z powrotem do pana Jenningsa. Gdzieś niezbyt daleko. Chcę być blisko Susan. Znajdę sposób, by dać ci znać, tak szybko jak będzie to możliwe.

– Chcesz latarkę?

Ponownie potrząsnęła głową

– Znam te schody na pamięć. Zatrzymaj ją. Idź przodem. Idź już. Zmiataj stąd.

Odwrociłem się, by odejść.

– Davidzie?

Skręciłem głowę ponownie i nagle stała przy mnie, wyciągając dłoń. W jej oczach ujrzałem jasny błysk łez, tuż zanim je zamknęła i pocałowała mnie.

Jej usta były zniszczone, spierzchnięte i popękane.

To była najdelikatniejsza, najpiękniejsza rzecz, jaka mnie kiedykolwiek spotkała, jakiej kiedykolwiek doznałem.

Poczułem na sobie potok własnych łez.

– Boże! Przepraszam, Meg. Przepraszam.

Ledwo to z siebie wyrzuciłem. Jedyne co byłem w stanie zrobić, to stać tam, potrząsać głową i prosić ją o wybaczenie.

– Davidzie – powiedziała. – Davidzie. Dziękuję ci. To jak postąpiłeś na końcu... To się liczy.

Spojrzałem na nią. Poczułem się, jakbym ją wchłaniał, jakbym w jakiś sposób stawał się nią. Przetarłem oczy, przetarłem twarz.

Skinąłem głową i odwróciłem się, by odejść.

Nagle naszła mnie myśl.

– Zaczekaj – powiedziałem.

Wyszedłem ze schronu i oświetliłem ściany promieniami latarki. Znalazłem to, czego szukałem. Ściągnąłem z gwoździ łyżkę do opon, wróciłem i podałem jej.

– Na wszelki wypadek – powiedziałem zapobiegawczo.

Skinęła głową.

– Powodzenia, Meg.

Cicho zamknąłem za sobą drzwi.

Ponownie znalazłem się pośród tej ciszy. Irytującej ciszy śpiącego domu. Przemieszczałem się powoli po schodach w stronę drzwi, gdzie przeciwko każdemu mojemu stąpieniu, przemawiały skrzypiące łóżka i szelest gałęzi.

W końcu wyszedłem.

Wybiegłem przez ogródek na podjazd, następnie przebiegłem przez tył mojego domu wprost do lasu. Była pełnia, jednak i tak znałem ścieżkę na pamięć, bez pomocy księżyca. Słyszałem spływającą wodę w rzece.

Przystanąłem przy Skale i zszedłem ostrożnie na skarpę, by nazbierać parę kamieni. Powierzchnia wody lśniła w świetle księżyca, roztrzaskując się o kamienie. Wszedłem na Skalę i sięgnąłem ręką do kieszeni. Wyciągnąłem zwitek banknotów i położyłem je na ziemi, przykrywając starannie piramidą z kamieni.

Na skarpie spojrzałem za siebie.

Pieniądze i kamienie wyglądały jak pogańska ofiara złożona bogom.

Przedzierając się przez intensywny zapach zielonych liści, pobiegłem do domu.

Rozdział 39

Usiadłem na łóżku i wsłuchiwałem się w dźwięki mojego śpiącego domostwa. Myślałem, że nie będę w stanie zasnąć, jednak nie wziąłem pod uwagę napięcia i wyczerpania. Usnąłem tuż po świcie, wtulając się w przesiąkniętą potem poduszkę.

Spałem marnie, spałem do późna.

Spojrzałem na zegar, który wskazywał już prawie południe. Wskoczyłem w ubranie i zbiegłem na dół. Pospiesznie zjadłem obowiązkową miskę płatków, ponieważ mama stała nade mną prawiąc kazanie o ludziach, którzy późno wstają i o tym, kim później się przez to stają w dorosłym życiu. Głównie przestępcami i bezrobotnymi. Wybiegłem z domu wprost na parne, sierpniowe słońce.

Nie było mowy, abym udał się od razu do Chandlerów. Co, jeśli wiedzieli, że to ja?

Pobiegłem przez las do Skąty.

Malutka piramida, którą tam zrobiłem z kamieni oraz pieniądze, nie została ruszona.

W świetle dziennym nie wyglądała już jak ofiara. Wyglądała jak psia kupa na stercie liści. Leżała tam, szydząc ze mnie.

Wiedziałem, co to oznaczało. Nie uciekła.

Złapali ją.

Nadal tam była.

Owładnęło mną to okropne uczucie w brzuchu, po którym płatki śniadaniowe omal nie wy dostały się na zewnątrz. Co, jeśli zdecydowali, że to ja odsunąłem rygiel w drzwiach? Co, jeśli zrobili coś Meg, by zmusić ją do mówienia?

Co miałem teraz zrobić?

Wyjechać z miasta?

Możesz iść na gliny, pomyślałem. Możesz iść po pana Jenningsa.

Ale wtedy pomyślałem, świetnie, i co mam mu niby powiedzieć? Że Ruth od kilku miesięcy torturuje Meg i że o tym wszystkim wiedziałem, ponieważ jakby jej w tym pomagałem?

Widziałem zbyt wiele programów o policji, by nie wiedzieć, czym był współudział.

Znałem pewnego dzieciaka, kolegę mojego kuzyna z West Orange, który odsiedział prawie rok w poprawczaku za to, że upił się piwem i ukradł auto sąsiadom. Z tego co mówił,

mogą cię tam pobić, nafaszerować prochami lub wsadzić w kaftan, jeśli tylko będą mieli na to ochotę. A wypuszczą cię, też kiedy będą mieli na to ochotę.

Musi być jakiś inny sposób, pomyślałem.

Tak jak powiedziała Meg odnośnie pieniędzy. Możemy spróbować ponownie. Tym razem by nam się udało.

Zakładając, że jeszcze o mnie nie wiedzieli.

Był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Podszedłem do Skały, podniosłem z ziemi pieniądze i schowałem je do kieszeni.

Następnie wziąłem naprawdę głęboki wdech.

Poszedłem do nich.

Rozdział 40

Przy drzwiach spotkałem Williego. Od razu stało się dla mnie jasne, że nawet jeśli wiedzieli lub coś podejrzewali, akurat jego głowę zaprzętały inne, pilniejsze sprawy.

– Wchodź – powiedział.

Sprawiał wrażenie wymizerowanego i zmęczonego, a mimo to podnieconego, co sprawiało, że wyglądał przez to jeszcze brzydziej niż kiedykolwiek wcześniej. Widać było po nim, że się nie mył. Jego cuchnący oddech musiał odstraszać nawet jego samego.

– Zamknij za sobą drzwi.

Zamknąłem.

Zeszliśmy na dół.

Była tam Ruth, siedziała na swoim rozkładanym krześle. Był też Woofers, Eddie i Denise, którzy przysiedli na stole. Susan, szlochając cicho, usiadła posłusznie obok Ruth.

Każde z nich siedziało w milczeniu, patrząc jak na zimnej, wilgotnej, betonowej podłodze Donny leżał na Meg, z opuszczonymi do kostek spodniami. Stękał i gwałcił ją, jej nagie ciało. Ręce i nogi miała przywiązane do belek.

Ruth w końcu zmieniła zdanie na temat dotykania.

Zrobiło mi się niedobrze.

Odwrociłem się, by stamtąd uciec.

– Nic z tego – powiedział Willie. – Zostajesz.

Nóż w jego dłoni oraz wyraz oczu wtórowały jego słowom. Zostałem.

Wszyscy byli tak cicho, że można było usłyszeć dwie bzyczące pod sufitem muchy.

To było niczym chory, zły sen. Więc zrobiłem to, co we snach się robi. Biernie obserwowałem rozwój wypadków.

Donny przykrywał ją sobą niemal całkowicie. Widziałem tylko dolną część jej ciała, nogi i uda. Albo od wczoraj zostały mocno posiniaczone albo były bardzo brudne. Podeszwy jej stóp były czarne.

Niemal czułem jego ciężar na jej ciele, napierający na nią przyciskający ją do twardej, szorstkiej podłogi. W ustach miała knebel, jednak na oczach nie było przepaski. Zza knebla słyszałem jej ból oraz jej bezsilny gniew.

Nagle Donny wydał z siebie jęk, wygiął się i złapał ją za jej poparzone piersi, po czym powoli z niej zszedł.

Obok mnie Willie odetchnął z wyraźną ulgą.

– No proszę – powiedziała Ruth, kiwając głową. – Oto w czym jesteś dobra.

Denise i Woofers zachichotali.

Donny podciągnął spodnie. Zapiął je. Zerknął na mnie, jednak nie spojrzał mi w oczy. Nie winiłem go za to. Ja też bym pewnie nie spojrzał w jego.

– Pewnie złapałeś teraz rzeźączkę – stwierdziła Ruth. – Nieważne. Mają już na to lekarstwo.

Nagle Susan wybuchła płaczem.

– Mamuuuusiu!

Siedziała na krześle, kołysząc się w przód i w tył.

– Ja chcę do mamusi!!!!!!

– Zamknij ryj! – warknął Woofers.

– Właśnie – wtórował mu Eddie.

– Zamknij, kurwa, ryj! – rozkazała Ruth. – Zamknij się!

Kopnęła w krzesło. Cofnęła się i ponownie je kopnęła, sprawiając że Susan upadła na ziemię. Leżała tam, krzycząc i drapiąc o podłogę aparatem ortopedycznym.

– Leż tam! – rozkazała Ruth. – Leż tam i ani drgnij! Leż, gdzie jesteś. – Rozejrzała się, spoglądając na nas. Kto następny? – zapytała. – Davy? Eddie? Który ma ochotę?

– Ja – odezwał się Willie.

Ruth spojrzała na niego.

– No nie wiem – zaczęła się wahać. – Dopiero co miał ją twój brat. To mi zalatuje kazirodztwem. Sama nie wiem.

– Wcale nie, mamu! – prosił Willie.

– Wierz mi, że tak. Nie, żeby tej małej kurwie sprawiało to jakąś różnicę. Jednak czułabym się o wiele lepiej, gdyby to był Eddie albo Davy.

– Na litość boską Davy jej nie chce!

– Ależ oczywiście, że chce.

– Wcale, że nie!

Spojrzała na mnie. Odwróciłem wzrok.

Wzruszyła ramionami.

– A może i nie chce. To wrażliwy chłopiec. Ja na jego miejscu też bym jej nie tknęła. Jednak ja nie jestem mężczyzną czyż nie Eddie?

– Chcę ją pociąć – odparł się Eddie.

– Ja też! – odezwał się Woofers.

– Pociąć ją? – Ruth wyglądała na zaintrygowaną.

– Pani Chandler, powiedziała pani, że będziemy mogli ją pociąć – odezwała się Denise.

– Tak powiedziałam?

– Tak było – potwierdził Woofier.

– Kiedy tak powiedziałam? Jak chcesz to zrobić?

– Hej. Przestańcie w końcu, ja chcę ją zerznąć! – odezwał się Willie.

– Zamknij mordę! – uciszyła go Ruth. – Rozmawiam z Ralphiem. Jak chcesz to zrobić?

– Naznaczyć ją – odpowiedział Ralphie. – Tak, żeby ludzie wiedzieli. Żeby wiedzieli, że jest kurwą.

– Dokładnie tak. Niczym szkarłatną literę czy coś – powiedziała Denise. – Jak w komiksie.

– Chcesz jej wyciąć znak – powiedziała Ruth. – Chcesz ją naznaczyć, nie pociąć.

– Powiedziałaś pociąć – upierał się Woofier.

– Nie mów mi, co powiedziałam. Nie waż się tak mówić do matki!

– Tak właśnie pani powiedziała, pani Chandler – odezwał się Eddie. – Naprawdę. Powiedziała pani „pociąć ją”.

– Tak powiedziałam?

– Ja to słyszałem. Wszyscy to słyszeliśmy.

Ruth przytaknęła głową. Myślała o tym. Następnie westchnęła.

– Niech będzie. Będzie nam potrzebna igła, Ralphie. Idź na górę i przynieś mój zestaw do szycia, jest w... Wydaje mi się, że jest w szafie w przedpokoju.

– Dobrze.

Woofier przebiegł obok mnie.

Nie mogłem uwierzyć, że to się działo naprawdę.

– Ruth – zawołałem. – Ruth?

Spojrzała na mnie. Jej oczy jakby zadrżały, zatrzęśły się.

– Co.

– Nie zrobisz tego, prawda?

– Dzieci twierdzą że się zgodziłam. Więc czemu nie?

Nachyliła się blisko mnie. Czulem odór papierosów wyciekający z każdego poru jej skóry.

– Wiesz, co ta suka próbowała zrobić w nocy? – powiedziała. – Próbowała zwać. Ktoś zostawił otwarte drzwi. To pewnie był Donny, ponieważ to on był tutaj wczoraj jako ostatni, a poza tym ślinił się na nią. Ślinił się od zawsze. Więc w końcu pozwoliłam mu ją dotknąć. Jak już raz posmakujesz kobiety, to nie chcesz jej więcej. Teraz już mu przeszło. Ludzie powinni zobaczyć, przekonać się, kim ona jest. Nie sądzisz?

– Mamo – zajęczał Willie.

– Czego.

– Dlaczego nie mogę?

– Czego nie możesz?

– Wyruchać jej!

– Ponieważ tak, do kurwy nędzy, powiedziałam! To kazirodztwo! Nie męcz mnie już. Chcesz się babrać w gównie po twoim bracie? Tego właśnie chcesz? Nie wspominaj o tym więcej. Jesteś chory! Zupełnie jak twój zasrany ojciec.

– Ruth – prosiłem. – Nie... nie możesz tego zrobić.

– Nie mogę?

– Nie.

– Ach tak? A to niby dlaczego?

– Bo... bo tak nie wolno.

Wstała z krzesła. Podeszła do mnie i musiałem na nią spojrzeć. Musiałem jej spojrzeć prosto w oczy.

– Nie waż się mi chłopcze mówić, co mi wolno a czego nie – powiedziała głosem przypominającym niski, drżący pomruk.

Wiedziałem, że dygocze z wściekłości i ledwo nad sobą panuje. Jej oczy płonęły żywym ogniem. Zrobiłem krok w tył. Boże, pomyślałem, kiedyś naprawdę lubiłem tę kobietę. Sądziłem, że jest zabawna, być może nawet ładna. Myliłem się.

Ta kobieta przerażała mnie na śmierć. Byłem pewny, że mnie zabije. Pozabija nas wszystkich, łącznie z jej własnymi dziećmi i nawet się tym nie przejmie.

Jeśli tylko będzie miała na to ochotę.

– Nie waż się – wycedziła.

Wiedziała, o czym wtedy myślałem. Przejrzała mnie na wskroś.

Odwróciła się do Williego.

– Jeżeli spróbuje wyjść – powiedziała – odetnij mu jaja i zawieś je na ścianie. Zrozumiałeś?

Willie odwzajemnił jej uśmiech.

– Tak, mamó.

Woofier wbiegł do pokoju, trzymając w dłoniach zniszczone tekturowe pudełko po butach. Wręczył je Ruth.

– Nie było go tam – stwierdził.

– Co?

– Nie było go w szafie. Stał w sypialni na toaletce.

– Aha.

Otworzyła je. Przed oczami mignął mi stos igieł i kłębków nici, poduszki na szpilki oraz guziki. Postawiła pudełko na stole i zaczęła w nim grzebać.

Eddie zszedł ze stołu, ustępując miejsca i stanął za nią przyglądając się przez ramię jej poczynaniom.

– Jest – powiedziała. Odwróciła się do Woofera.

– Musimy ją podgrzać, inaczej wda się zakażenie.

W rękę trzymała długą grubą igłę do szycia.

Piwnica wypełniła się szczerze wszechobecnym napięciem. Spojrzałem na igłę, a następnie na Meg, leżącą na podłodze. Patrzyła z przerażeniem, tak samo jak Susan.

– Które z nas to zrobi? – zapytał Eddie.

– Żeby było sprawiedliwie, myślę, że każdemu z was przypadnie po literce. To chyba uczciwe?

– Świetnie! Co napiszemy?

Ruth zastanawiała się przez chwilę.

– Coś prostego. Co powiecie na „zerznij mnie”? To będzie do niej pasować.

– Rzeczywiście – odpowiedziała Denise. – To idealnie do niej pasuje.

W tamtej chwili w moich oczach wyglądała zupełnie jak Ruth. Ten sam niespokojny błysk w oku, to samo nerwowe wyczekiwanie.

– No, no – zamyślił się Woofer. – To całkiem sporo liter. Przypada prawie po dwie na każdego.

Ruth skinęła głową.

– W sumie – stwierdziła – jeśli David nie chce się bawić, a podejrzewam, że tak właśnie będzie, to możecie wyciąć po dwie, a mnie przypadnie ostatnia. Masz coś przeciwko, Davidzie?

Potrząsnąłem głową.

– Tak właśnie myślałam – uśmiechnęła się Ruth. Nie zadrwiła jednak ze mnie ani nie była też z tego powodu zła.

– Ruth? – odezwałem się. – Ruth!

Willie stanął bliżej mnie, zataczając nożem powolne kółka, tuż pod moim policzkiem. Napędził mi strachu, ponieważ można się było po nim wszystkiego spodziewać. Spojrzałem na Eddiego i zobaczyłem, jak bawi się swoim szwajcarskim nożem. Jego oczy były zimne i martwe, zanim zdążyłem w nie nawet spojrzeć. Spojrzałem na Donny’ego. To był inny Donny. Od niego również nie otrzymałem pomocy.

Ruth odwróciła się do mnie, nadal spokojna, opanowana i jakby zmęczona. Przemówiła. Zupełnie jak gdyby starała się powiedzieć mi coś, o czym powinienem był wiedzieć od dawna, dla mojego własnego dobra. Zachowywała się, jakby robiła dla mnie coś naprawdę dobrego. Jakbym był jej ulubieńcem, spośród wszystkich tam obecnych.

– Davidzie – powiedziała. – Uwierz mi. Tak po prostu musi być.

– W takim razie, chcę stąd wyjść – powiedziałem. – Chcę stąd wyjść.

– Nie.

– Nie chcę tego oglądać.

– To nie patrz.

Zamierzali jej to zrobić. Woofer miał zapalki.

Podgrzewał igłę.

Powstrzymałem łzy.

– Nie chcę też tego słyszeć.

– To twój problem – podsumowała Ruth. – Jeżeli nie masz w uszach wosku, to nasłuchasz się jej i to porządnie.

I tak było.

Rozdział 41

Po wszystkim, kiedy skończyli oczyszczać jej rany, podszedłem do niej, aby zobaczyć krzywdę, jaką jej wyrządzili. Nie tylko przed chwilą ale także ubiegłej nocy oraz rano.

Po raz pierwszy, tamtego poranka, znalazłem się blisko niej.

Wyjęli jej knebel, gdy już skończyli, wiedząc, że była zbyt słaba, żeby cokolwiek powiedzieć. Usta miała nabrzmiąte i spuchnięte. Jedno oko zamknięte, całe czerwono-fioletowe. Zauważyłem również trzy lub cztery świeże oparzenia na jej piersi i obojczyku oraz jedno na wewnętrznej stronie uda. Trójkątne oparzenie po żelazku zamieniło się teraz w otwarty pęcherz. Miała posiniaczone żebra, ramiona oraz łydki i uda, w miejscach, gdzie dzień wcześniej pociął ją Willie.

Były jeszcze słowa.

ZERŹNIJ MNIE.

Pięciocentymetrowej wielkości. Duże litery. Wzdłuż jej brzucha, w połowie wypalone, a w połowie wycięte do mięsa.

Zapisane jakby drżącą niepewną ręką sześciolatniego chłopczyka.

– Teraz już nie wyjdiesz za mąż – powiedziała Ruth.

Ponownie siedziała na swoim krześle, paląc, trzymając się za kolana i kołysząc się do tyłu i z powrotem. Willie i Eddie poszli na górę po colę. Piwnica przesiąknięta była smrodem dymu, potu i alkoholu.

– Już zawsze będziesz to na sobie miała, Meggy – powiedziała. – Nie będziesz mogła się rozebrać. Dla nikogo. Nigdy. Inaczej każdy zobaczy te słowa.

Spojrzałem i uświadomiłem sobie, że mówiła prawdę.

Ruth odmieniła ją.

Odmieniła ją na zawsze.

Oparzenia i sińce w końcu znikną ale to zostanie na zawsze. Będzie widoczne, nawet jeśli przyblaknie, nawet za trzydzieści lat. Zawsze, kiedy stanie przed kimś naga, będzie musiała o tym myśleć i się z tego tłumaczyć. Zobaczy to za każdym razem, kiedy spojrzy w lustro i nigdy o tym nie zapomni.

Od tego roku w szkole, po zajęciach WF-u, każdy miał brać obowiązkowy prysznic. Jak miała to niby robić w pomieszczeniu pełnym nastoletnich dziewczyn?

Ruth się tym nie martwiła. Zupełnie jakby Meg była teraz jej protegowaną.

– Tak będzie dla ciebie lepiej – powiedziała. – Zobaczysz. Żaden facet cię nie zechce. Nie będziesz miała dzieci. Zobaczysz, będziesz miała o niebo lepiej. Szczęściara z ciebie. Wydawało ci się, że fajnie być ślicznotką? Że fajnie być sexy? Powiem ci coś, Meggy. Na tym świecie brzydkie kobiety mają lepiej, uwierz mi.

Eddie z Williem wrócili, śmiejąc się. Przynieśli ze sobą sześciopak coli. Rozdali wszystkim. Wziąłem butelkę i trzymałem ją w dłoniach, starając się jej nie upuścić. W piwnicy rozniosła się słaba, mdląca, słodka woń karmelu. Wiedziałem, że zwymiotuję po jednym łyku. Próbowałem się od tego powstrzymać, odkąd tam przyszedłem.

Donny nie wziął butelki. Po prostu stał przy Meg, spoglądając w dół.

– Masz rację, mamó – powiedział po chwili. – To zmienia postać rzeczy. Znaczy, to co napisaliśmy. To dziwne.

Starał się to rozgryźć. W końcu mu się udało.

– Już nie jest taka śliczna – stwierdził.

Wydawał się nieco zaskoczony, a nawet szczęśliwy z tego powodu.

Ruth uśmiechnęła się lekko.

– A nie mówiłam! – rzuciła jak nauczyciel po udanym doświadczeniu.

Eddie roześmiał się, podszedł do Meg i kopnął ją w zębra. Ta z trudem stęknęła z bólu.

– Wcale. Nic, a nic – powiedział.

– Jest zerem – przemówiła Denise, a następnie pociągnęła z butelki.

Eddie, na znak solidarności z siostrą ponownie kopnął Meg, tym razem mocniej.

Niech ktoś mnie stąd zabierze, pomyślałem.

Błagam, pozwólcie mi wyjść.

– Myślę, że powinniśmy ją ponownie powiesić – rozkazała Ruth.

– Niech leży – powiedział Willie.

– Na podłodze jest zimno. Nie chcemy przecież, żeby dostała kataru i nas tutaj zasmarkała. Podnieście ją niech jej się przyjrzę.

Eddie uwolnił jej nogi, a Donny odwiązał jej ręce od belek, nadal zostawiając je jednak związane z przodu. Przerzucił sznur nad gwoździem w suficie.

Meg spojrzała na mnie. Było po niej widać, jak bardzo była słaba. Nie miała nawet siły, by płakać. Jedynie smutne, przegrane spojrzenie, mówiące „widzisz, co ze mną zrobili”?

Donny naciągnął sznur, unosząc jej ręce nad głowę. Przywiązał sznur do stołu, pozostawiając jednak tym razem trochę luzu. Zrobił to byle jak, co nie było do niego podobne. Zupełnie jakby mu już nie zależało. Jakby nie była warta, by się starać.

Coś się zmieniło.

Zupełnie jakby wraz z wycięciem liter na jej ciele przestała ich pociągać, przestała wywoływać u nich strach, pożądanie czy nienawiść. Pozostało jedynie ciało. Słabe. Zaslugujące na pogardę.

Ruth siedziała, przyglądając się jej, tak jak malarz przygląda się płótnu.

– Pozostała nam jeszcze jedna rzecz do zrobienia – podsumowała.

– Co takiego? – zapytał Donny.

Ruth zastanawiała się przez chwilę.

– Cóż – zaczęła – żaden mężczyzna jej teraz nie zechce. Problem w tym, że Meg może nadal chcieć ich. – Potrząsnęła głową. – Udreka, nie życie. Mówię wam.

– No i?

Zastanawiała się. Obserwowaliśmy ją.

– Powiem wam, co zrobimy – przemówiła w końcu. – Donny idź na górę, do kuchni i przynieś stamtąd parę gazet. Cały stos gazet. Wsadź je potem do zlewu za nami.

– Dlaczego gazety? Po co nam one?

– Będziemy jej czytać? – zapytała Denise. Wybuchnęła śmiechem.

– Po prostu to zrób – rzuciła Ruth w stronę Donny'ego.

Poszedł na górę i przyniósł gazety. Wrzucił je do zlewu przy pralce.

Ruth wstała z krzesła.

– W porządku. Kto ma zapaliki? Mnie się skończyły.

– Ja mam – odezwał się Eddie.

Podał jej.

Stała i podniosła z ziemi łyżkę do opon, którą dałem Meg zeszłej nocy.

Zastanawiałem się, czy miała okazję jej użyć.

– Masz, weź to – powiedziała Ruth, podając narzędzie Eddiemu. – No, śmiało.

Reszta odstawiła butelki z colą na bok i przeszła obok mnie. Wszyscy chcieli zobaczyć, co chodziło Ruth po głowie. Wszyscy, z wyjątkiem mnie i Susan. Susan jednak siedziała na podłodze, tam gdzie Ruth jej kazała, a ja stałem nieruchomo z nożem przy klatce piersiowej.

Więc również poszedłem.

– Zwińcie je – powiedziała Ruth.

Spojrzeli na nią.

– Gazety – wytłumaczyła. – Zwińcie je ciasno i porządnie. Następnie wsadźcie je z powrotem do zlewu.

Woofler, Eddie, Denise i Donny zrobili to, co im kazała. Ruth zapaliła papierosa zapalnikami Eddiego. Willie cały czas stał za mną.

Rzuciłem okiem w stronę schodów, oddalonych ode mnie tylko o kilka metrów.

Kusiły mnie.

– Ułóżcie je ciasno obok siebie – powiedziała Ruth.

Wsadzili je do zlewu.

– A teraz słuchajcie – zaczęła Ruth. – Kobieta nie pragnie mężczyzny całym ciałem. Nie. Kobieta chce go mieć wyłącznie w jednym miejscu. Wiesz, co mam na myśli, Denise? Nie?

Jeszcze nie? Dowiesz się. Kobieta chce go mieć w jednym szczególnym miejscu. Na dole, pomiędzy nogami.

Wskazała, a następnie przycisnęła dłoń do swojej sukienki, by im pokazać. Przestali zwijać gazety.

– Jeden maleńki punkcik – powiedziała. – A teraz. Co się stanie, kiedy pozbędziemy się tego punkciku? Pozbawimy ją całkowicie pożądaną. Naprawdę. Pozbawicie ją tego na zawsze. Tak to właśnie działa. W innych krajach na okrągło tak robią kiedy dziewczyna osiąga pewien wiek. Jakby to była normalna rzecz. Dzięki temu nie zbłądzi. W miejscach takich jak, sama nie wiem, Afryka i Arabia, i Nowa Gwinea. Tam uważane jest to za powszechny zwyczaj. Więc tak sobie myślę, dlaczego nie tutaj? Po prostu pozbędziemy się tego maleńkiego punkciku. Wypalimy go. Wypalimy go z niej. Użyjemy żelaza. Wtedy będzie... idealna.

W piwnicy zapanowała cisza, wszyscy stali wpatrując się w nią przez chwilę, nie do końca wierząc swoim uszom.

Ja jej uwierzyłem.

Zawładnęło mną uczucie, które starałem się zrozumieć od kilku dni.

Zacząłem się trząść, zupełnie jakbym stał nagi na mroźnym, zimowym wietrze. Ponieważ to zobaczyłem i poczułem. Usłyszałem jej krzyki. Ujrzałem przyszłość Meg, ujrzałem swoją przyszłość. Realne konsekwencje tego czynu.

Wiedziałem, że tylko ja to poczułem.

Inni nie. Nawet Ruth, pomimo swojej impulsywności, która zamieniła ją w więziennego klawisza, pomimo pomysłowości, z jaką przysparzała Meg bólu, pomimo całej jej gadki o tym, co by było, gdyby nadal pracowała i nie spotkała Williego Seniora, nie wyszła za mąż i nigdy nie miała dzieci. Inni nie mieli wyobraźni.

Żadnej. Jakiegokolwiek. Nie mieli pojęcia.

Spośród wszystkich ludzi, właśnie oni, właśnie w tej chwili, byli ślepi i bezmyślni.

Dlatego drżałem. Miałem ku temu powód. Rozumiałem powagę sytuacji.

Zostałem pojmany przez dzikusów. Żyłem pomiędzy nimi. Byłem jednym z nich.

Nie. Nie dzikusów. Nie do końca.

Byli czymś dużo gorszym.

Przypominali bardziej sforę psów lub kotów albo rój morderczych, czerwonych mrówek, którymi Woofler lubił się bawić.

Byli jak kilka różnych gatunków zwierząt w jednym. Istotami rozumnymi, które tylko z pozoru przypominały ludzi, jednak nie miały dostępu do ludzkich uczuć.

Stałem pośród nich, przytłoczony odmiennością.

Przytłoczony złem.

Rzuciłem się w stronę schodów.

Usłyszałem, jak Willie przeklina i poczułem, jak jego nóż rozcina tył mojej koszuli. Chwyciłem się drewnianej poręczy i wskoczyłem na schody.

Potknąłem się. Na dole stała Ruth, wskazując na mnie palcem i wrzeszcząc. W miejscu ust miała olbrzymią czarną pustą i rozdziawioną dziurę. Poczułem, jak Willie chwytła mnie za nogę i ciągnie w dół. Obok mnie stały puszki farby i wiadro. Zrzuciłem je na schody za mną i usłyszałem, jak Willie ponownie przeklina mnie, tak samo jak Eddie, kiedy szarpnięciem uwolniłem nogę. Podniosłem się. Na oślep biegłem na górę.

Drzwi były otwarte. Wybiegłem, otwierając je gwałtownie.

Uderzyła mnie potężna fala gorącego lata. Nie byłem w stanie krzyknąć. Z trudem łapałem powietrze. Słyszałem ich w tyle, tuż za mną. Zeskoczyłem z ganka.

– Za nim! – krzyknął Donny.

Nagle właśnie znalazł się obok mnie, z rozpędu skacząc z ganka, powalając mnie na ziemię i pozbawiając tchu. Byłem od niego szybszy. Podniosłem się. Zobaczyłem, że Willie blokuje mi ucieczkę do mojego domu. Zobaczyłem błysk ostrza. Nie podjąłem próby.

Przebiegłem przez ogródek, obok Donny'ego, który próbował mnie jeszcze dosięgnąć dłońmi, zmierzając w stronę lasu.

Byłem w połowie drogi, kiedy Eddie dogonił mnie, rzucił się na mnie od tyłu, chwytając za nogi. Upadłem i nagle przygniótł mnie, jednocześnie okładając pięściami, kopiąc, próbując wydlubać mi oczy. Przetoczyłem się i przekręciłem. Ciężyłem mu. Zrzuciłem go. Chwycił mnie za koszulę. Wyrwałem się, rozrywając materiał. Znowu się potknąłem, wtedy dopadł mnie Donny, a następnie Willie i dopiero kiedy poczułem na gardle ostrze jego noża, poczułem cięcie, przestałem się wrywać.

– Do środka, pizdo! – rozkazał. – I nie waż się, kurwa, odezwać!

Zabrali mnie z powrotem do piwnicy.

Przeżywałem katusze, spoglądając na okna moich rodziców. Spoglądałem na dom, wypatrując oznak życia. Zostałem jedynie pustką.

Weszliśmy po schodkach na ganek, a następnie w dół, do zimnej, pachnącej farbą ciemności.

Położyłem dłoń na gardle. Palce miałem pobrudzone krwią.

Ruth stała na dole ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

– Ty durniu – rzuciła. – Gdzie się niby wybierałeś?

Nie odpowiedziałem.

– Teraz do niej dołączysz – powiedziała. – Nie masz, kurwa, pojęcia, co teraz z wami zrobimy.

Potrząsnęła głową i roześmiała się.

– Ciesz się, że nie masz małego punkciku, jak ona. Oczywiście, masz jednak coś innego, czym powinieneś się martwić.

Denise wybuchnęła śmiechem.

– Przynieś sznur, Willie. Lepiej będzie, jak go zwiążemy, na wypadek gdyby znowu zachciało mu się wędrówek.

Willie poszedł do schronu. Po chwili wrócił z krótkim sznurem i podał Donny'emu nóż. Donny trzymał go, podczas gdy Willie wiązał mi ręce z tyłu.

Wszyscy przyglądali się temu. Czekali.

Tym razem Donny nie miał żadnych problemów ze spojrzeniem mi w oczy.

Kiedy skończyli, Ruth zwróciła się do Woofera, wręczając mu zapalki.

– Ralphie? Chcesz czynić honory?

Woofier uśmiechnął się, zapalił zapalkę i pochylił się nad zlewem. Wyciągnął rękę i podpalił jeden z rogów zwiniętej gazety. Następnie podpalił kolejny róg.

Odsunął się. Gazeta zaczęła płonąć.

– Zawsze lubiłeś bawić się ogniem – stwierdziła Ruth. Zwróciła się do reszty. Westchnęła.

– Kto chce to teraz zrobić?

– Ja chcę – zgłosił się Eddie.

Spojrzała na niego, nieznacznie się uśmiechając, grymasem, który, jak mi się wydawało, nie tak dawno temu był zarezerwowany dla mnie.

Chyba przestałem być jej ulubieńcem.

– Weź łyżkę do opon – powiedziała.

Tak zrobił.

Wsadzili ją do ognia. Wokół panowała cisza.

Po chwili, kiedy łyżka była już wystarczająco gorąca, Ruth powiedziała Eddiemu, żeby ją wyjął i wszyscy z powrotem weszliśmy do środka.

Rozdział 42

Nie powiem wam o tym.

Odmawiam.

Są rzeczy, o których wiesz, że prędzej umrzesz, niż o nich komukolwiek powiesz.

Rzeczy, o których wiesz, że lepiej byłoby umrzeć, niż je zobaczyć.

Ja je widziałem.

Rozdział 43

Leżeliśmy w ciemności, przytuleni do siebie.

Zabrali ze sobą żarówkę i zamknęli drzwi, zostawiając nas samych. Mnie, Susan i Meg. Leżeliśmy na materacu, który Willie Senior zakupił dla swojej rodziny.

Nad głową słyszałem kroki. Z salonu do jadalni i z powrotem. To było ciężkie stąpanie. Donny'ego lub Williego. Później w domu zapanowała kompletna cisza.

Przerywana jękami Meg.

Zemdlała, gdy ją dotknęli żelazem. Zesztywniała, po czym nagle zrobiła się bezwładna, jakby uderzyła w nią błyskawica. Jednak teraz, niektóre części jej ciała szamotały się, wracając do świadomości. Bałem się myśleć, jak się poczuje, gdy się przebudzi. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie jej bólu. Nie takiego bólu. Nie chciałem.

Rozwiązali nas. Przynajmniej ręce mieliśmy wolne.

Mogłem jakoś się nią zająć.

Zastanawiałem się, co robili teraz na górze. O czym myśleli. Wyobrażałem ich sobie. Eddie i Denise poszli zapewne do domu na kolację. Ruth leżała na fotelu z nogami na podnóżku, papieros tlił się w popielniczce tuż przy niej, a ona wpatrywała się w pusty ekran telewizora. Willie jadł, leżąc rozwalony na kanapie. Woofers na brzuchu na podłodze. Donny natomiast siedział prosto na jednym z kuchennych krzeseł z oparciem, prawdopodobnie wcinając jabłko.

W piekarniku czekały na nich mrożone zestawy obiadowe.

Byłem głodny. Od śniadania nie miałem nic w ustach.

Kolacja. Pomyślałem o tym.

Kiedy rodzice zobaczą, że nie ma mnie w domu na kolacji, to na pewno się zdenerwują. Zaczną się wtedy o mnie martwić.

Moi rodzice będą się martwić.

Wątpiłem, czy kiedykolwiek wcześniej zdawałem sobie sprawę, co to naprawdę znaczy.

Przez chwilę kochałem ich tak bardzo, że omal się nie rozplakałem.

Wtedy Meg ponownie jęknęła i poczułem drżenie jej ciała.

Pomyślałem o Ruth i reszcie, jak siedzą w ciszy na górze, rozmyślając, co z nami zrobić.

Ponieważ moja obecność tutaj zmieniła wszystko.

Po tym co stało się dzisiaj, nie mogli mi już ufać. W przeciwieństwie do Meg i Susan, ktoś będzie za mną tęsknił.

Czy rodzicie będą mnie szukać? Oczywiście że tak, z całą pewnością. Ale kiedy? Czy będą mnie szukać tutaj? Do cholery, nie powiedziałem im, gdzie będę.

David, ty kretynie.

Kolejny błąd. Wiedziałeś przecież, że grożą ci tutaj kłopoty.

Poczułem, jak ciemność napiera na mnie, w jakiś sposób czyniąc mnie małym, pozbawiając mnie przestrzeni i ograniczając moje możliwości. Poczułem namiastkę tego, co przez te wszystkie tygodnie tutaj, w samotności, musiała czuć Meg.

Niemal chciałem, aby znowu wrócili, tylko po to, aby pozbyć się zabójczego poczucia izolacji.

Uświadomiłem sobie, że w ciemności człowiek zanika.

– David?

To była Susan. Przestraszyła mnie. Chyba po raz pierwszy w życiu usłyszałem, jak się do mnie odzywa. Jak się odzywa do kogokolwiek bez wcześniejszego odezwania się do niej.

Przemówiła przerażonym, drżącym szeptem, zupełnie jakby Ruth nadal stała w drzwiach, przysłuchując się nam.

– David?

– Tak? Nic ci nie jest, Susan?

– W porządku. Davidzie? Czy ty mnie nienawidzisz?

– Czy cię nienawidzę? Nie, oczywiście, że nie. Z jakiego niby powodu mam...?

– Powinieneś. Meg również. Ponieważ to moja wina.

– To nie twoja wina, Susan.

– Tak, moja. To wszystko moja wina. Gdyby nie ja, Meg uciekłaby i nie wracała.

– Susan, ona próbowała. Złapali ją.

– Ty nic nie rozumiesz.

Nawet jej nie widząc, można było wyczuć, jak bardzo starała się powstrzymać łzy.

– David, oni złapali ją w przedpokoju.

– Co?

– Przyszła po mnie. Jakoś się wydostała.

– Ja ją wypuściłem. Zostawiłem otwarte drzwi.

– Wtedy weszła po schodach i do mojego pokoju, położyła rękę na moich ustach, żebym była cicho i podniosła mnie z łóżka. Niosła mnie przez przedpokój, kiedy Ruth, kiedy Ruth...

Nie wytrzymała dłużej. Rozplakała się. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem jej ramienia.

– W porządku. Już dobrze.

– ... kiedy Ruth wyszła z pokoju chłopców. Musiała nas usłyszeć. Chwyciła Meg za włosy i rzuciła na ziemię, a ja upadłam na nią więc nie mogła się z początku ruszyć i wtedy przyszli Willie, Donny i Woofier. Zaczęli ją bić i kopać. Willie poszedł do kuchni po nóż i

przyłożył jej go o tutaj, do gardła i powiedział, że jeśli się ruszy, to odetnie jej głowę. Powiedział, że odetnie jej głowę. Następnie zabrali nas na dół. Później zrzucili na dół mój aparat. Jest popsuty.

Usłyszałem, jak nim trzaska.

– Później pobili ją jeszcze bardziej, a Ruth przyłożyła papierosa do jej... do jej...

Przysunęła się i objąłem ją kiedy płakała w moje ramię.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Miała później po ciebie wrócić. Mieliśmy coś wymyślić. Dlaczego wróciła? Dlaczego próbowała cię zabrać? Dlaczego próbowała zabrać cię ze sobą?

Susan wytarła oczy. Usłyszałem, jak pociąga nosem.

– Myślę, że z powodu... Ruth – powiedziała. – Ruth... mnie dotyka. Na dole... wiesz gdzie... tam na dole. Kiedyś sprawiła... sprawiła, że krwawiłam. A Meg... powiedziałam jej... a ona się wściekła z tego powodu... naprawdę była wściekła i powiedziała Ruth, że o tym wie. Ruth ją znowu pobiła, strasznie ją pobiła pogrzebaczem i...

Zamarła.

– Przepraszam! Ja nie chciałam. Meg powinna była uciec! Powinna była! Nie chciałam, aby coś jej się stało. Nie mogłam jej pomóc! Nienawidzę, gdy mnie dotyka! Ruth! Nienawidzę jej! Powiedziałam o tym Meg... Powiedziałam, co zrobiła mi Ruth, dlatego ją złapali. Dlatego po mnie przyszła. To z mojego powodu. To przeze mnie!

Przytulałem ją, wydawała się taka słaba, zupełnie jakbym kołysał niemowlę.

– Już dobrze. Spokojnie. Wszystko będzie... dobrze.

Pomyślałem o Ruth, dotykającej Susan. Wyobraziłem to sobie. Okaleczona, bezbronna dziewczynka, nie mogąca się nikomu przeciwstawić i kobieta z pustymi, błyszczącymi oczyma. Gałkami jak powierzchnia rwącej rzeki.

Odciałem się od tej myśli. Nie chciałem zwariować.

Po dłuższej chwili Susan uspokoiła się.

– Mam coś – powiedziała pociągając nosem. – Dałam to Meg. Sięgnij za dalszą nogę stołu. Tam za nią. Poszukaj ręką.

Tak zrobiłem. Znalazłem pudełko zapalek i kilkucentymetrowy kawałek świeczki.

– Skąd to...?

– Zwędziłam Ruth.

Zapaliłem świeczkę. Jej miodowy płomień wypełnił schron. Poczulem się lepiej.

Dopóki nie zobaczyłem Meg.

Dopóki oboje jej nie zobaczyliśmy.

Leżała na plecach, do pasa przykryta starym, cienkim i brudnym prześcieradłem, które na nią zarzucili. Piersi i ramiona miała odkryte. Była cała posiniaczona. Z jej otwartych oparzeń wyciekała ropa.

Nawet we śnie mięśnie jej twarzy naciągnęły mocno skórę z bólu. Cała drżała.

Napis lśnił na jej brzuchu.

ZERŹNIJ MNIE

Spojrzałem na Susan i widziałem, że za chwilę ponownie się rozplacze.

– Odwróć się – powiedziałem do niej.

Ponieważ to było straszne. To wszystko było straszne.

Jednak najgorsze nie było to, co jej zrobili, ale to, co sama sobie robiła.

Ręce miała na prześcieradle. Spała.

Brudnymi, postrzępionymi paznokciami drapała się głęboko i nieustannie. Od łokcia aż do nadgarstka.

Rozdrapywała blizny.

Otwierała je jedna po drugiej.

Jej ciało, zgwałcone i zmaltretowane, w końcu zwróciło się przeciwko niej.

– Nie patrz – powiedziałem.

Zdjąłem koszulę i pomagając sobie zębami, rozerwałem ją wzdłuż szwa na dwie części. Owinąłem materiał dwa razy, bardzo ciasno, wokół jej ręki. Następnie zawiązałem.

– W porządku – powiedziałem.

Susan płakała. Widziała. Wystarczająco wiele, by wiedzieć.

– Dlaczego? – zapytała. – Dlaczego to sobie zrobiła?

– Nie wiem.

Jednak wiedziałem. W pewnym sensie. Niemal czułem złość Meg na samą siebie. Za to, że zawiodła. Że nie uciekła. Że zawiodła siebie i Susan.

Być może nawet za to, że była człowiekiem, któremu to mogło się przytrafić na pierwszym miejscu. Za to, że dopuściła, aby to się stało, i za myśl, że nie uda się jej wydostać.

To było złe i niesprawiedliwe uczucie, ale wydawało mi się, że ją rozumiałem.

Została oszukana i teraz jej dobry, czysty umysł był na siebie wściekły. Może pytała, „jak mogłam być taka głupia”? Zupełnie, jak gdyby zasłużyła teraz na swoją karę. Została oszukana myśląc, że Ruth i cała reszta byli takimi samymi ludźmi jak ona, co w rezultacie doprowadziło ją do tego. A to nie było prawdą. Oni nie byli tacy sami. Zrozumiała to. Zrozumiała zbyt późno.

Obserwowałem, jak nadal paznokciami starała się rozdrapać bliznę.

Krew przeciekała przez koszulę. Na razie nie było jej dużo. Naszła mnie jednak dziwna, smutna ironia bycia świadomym tego, że być może, aby ją powstrzymać, będę musiał ją ponownie związać.

Na górze rozbrzmiał telefon.

– Odbierzcie – usłyszałem Ruth.

Rozległy się kroki przez pokój. Usłyszałem głos Williego, następnie nastąpiła cisza i ponownie głos Ruth. Rozmawiała przez telefon.

Myślałem, która mogła być godzina. Spojrzałem na maleńki ogarek, zastanawiając się, na jak długo jeszcze wystarczy.

Ręka Meg przestała drapać.

Dziewczyna wzięła głęboki oddech i zajęczała. Zamrugła oczami.

– Meg?

Otworzyła oczy. Były przepelnione bólem.

Paznokcie ponownie dopadły do blizn.

– Nie – powiedziałem. – Nie rób tego.

Spojrzała na mnie, z początku nie rozumiejąc. Następnie zabrała dłoń.

– David?

– Tak. To ja. Susan też tutaj jest.

Susan nachyliła się tak, aby mogła ją zobaczyć. Kąciki ust Meg powędrowały do góry, tworząc blady uśmiech. Nawet to sprawiało jej ból.

Jęknęła.

– Boże – wyszeptła. – Jak to boli.

– Leż spokojnie – powiedziałem. – Wiem, że cię boli.

Podciągnąłem prześcieradło do jej podbródka.

– Czy jest coś... coś, co mogę dla ciebie...?

– Nie – odpowiedziała. – Po prostu pozwól mi... O Boże.

– Meg? – zaniepokoiła się Susan. Trzęsa się. Wyciągnęła rękę obok mnie. Nie mogła jednak dosięgnąć siostry.

– Przepraszam cię, Meg. Przepraszam. Przepraszam.

– W porządku, Suz. Próbowaliśmy. W porządku. W...

Niemal czułem elektryczny ból przeszywający jej ciało.

Nie wiedziałem, co robić. Wpatrywałem się w świeczkę, jakby płomień miał mi udzielić jakiejś wskazówki. Nie udzielił żadnej.

– Gdzie... gdzie oni są? – zapytała.

– Na górze.

– Zostaną tam? – W jej głosie była nadzieja. – Jest już... noc?

– Prawie. Dochodzi pora kolacji. Nie wiem. Nie wiem, czy tam zostaną.

– Davidzie, nie mogę... Ja już dłużej nie mogę. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– Nie mogę...

– Leż. Odpoczywaj. – Potrząsnąłem głową.

– Co takiego? – zapytała.

– Żałuję, że nie mamy czegoś...

– Czego?

– ... by ich zranić. By nas stąd wydostać.

– Nie ma niczego. Nic. Nawet nie wiesz przez ile nocy...

– Mamy to – powiedziała Susan.

Trzymała szynę aparatu.

Spojrzałem na nią. Miała rację. Była zrobiona z lekkiego aluminium, jeśli jednak by wyjąć zakończenie pręta, można było tą protezą wyrządzić komuś krzywdę. Chociaż wciąż niezbyt wielką. Nie Williemu i Donny'emu naraz. I Ruth. Nie można jej zlekceważyć. Może gdyby byli na tyle uprzejmi i zeszli na dół jedno za drugim, w kilkuminutowych odstępach, to miałbym szansę. Na to jednak się nie zanosilo. I tak kiepski był ze mnie bokser.

Zresztą wystarczy zapytać Eddiego.

Potrzebowaliśmy czegoś innego.

Rozejrzałem się wokół. Prawie wszystko zabrali. Gaśnicę, radio, kartony z żywnością, a nawet budzik oraz pompkę do materaca. Zabrali również sznur do bielizny, którym nas związali. Pozostał nam jedynie stół, zbyt ciężki by go przesunąć w pojedynkę, materac i prześcieradło Meg, jej plastikowy kubek oraz ubrania, które mieliśmy na sobie. Jeszcze zapalki i świeczka.

Nagle przyszedł mi do głowy pomysł, jak zrobić użytek z zapalek i świeczki.

Przynajmniej ściągniemy ich na dół, kiedy my tego chcemy, a nie, kiedy im się podoba. Możemy ich dezorientować i zaskoczyć. To już było coś. Naprawdę coś.

Wzięłem głęboki oddech. W mojej głowie rodził się pomysł.

– Okay – powiedziałem. – Jesteście gotowe spróbować czegoś?

Susan skinęła głową. Z trudem, ale również zrobiła to Meg.

– To może się nie udać, jednak jest możliwe.

– Zrób to – jęknęła Meg. – Zrób to.

– Nie ruszaj się – powiedziałem. – Nie jesteś mi przy tym potrzebna.

– Dobrze. Po prostu to zrób – odparła. – Załatw ich.

Zdjąłem trampki, wyciągnąłem z nich sznurówki i związałem ich końce. Rozwiązałem również buty Susan i przywiązałem jej sznurówki do swoich, uzyskując w ten sposób około trzydzieści pięć centymetrów sznurka. Związałem mocno jego jeden kawałek wokół dolnego zawiasu drzwi i naciągnąłem sznurek aż do belki wspierającej strop, przywiązując go na wysokości około dziesięciu centymetrów nad podłogą. Miałem teraz sznur, rozciągnięty nad ziemią pod niewielkim kątem od drzwi do belki, przebiegający przez około jedną trzecią piwnicy z lewej strony.

– Posłuchajcie mnie – zacząłem. – Będzie ciężko. I niebezpiecznie. Nie chodzi mi tylko o nich. Chcę tutaj wzniecić pożar. Naprzeciw stołu, na środku pokoju. Poczują dym i zejda na dół. Przy odrobinie szczęścia, ktoś potknie się o tą linę. W międzyczasie, ja będę stał po drugiej stronie przy drzwiach z szyną Susan. Będzie jednak mnóstwo dymu, a my nie mamy zbyt wiele powietrza. Lepiej dla nas, jeśli szybko przyjdą, inaczej będziemy w tarapatach. Rozumiecie o co mi chodzi?

– Będziemy krzyczeć – powiedziała Susan.

– Tak, mam nadzieję, że to pomoże. Musimy jednak chwilę poczekać, tak aby poczuli dym. Kiedy się pali, ludzie wpadają w panikę i to nam pomoże. Co o tym myślicie?

– Co mogę zrobić? – zapytała Susan.

Uśmiechnąłem się.

– Niezbyt wiele, Suz.

Zastanawiała się chwilę. Mała, delikatna dziewczynka z poważnym wyrazem twarzy.

– Wiem, co mogę zrobić. Mogę stać przy materacu i jeśli ktoś się zbliży, to podstawię mu nogę.

– Dobrze, tylko uważaj na siebie. Dostyc masz już złamanych kości. I pamiętaj, że potrzebuję sporo miejsca, aby się zamachnąć i zadać tym cios.

– Dobrze.

– Meg? Masz coś przeciwko?

Wyglądała blado i słabo. Skinęła jednak głową.

– W porządku.

Zdjąłem koszulkę.

– Będę potrzebował prześcieradła – powiedziałem.

– Zabierz je.

Zdjąłem je z niej ostrożnie.

Zakryła się rękami w miejscach poparzeń. Zdażyłem jednak zobaczyć błyszczącą, czarno-czerwoną ranę. Meg zauważyła, jak się skrzywiłem i odwróciła się twarzą do ściany. Ponownie zaczęła drapać. Nie miałem serca jej powstrzymywać. Nie chciałem zwracać uwagi na to, co robiła.

I nagle nie mogłem się już doczekać, aż wypróbuję na kimś aluminiową broń. Zwinąłem prześcieradło i położyłem je tam, gdzie tego chciałem, naprzeciw stołu. Na prześcieradle położyłem koszulkę i skarpetki.

– Weź też moje – powiedziała Susan.

Nie sprawiały żadnej różnicy, jednak chciała pomóc, więc zdjąłem jej skarpetki i rzuciłem na stos.

– Chcesz koszulkę? – spytała Meg.

– Nie. Zatrzymaj ją.

– Dobrze – odpowiedziała, wciąż zagłębiając paznokcie w ranę.

Jej ciało wyglądało staro, mięśnie były chude i zwiotczałe.

Wziąłem od Susan szynę i oparłem ją o ścianę przy drzwiach. Następnie, podniosłem ogarek i podszedłem do sterty ubrań. Ścisnęło mnie w żołądku ze strachu.

– Zaczynamy – powiedziałem, upuszczając świeczkę.

Rozdział 44

Ogień tlił się słabo, jednak był dym. Jego smuga kłębiła się pod sufitem. Nasz własny grzyb atomowy wewnątrz schronu.

W ciągu kilku sekund dym wypełnił piwnicę. Lewo widziałem Meg, leżącą na podłodze, na drugim krańcu piwnicy. Nasz kaszel był prawdziwy.

Po chwili, gdy dym zgęstniał, zaczęliśmy krzyczeć.

Słyszeliśmy głosy dobiegające z góry. Zdezorientowanie. Strach. Następnie odgłos zbiegających po schodach stóp. Biegli. Bali się. To dobrze. Chwyciłem mocniej za szynę i spokojnie wyczekiwałem, stojąc tuż przy drzwiach.

Ktoś szarpał się z zasuwką. Drzwi ustąpiły, a w nich stanął Willie. Przeklinał, kiedy dym naparł na niego. Zahaczył o linę ze sznurowadeł, zachwiał się, przewrócił i przejechał po podłodze, uderzając głową w płonącą stertę ubrań. Zaczął wrzeszczeć, wymachując rękami, by ściągnąć przyklejoną do policzka skwierczącą płonącą szmatę, która topiła jego czoło.

Ruth i Donny wbiegli przez drzwi ramię w ramię. Chłopak bliżej mnie, próbując dostrzec w kłębach dymu, co się dzieje. Zamachnąłem się. Ujrzałem krew tryskająca z głowy Donny'ego, bryzgająca na Ruth, i drzwi, kiedy przewrócił się, chwytając mnie za stopy. Zamachnąłem się szyną w dół, niczym siekierą ale wykonał unik. Szyna uderzyła o podłogę. Ruth błyskawicznie przeszła obok mnie, zmierzając w stronę Susan.

Susan. Jej zakładnik. Jej tarcza.

Wywinąłem się i zamachnąłem szyną uderzając Ruth w żebra i plecy. Jednak to nie wystarczyło, by ją powstrzymać.

Była szybka. Ruszyłem za nią podnosząc szynę z podłogi. Wziąłem zamach, jak przy bekhendzie w tenisie, jednak Ruth dopadła już wychudłą sylwetkę Susan, popychając ją na ścianę. Chwyciła ją za włosy i gwałtownie szarpnęła. Usłyszałem głuchy odgłos, jakby ktoś upuścił dynię. Susan zjechała po murze. Uderzyłem Ruth w plecy z całej siły, jaką tylko mogłem w sobie zebrać. Zawyla i upadła na kolana.

Kątem oka dostrzegłem ruch. Odwróciłem się.

Donny stał na nogach, zbliżając się do mnie przez gęste kłęby dymu. Za nim był Willie.

Zacząłem wymachiwać szyną w tę i z powrotem, na oślep. Z początku zbliżali się do mnie powoli, ostrożnie. Byli na tyle blisko, że dostrzegłem poparzoną twarz Williego, jego jedno zamknięte oko i strumień łez. Na koszuli Donny'ego była krew.

Nagle, Willie rzucił się do ataku, biegł wprost na mnie. Wzięłem zamach szyną i trzasnąłem go w ramię. Uniosłem ją ponownie i zazgrzytała, kotwicząc w jego szyi. Wrzasnął i upadł.

Zobaczyłem, jak Donny chwiejnym krokiem idzie do mnie. Podniosłem szybko szynę, za plecami usłyszałem odgłos drapania.

Ruth rzuciła się na moje plecy, wbijając w nie paznokcie, prychając przy tym jak kot. Pod ciężarem jej wierzgającego ciała, ugięły się pode mną kolana. Przewróciłem się. Donny ruszył do przodu i poczułem nagły przeszywający ból w policzkach. Moja szyja trzasnęła, wyginając się do tyłu. Poczułem nagle zapach skóry. Właściwie skórzanych butów. Kopnął mnie tak, jak się kopie piłkę. Ujrzałem oślepiające światło. Moje palce próbowały chwycić mocniej za szynę, jednak już jej tam nie było. Przepadła. Jaskrawe światło wyblakło, zmieniając się w jednej chwili w czerni. Podniosłem się na kolana. Donny kopnął mnie w brzuch. Upadłem, nie mogąc złapać tchu. Próbowałem się podnieść, jednak nie mogłem utrzymać równowagi. Dopadła mnie fala torsji. Byłem zdezorientowany. Nagle ktoś jeszcze zaczął mnie kopać, w żebra, w klatkę piersiową. Zwinąłem się w kłębek, napiąłem mocno mięśnie i czekałem aż ciemność minie. Nadal stali nade mną, kopiąc mnie i wyzywając. Ciemność odchodziła, odzyskałem wzrok na tyle, by dostrzec, gdzie znajdował się stół i by się pod niego wtoczyć. Wtedy mogłem patrzeć na nogi Ruth, i na Donny'ego przede mną. To znów wprowadziło chaos w moim postrzeganiu rzeczywistości. W miejscu gdzie powinna leżeć Meg, znajdowała się kolejna para nóg.

Nagich nóg. Poparzonych i okaleczonych.

Nóg Meg.

– Nie! – krzyknąłem.

Wyszedłem spod stołu. Ruth i Donny odwrócili się i ruszyli w jej stronę.

– Ty! – wrzasnęła Ruth. – Ty! Ty! Ty!

Nadal nie wiem, co chciała zrobić Meg, jeżeli w ogóle sądziła, że mogła pomóc. Może po prostu miała już tego dosyć. Dostyc Ruth, cholernie dosyć bólu, dosyć wszystkiego. Powinna była jednak wiedzieć, przeciwko komu obróci się cała wściekłość Ruth. Nie przeciwko mnie czy Susan, ale przeciwko niej. Uderzy bezpośrednio w nią, niczym zatruta strzała demona.

W oczach Meg nie było widać strachu. Pomimo że była słaba, zrobiła krok naprzód.

Ruth rzuciła się ku niej jak wariatka. Chwyciła ją obiema rękami za głowę, niczym szalona znachorka.

A następnie rozbijała tę głowę o ścianę.

Meg dostała drgawek.

Spojrzała na Ruth, prosto w jej oczy, i przez moment na jej twarzy gościł wyraz zmieszania, jakby nawet w tej chwili pytała „dlaczego?”.

Dlaczego, Ruth?

Upadła. Jak kłoda, wprost na dmuchany materac.

Jej ciało jeszcze drżało, by po chwili przestać.

Chwyciłem się stołu, próbując wstać.

Ruth stała, wpatrując się w ścianę. Jakby nie wierzyła, że Meg już tam nie ma. Miała szaro-białą twarz.

Donny i Willie również stali.

W piwnicy zapanowała nagle ogromna cisza. Donny pochylił się. Przyłożył rękę do jej ust, a następnie do piersi.

– Czy ona... oddycha?

Nigdy nie słyszałem, aby Ruth mówiła tak cicho.

– Tak. Ledwo.

Ruth skinęła głową.

– Przykryj ją – powiedziała. – Przykryj ją. Masz ją przykryć.

Ponownie skinęła głową jednak do nikogo konkretnie, a następnie odwróciła się i przeszła powoli i ostrożnie przez piwnicę, jakby szła po tłuczonym szkłe. Zatrzymała się przy drzwiach, by odzyskać równowagę, potem wyszła.

Zostaliśmy tylko my, dzieciaki.

Willie odezwał się jako pierwszy.

– Przyniosę jakieś koce – powiedział.

Trzymał rękę na twarzy, zasłaniając oko. Połowę włosów miał wypaloną.

Jednak nikt nie okazywał już złości.

Przed stołem nadal tlił się ogień, wydzielając kłęby dymu.

– Twoja mama dzwoniła – wymamrotał Donny.

Wpatrywał się w leżącą Meg.

– Co?

– Twoja mama – powiedział. – Dzwoniła. Chciała wiedzieć, gdzie jesteś. Ja odebrałem telefon. Ruth z nią rozmawiała.

Nie musiałem go pytać o to, co jej powiedziała. Nie widzieli mnie.

– Gdzie Woofers?

– U Eddiego.

Podniosłem szynę i zaniósłem ją Susan. Nie sądzę, by mnie zauważyła czy dbała o to. Wpatrywała się w Meg.

Willie wrócił z kocami. Przez chwilę spojrzał na każdego z nas z osobna i upuścił je na podłogę. Odwrócił się i ponownie wyszedł.

Słyszeliśmy, jak wlecze się po schodach.

– Co zamierzasz zrobić, Donny? – zapytałem go.

– Nie wiem – odpowiedział.

Jego głos wydawał się bezbarwny i beznamiętny. Ogłuszony. Jakby to on zamiast mnie został kopnięty w głowę.

– Ona mogła umrzeć – powiedziałem. – Ona umrze. Chyba że coś zrobisz. Nikt inny tego nie robi. Wiesz o tym. Ruth nic nie robi. Willie też nie.

– Wiem.

– Więc zrób coś.

– Ale co?

– Cokolwiek. Powiedz komuś. Powiedz glinom.

– Sam nie wiem – powiedział.

Podniósł koc z podłogi i przykrył ją, tak jak kazała mu Ruth. Przykrył ją bardzo delikatnie.

– Sam nie wiem – powtórzył.

Potrząsnął głową.

– Muszę iść – powiedział.

– Zostawisz nam światło? Przynajmniej tyle. Żebyśmy mogli się nią zająć.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Dobrze – odparł.

– I wodę? Szmata i trochę wody?

– Okay.

Wyszedł do piwnicy i usłyszałem dźwięk odkręconej wody. Wrócił z wiadrem i paroma ścierkami, położył je na podłodze. Następnie zawiesił żarówkę na haku w suficie. Nie spojrzał na nas. Ani razu.

Podszedł do drzwi.

– Na razie – powiedział.

– Taa – odparłem. – Na razie.

Następnie zamknął za sobą drzwi.

Rozdział 45

Zimna noc zdawała się nie mieć końca.

Nie było już więcej odwiedzin.

W całym domu panowała cisza. Z pokoju chłopców dochodziły słabe odgłosy radia – The Everly Brothers „All I Have To Do Is Dream”^{*} oraz „Hard Headed Woman”^{*} Elvisa Presleya. Każda piosenka zdawała się z nas kpić.

Moja mama już dawno powinna odchodzić od zmysłów, zamartwiając się o mnie. Wyobrażałem ją sobie, jak dzwoni po wszystkich sąsiadach w poszukiwaniu syna, sprawdzając, czy nie zostałem u kogoś na noc bez uprzedzenia. Tata zadzwoniłby na policję. Nasłuchiwałem stukania do drzwi. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, dlaczego nie przychodzili.

Nadzieja zmieniła się we frustrację, frustracja w złość, złość w pustą rezygnację. Następnie cykl się powtarzał. Poza przemywaniem twarzy Meg, nie mogłem nic zrobić.

Dostała gorączki. Tył jej głowy był lepki od zaschniętej krwi.

Dryfowaliśmy na pograniczu snu.

Mój umysł uczeplił się pewnej piosenki, melodii.

Użyj Ajaxu! Pieniącego środka do czyszczenia – da – da – da – da – da – dum – dum. Spłucz brud wprost do rury – da – da – da – da – da – dum. Wprost do rzeki przez las... do rzeki przez las... do rzeki przez... Nie mogłem się na niczym skupić. Nie mogłem też przestać myśleć.

Od czasu do czasu Susan wybuchała płaczem.

Od czasu do czasu Meg trzęsła się i jęczała.

Przebudziła się dwa razy.

Po raz pierwszy, kiedy właśnie kończyłem obmywać szmatą jej twarz. Omal jej nie upuściłem z zaskoczenia. Schowałem ją za siebie. Szmata była przesiąknięta krwią i nie chciałem, żeby Meg to zobaczyła. Ta myśl z jakiegoś powodu nie dawała mi spokoju.

– David?

– Tak.

* „Wystarczy zasnąć” – przyp. tłum.

* „Twardogłowa” – przyp. tłum.

Wyglądało, że nasłuchuje. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem, że jedna ze źrenic była znowu dwa razy większa od drugiej. Zastanawiałem się, co widziała.

– Słyszysz ją? – powiedziała. – Czy ona tam... jest?

– Słyszę jedynie radio. Ale ona tam jest, na pewno.

– Radio. Tak – skinęła delikatnie głową.

– Czasami ją słyszę – wyszeptała. – Przez cały dzień. Williego i Woofera też... i Donny'ego. Kiedyś wydawało mi się, że nasłuchując... usłyszę coś, dowiem się, zrozumiem, dlaczego mi to zrobiła... Wsłuchując się w to, jak chodzi po pokoju, czy jak siada w fotelu. Nigdy się nie dowiedziałam...

– Meg? Posłuchaj mnie. Nie powinnaś teraz mówić. Jesteś poważnie ranna.

Widać było po niej, że sprawiło jej to ogromny wysiłek. Mówiła z trudem, mamrocząc, zupełnie jakby język odmówił jej posłuszeństwa.

– Nie... nie... – powiedziała. – Chcę mówić. Nigdy nic nie mówię. Nigdy nie mam do kogo. Ale...?

Spojrzała na mnie dziwnie.

– Dlaczego ty tutaj jesteś?

– Jesteśmy tutaj oboje. Ja i Susan. Zamknęli nas tutaj. Pamiętasz?

Starła się uśmiechnąć.

– Myślałam, że mi się śnisz. Byłeś już kilka razy w moich snach. Miałam mnóstwo... mnóstwo snów. A później po prostu... zniknęły. Czasami, kiedy chcesz by przyszedł, kiedy ich bardzo pragniesz, uciekają. Nic nie przychodzi. Aż w końcu... jest.

– Wiesz, błagałam ją żeby przestała. Żeby mnie wypuściła. Myślałam, że tak zrobi, że za chwilę przestanie i mnie wypuści, zobaczy, że może mnie polubić. Później wiedziałam, że to niemożliwe, że muszę stąd uciec, jednak nie mogłam. Nie rozumiem jej, jak mogła mi pozwolić, by mnie przypalił?

– Proszę cię, Meg...

Oblizwała usta. Uśmiechnęła się.

– Opiekujesz się mną cały czas.

– Tak.

– I Susan też?

– Tak.

– Gdzie ona jest?

– Śpi.

– Jej też jest ciężko – powiedziała.

– Tak, wiem. Wiem o tym.

Martwiłem się. Jej głos był coraz słabszy. Musiałem się teraz naprawdę nisko schylić, żeby ją usłyszeć.

– Zrobisz coś dla mnie?

– Pewnie.

Chwyła mnie za rękę. To nie był mocny uścisk.

– Odzyskasz obrączkę mojej mamy? Wiesz, tą po mojej mamie. Ona mnie nie posłucha. Nie obchodzi jej to. Może jednak... ty mógłbyś ją poprosić? Możesz odzyskać obrączkę mojej mamy?

– Odzyskam ją.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

Puściła moją dłoń.

– Dziękuję – szepnęła. Po chwili jakby przyszło jej coś na myśl. – Wiesz co? Nigdy wystarczająco mocno nie kochałam mojej mamy. Czy to nie dziwne? A ty? – zapytała.

– Chyba też nie.

Zamknęła oczy.

– Myślę, że się teraz prześpię.

– Dobrze – przytaknąłem. – Odpoczywaj.

– Zabawne – stwierdziła. – Nie czuję bólu. A chyba powinnam. Przypalali mnie i przypalali, ale nie czuję bólu.

– Odpoczywaj – powiedziałem.

Przytaknęła głową i usnęła. Siedziałem przy niej, wyczekując pukania funkcjonariusza Jenningsa, a słowa piosenki „Zielone drzwi” wirowały w mojej głowie, niczym kolorowa karuzela, w kółko i w kółko...

Północ, kolejna noc bez snu,
czekam aż poranek zawita tu,
zielone drzwi, jakie skrywacie sekrety,
zielone drzwi?

Dopóki i ja nie usnąłem.

Kiedy się obudziłem, był już prawdopodobnie świt.

Susan potrząsała mną.

– Powstrzymaj ją! – prosiła przerażonym szeptem. – Powstrzymaj ją! Błagam! Nie pozwól jej na to!

Przez chwilę wydawało mi się, że byłem w swoim własnym łóżku.

Rozejrzałem się wokół. Przypomniałem sobie.

Meg nie leżała już obok mnie.

Serce zaczęło mi walić, ścisnęło mnie w gardle.

Wtedy ją ujrzałem.

Zrzuciła z siebie koc, była naga. Siedziała skulona w kącie przy stole. Jej długie, potargane włosy zwisały, przykrywając jej ramiona. Plecy miała pokryte ciemnobrązowymi strugami, przecinającymi się pasmami zaschniętej krwi. Tył jej głowy mienił się połyskliwie w świetle żarówki.

Dostrzegłem naprężone mięśnie jej ramion oraz smukłą linię pleców. Usłyszałem odgłos drapania paznokciami.

Wstałem i podszedłem do niej.

Skrobała coś.

Siedziała na betonowej posadzce, u zbiegu podłogi ze ścianą z pustaków. Skrobała beton paznokciami, drążąc tunel. Ciche odgłosy zmęczenia ulatywały z jej ciała. Miała połamane paznokcie, leciała z nich krew. Jeden paznokieć był zupełnie zerwany, a koniuszki palców również były zakrwawione. Krew mieszała się z gruzem odłupanego betonu, tworząc niejednorodną plastycznie substancję. To była jej ostateczna odmowa poddania się. Jej ostateczny akt oporu. Siła woli wznosząca się ponad pokonane ciało, wymierzona przeciw litej skale.

Tą skałą była Ruth. Barię rozpadającą się w piach i gruz.

Ruth była tą skałą.

– Meg, proszę cię, przestań – powiedziałem.

Chwyliłem ją od dołu za ramiona i podniosłem. Była lekka niczym nowo narodzone dziecko.

Jej ciało było ciepłe i pełne życia.

Położyłem ją z powrotem na materacu i przykryłem kocem. Susan podała mi wiadro i obmyłem jej dłonie. Woda zaszła czerwienią.

Zacząłem płakać.

Nie chciałem płakać przy Susan, jednak nic nie mogłem na to poradzić. Łzy zaczęły po prostu ze mnie wypływać, zupełnie jak krew Meg, spływająca po ścianie z pustaków.

Ciepło jej ciała spowodowane było gorączką. To ciepło okazało się kłamstwem.

Niemal wyczuwałem w niej śmierć.

Widziałem ją w powiększonej źrenicy oka Meg, w olbrzymiej dziurze, w której zatracił się umysł.

Obmyłem palce jej rąk.

Gdy skończyłem, przysunąłem Susan bliżej, tak że teraz leżała między nami. Leżeliśmy cicho, przypatrując się jej płytkim oddechom, a każdy oddech wylatujący z płuc Meg był jak kolejne sekundy łaski. Jej na wpół otwarte, drgające powieki, informowały nas o życiu, które zamierało powoli i łagodnie pod zranioną powierzchnią jej ciała. I kiedy ponownie otworzyła oczy, nie baliśmy się już. Cieszyliśmy się, widząc Meg spoglądającą na nas. Dawną Meg. Tą którą pamiętaliśmy, zanim ten koszmar się zaczął.

Poruszyła ustami, a następnie uśmiechnęła się.

– Myślę, że mi się uda – powiedziała i chwyciła Susan za rękę. – Myślę, że wszystko będzie dobrze.

Przy oślepiającym, sztucznym świetle żarówki, o świecie, który dla nas nie był światem, umarła.

Rozdział 46

Nie więcej niż półtorej godziny później rozległo się pukanie do drzwi na górze.

Usłyszałem, jak wstają z łóżek. Usłyszałem męskie głosy i ciężkie, nieznane mi kroki z salonu do jadalni, i po schodach do piwnicy.

Zdjęli zasuwę i otworzyli drzwi. W drzwiach stanął Jennings z moim ojcem i jeszcze jednym policjantem, nazwiskiem Thompson, którego znaliśmy z widzenia. Za nimi stali Donny, Willie, Woofers oraz Ruth. Nie próbowali nawet uciec czy choćby cokolwiek wytłumaczyć. Po prostu patrzyli, jak Jennings podchodzi do Meg, unosi jej powiekę i szuka pulsu, którego nie było.

Mój ojciec podszedł do mnie i przytulił mnie.

– Jezus Maria – powiedział, potrząsając głową. – Bogu dzięki, że cię odnaleźliśmy. Bogu dzięki!

Chyba po raz pierwszy w życiu usłyszałem go, jak wypowiadał te słowa i w dodatku mówił prawdę.

Jennings naciągnął koc, przykrywając twarz Meg, a posterunkowy Thompson poszedł pocieszyć Susan, która nie mogła powstrzymać się od płaczu. Od śmierci Meg była cicha i spokojna, a teraz łzy wylewały się z niej, dając wyraz uldze i smutkowi.

Ruth i chłopcy przyglądali się beznamietnie.

Jennings, którego Meg czwartego lipca ostrzegła przed Ruth, miał spojrzenie gotowego, by zabić.

Czerwony na twarzy, ledwo panujący nad swoim głosem, posyłał pod jej adresem grad pytań. Od razu było po nim widać, że nie pytania chciał posłać, a serię pocisków z pistoletu, który niespokojnie trzymał przy swoim biodrze.

– Jak do tego doszło? Jak długo była tutaj na dole? Kto umieścił na niej ten napis?

Przez dłuższą chwilę Ruth nic nie mówiła. Stała, drapiąc się po otwartych ranach na twarzy. W końcu się odezwała.

– Chcę adwokata.

Jennings zachowywał się, jakby jej nie słyszał. Nadal zadawał pytania, ale Ruth jedynie powtarzała „chcę zadzwonić po adwokata”. Odmawiała złożenia jakichkolwiek wyjaśnień.

Jennings był coraz bardziej rozwścieczony. Jednak to nic nie pomogło. Mogłem go o tym uprzedzić.

Ruth była skałą.

Za przykładem matki poszły jej dzieci.

Ale nie ja. Wziąłem głęboki oddech i starałem się nie myśleć o ojcu, który stał tuż obok.

– Powiem panu wszystko, co chce pan wiedzieć – rzuciłem. – Ja i Susan powiemy.

– Widziałeś, co się tutaj wydarzyło?

– Większość.

– Niektóre rany powstały kilka tygodni temu. Widziałeś jak to się stało?

– Część. Nie wszystko.

– Widziałeś to!

– Tak.

Policjant zmrużył oczy.

– Jesteś ofiarą czy oprawcą chłopcze? – zapytał.

Zwróciłem się do mego ojca.

– Nigdy jej nie skrzywdziłem, tato. Nigdy. Naprawdę.

– Nigdy też jej nie pomogłeś – powiedział Jennings.

O tym właśnie myślałem przez całą noc.

Z tym wyjątkiem, że głos Jenningsa był jak zaciśnięta pięść, którą uderzył mnie w twarz.

Przez chwilę zapało mi dech w piersi. To prawda, pomyślałem.

– Nie, nigdy jej nie pomogłem.

– Próbowaleś – odezwała się Susan, płacząc.

– Próbował? – zapytał Thompson.

Susan przytaknęła głową.

Jennings wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym również skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Porozmawiamy o tym później. Wezwijmy lepiej posiłki, Phil.

Wszyscy na górę.

Ruth zamamrotała coś pod nosem.

– Co pani powiedziała? – zapytał ją Jennings.

Mówiła do swojej klatki piersiowej, mamrocząc.

– Nie słyszę, co pani mówi.

– Powiedziałam, że była zdzirą – powiedziała Ruth. – Ona wyryła te słowa! Ona! ZERŹNIJ MNIE! Sądzisz, że to ja? Sama je sobie wyryła, ponieważ była z tego faktu dumna! Staralam się ją wychować, wpoić jej dyscyplinę, poczucie przyzwoitości. Napisała to, by zrobić mi na złość. ZERŹNIJ MNIE. I tak robiła, rznąła się ze wszystkimi! Z nim na pewno.

Wskazała na mnie. Następnie na Williego i Donny'ego.

– I z nim, i z nim też. Rznąła się z nimi wszystkimi! Gdyby nie ja, to rznąłaby się też z małym Ralphem, gdybym jej tutaj nie związała. Tutaj, gdzie nikt nie musiał oglądać jej nóg,

dupy i jej pizdy. Pizdy. Tym właśnie była. Pizdą. Kobieta która nie potrafiła nic innego poza dawaniem facetowi dupy na każde jego zawołanie. Wyświadczyłam jej cholerną przysługę. Więc w dupie mam ciebie i to, co myślisz. Zastrany grubasie w mundurze. Wielki mi żołnierz. Wielkie gówno. Pierdol się! Wyświadczyłam jej cholerną przysługę...

– Kobieto! – Jennings z trudem zachowywał spokój. – Lepiej będzie, jak się w tej chwili zamkniesz.

Przysunął się twarzą blisko niej, wyglądając jakby spoglądał na coś, w co właśnie wdepnął na chodniku.

– Rozumiemy się, pani Chandler? Mam nadzieję, że tak. To szambo, które nazywasz ustami... Zamknij je.

– Możesz iść, skarbie? – odezwał się do Susan.

Pociągnęła nosem.

– Jeżeli ktoś pomoże mi na schodach.

– Wniosę ją – zaoferował Thompson. – Nie waży wiele.

– Dobra. W takim razie idź przodem.

Thompson podniósł Susan i wyszedł przez drzwi, a następnie wszedł po schodach. Willie i Donny poszli za nim, wpatrując się w swoje stopy, jakby nie znali drogi. Mój tata ruszył także, zupełnie jakby też był teraz w policji. Jakby miał pilnować chłopaków Chandlera. Ja ruszyłem za ich plecami. Ruth była tuż za mną, deptając mi po piętach, jakby nagle, w pośpiechu, chciała to wszystko zakończyć. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, jak Wooferszedł tuż obok niej, a Jennings zamykał pochód.

Wtedy dostrzegłem obrączkę.

Połykiwała w świetle promieni przedzierających się przez tylne okno.

Wchodziłem nadal po schodach, jednak przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem. Poczułem, jak ogarnia mnie fala gorąca. Przed oczami miałem Meg, wciąż słyszałem jej głos, który kazał mi obiecać, że odzyskam dla niej obrączkę jej matki, że poproszę o nią Ruth. Zupełnie jakby ona w pierwszej kolejności nie należała się Meg, lecz została jej jedynie pożyczona, jakby to Ruth miała do niej prawo, jakby nie była po prostu pierdoloną złodziejką. Pomyślałem o wszystkim, przez co Meg musiała przejść, zanim ją spotkaliśmy. O bliskich, których straciła, pozostając tylko z Susan. A następnie o tej sadystycznej karykaturze matki. Tym pośmiewisku matki, która zabrała jej nie tylko obrączkę, ale również wszystko inne, jej życie, jej przyszłość, jej ciało. I to wszystko w imię wychowania jej. Faktycznie ją przecież deptała. Mocniej i mocniej każdego dnia, ciesząc się tym, kochając to. Wdeptała ją ostatecznie w ziemię, dokładnie tam, gdzie teraz leżała, upokorzona, zniszczona, pokonana.

Pozostała jednak obrączka. Dostałem ataku wściekłości.

Zatrzymałem się, obróciłem i uniosłem otwartą dłoń nad twarzą Ruth, przyglądając się, jak jej czarne ślepia patrzą na mnie przez chwilę ze zdumieniem, zanim, przestraszone, zniknęły pod powierzchnią mojej dłoni.

W jej oczach zauważyłem, że wie.

I że chce żyć.

Widziałem, jak po omacku szukała poręczy.

Przez moment, pod palcami, poczułem rozerwaną zimną skórę jej policzka.

Wiedziałem, że ojciec szedł dalej po schodach. Był już prawie na górze.

Odepchnąłem ją.

Nigdy wcześniej ani później nie czułem się tak silny, nie czułem się tak dobrze, jak w tamtej chwili.

Ruth krzyknęła i Woofler oraz Jennings próbowali ją złapać. Puszki z farbą spadały ze schodów, rozbijając się o betonową posadzkę. Tak jak Ruth, tylko wolniej.

Roztrzaskała sobie usta, uderzając o schody. Rozmach, z jakim poleciała w dół, robiąc przy tym fikołki niczym akrobata, sprawił, że uderzając o betonową podłogę jej twarz, usta oraz nos, pękły pod ciężarem jej spadającego, niczym torba kamieni, ciała.

Usłyszałem trzask łamanego karku.

Po chwili leżała na ziemi.

W piwnicy rozległ się smród. O mało się nie zaśmiałem. Zesrała się ze strachu, jak małe dziecko i pomyślałem, że to było z jej strony jak najbardziej na miejscu.

W jednej chwili wszyscy znaleźli się na dole. Donny i Willie, tata oraz funkcjonariusz Thompson stali wokół Ruth, krzycząc do niej, jakby była jakimś wykopaliskiem archeologicznym.

– Co się stało? Co się stało mojej mamie?! – wykrzykiwał Willie, a Woofler zalewał się łzami.

Willie stracił rozum, przykucnął przy niej, ściskając jej piersi i brzuch, próbując przywrócić ją masażem serca do życia.

– Co się, kurwa, stało?! – krzyknął Donny. Cała trójka spojrzała na mnie tak, jakby chcieli mnie rozerwać na strzępy. Mój ojciec stał przy schodach, na wypadek gdyby spróbowali.

– Więc się stało? – zapytał Thompson.

Jennings tylko na mnie spojrzał. On wiedział. Wiedział dobrze, co się stało.

Nie obchodziło mnie to wtedy. Czułem się, jakbym pacnął osę. Taką, która mnie użądliła. Ni mniej, ni więcej.

Zszedłem na dół i stanąłem przed nim.

Cały czas mi się przyglądał. Następnie wzruszył ramionami.

– Chłopak się potknął – stwierdził. – Jest głodny, niewyspany, właśnie przeżył śmierć przyjaciółki. To był wypadek. Wielka szkoda. Takie rzeczy się czasem zdarzają.

Woofler, Donny i Willie nie kupili tej gadki, jednak nikt się nie przejmował ani nimi, ani tym, w co wierzyli, a w co nie. Zesrana Ruth cuchnęła okropnie.

– Przyniosę jakiś koc – rzucił Thompson i przeszedł obok mnie.

– Ta obrączka – powiedziałem, wskazując na nią. – Ta obrączka na jej palcu należała do Meg. Meg dostała ją od swojej matki. Susan powinna ją teraz mieć. Mogę ją jej dać?

Jennings spojrział na mnie ze zbolaną miną, która zdawała się mówić „nie przeginaj chłopcze”.

Tym też się jednak nie przejmowałem.

– Ta obrączka należy teraz do Susan – powiedziałem.

Jennings westchnął.

– To prawda, chłopcy? – zapytał. – Lepiej dla was będzie, jeśli powiecie prawdę.

– Chyba tak – powiedział Donny.

Willie spojrział na brata.

– Ty chuju – wymamrotał.

Jennings podniósł dłoń Ruth i spojrział na obrączkę.

– Dobrze – rzucił nagle łagodnym głosem. – Możesz jej ją dać.

Następnie ściągnął ją z palca Ruth.

– Niech jej strzeże, jak oka w głowie.

– Dobrze.

Wszedłem po schodach na górę.

Nagle poczułem się strasznie zmęczony.

Susan leżała na kanapie.

Podszedłem do niej i zanim zdążyła mnie o cokolwiek spytać, pokazałem ją jej. Zobaczyłem, jak spogląda na obrączkę, zobaczyłem, ile dla niej znaczy i nagle, spojrzenie jej oczu powaliło mnie na kolana. Wyciągnęła do mnie swoje cienkie, blade ramiona i przytuliłem ją. Rozplakaliśmy się oboje.

Epilog

Rozdział 47

Byliśmy nieletni. Nie byliśmy kryminalistami, lecz młodocianymi przestępcami.

To z definicji oznaczało, że według prawa byliśmy niewinni. Nie mogliśmy do końca odpowiadać za nasze czyny, zupełnie jakby wszyscy przed ukończeniem osiemnastego roku życia byli prawnie niepoczytalni i nie potrafili odróżnić dobra od zła. Naszych tożsamości nigdy nie ujawniono w prasie. Nie mieliśmy kryminalnej przeszłości, a sprawie nie nadano rozgłosu.

Było to dla mnie dosyć dziwne, ale wydaje mi się, że skoro zostaliśmy pozbawieni praw dorosłych, naturalną rzeczą było też pozbawienie nas odpowiedzialności związanej z byciem dorosłym.

To oczywiście nie tyczyło się Susan czy Meg.

Donny, Willie, Woofers, Eddie, Denise i ja stanęliśmy przed sądem dla nieletnich, gdzie Susan i ja składaliśmy zeznania. Nie było oskarżyciela ani żadnego obrońcy, jedynie sędzia Andrew Silver oraz kilku psychologów i pracowników opieki społecznej, którzy wypowiadali się poważnie, co z nami zrobić. To było wiadome od samego początku. Donny, Willie, Woofers, Eddie i Denise zostali umieszczeni w zakładzie karnym dla nieletnich. My nazywaliśmy go poprawczakiem. Eddie i Denise jedynie na dwa lata, jako że nie brali bezpośrednio udziału w zabójstwie. Donny, Willie i Woofers aż do osiągnięcia pełnoletności. To najsurowsza kara, jaką można było w tamtym czasie otrzymać. Po skończeniu osiemnastego roku życia mieli zostać wypuszczeni, a ich kartoteki zniszczone.

Dziecięce pomyłki nie mogą rzutować na dorosłym życiu.

Znaleźli dla Susan rodzinę zastępczą w innym mieście, gdzieś w okolicy wielkich jezior, daleko stąd.

Dzięki jej zeznaniom oraz ze względu na fakt, że w świetle prawa dla nieletnich, nie występowało pojęcie współsprawcy, postanowiono umieścić mnie w areszcie domowym pod nadzorem rodziców oraz oddano mnie pod opiekę psychologa, niejkiej Sally Beth Cantor, z którą musiałem widywać się raz w tygodniu, a następnie raz w miesiącu przez równy rok, i którą zawsze interesował mój „postęp” oraz „radzenie sobie” z tym, co widziałem i co zrobiłem. Oraz z tym, czego nie zrobiłem. Pomimo to zawsze wydawała się na pół uśpiona, zupełnie jakby słyszała to już milion razy i pragnęła, pomimo wszelkich powodów i

dowodów, by moi rodzice okazali się bardziej bezwzględni wobec mnie, albo żebym chociaż rzucił się na nich z siekierą dał jej jakiś powód, cokolwiek, w czym mogłaby zatopić swe zęby. Minał rok i przestała przychodzić. Minęły trzy miesiące, zanim za nią zatęskniłem.

Nigdy więcej nikogo z nich nie widziałem. Przynajmniej nie na żywo.

Przez jakiś czas pisaliśmy do siebie z Susan. Jej kości były już zdrowe. Lubiła swoich przybranych rodziców. Udało jej się nawet z kimś zaprzyjaźnić. Później przestała do mnie pisać. Nie pytałem dlaczego. Nie winiłem jej.

Moi rodzice się rozwiedli. Ojciec wyjechał do innego miasta. Rzadko go widywałem. Myślę, że się mnie wstydził. Jego również nie winiłem.

Szkołę skończyłem ze słabymi wynikami, co zresztą nikogo nie dziwiło.

Studiowałem przez sześć lat, w tym dwa lata ukrywałem się przed wojskiem w Kanadzie, uzyskując tytuł magistra zarządzania. Tym razem ukończyłem szkołę z trzecim najlepszym wynikiem w klasie, co było dla wszystkich sporym zaskoczeniem.

Dostałem posadę na Wall Street, ożeniłem się i rozwiodłem, ponownie ożeniłem, i ponownie rozwiodłem rok później.

Ojciec zmarł na raka w 1982 roku. Mama dostała zawału serca w 1985 i zmarła na podłodze w kuchni obok zlewu, ściskając w dłoni brokoły. Nawet wtedy, gdy była sama, gdy nie miała już dla kogo gotować, miała w zwyczaju dobrze się odżywiać. Nigdy nie wiadomo, kiedy powróci Wielki Kryzys.

W rodzinne strony przyjechałem z moją narzeczoną Elizabeth, by sprzedać dom i zabrać rzeczy po mamie. Razem przeglądaliśmy relikty, które mama zgromadziła w ciągu czterdziestu spędzonych tam lat. Znalazłem niezrealizowane czeki, schowane w powieści Agaty Christie. Znalazłem listy, które pisałem do niej ze studiów, kredki i rysunki, które namalowałem w pierwszej klasie podstawówki. Znalazłem pożółkłą gazetę, w której zamieszczona była informacja o tym, jak mój ojciec otwiera swoją restaurację Orle Gniazdo i odbiera odznaczenia z Klubu Weterana.

Znalazłem też wycinki z gazet na temat śmierci Megan Loughlin i Ruth Chandler.

Nekrologi z miejscowej gazety.

Nekrolog Meg był krótki, aż nazbyt krótki, jakby jej życie w ogóle nic nie znaczyło.

LOUGHLIN – Megan, lat czternaście, córka zmarłego Daniela Loughlina i zmarłej Joanne Haley Loughlin. Siostra Susan Loughlin. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w sobotę o godzinie 13.30 w Fisher Funeral Home, 100 Oakdale Avenue, Farmdale, NJ.

Nekrolog Ruth był dłuższy:

CHANDLER – Ruth, lat trzydzieści siedem, żona Williama Jamesa Chandlera, córka zmarłego Andrew Perkinsa i zmarłej Barbary Bryan Perkins. Pozostawiła męża i synów Williama Juniora, Donalda i Ralphi. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w sobotę o godzinie 14.00 w Hopkins Funeral Home, 15 Valley Road, Farmdale, NJ.

Był dłuższy, lecz tak samo pusty.

Spojrzałem na wycinki z gazet i uświadomiłem sobie, że ceremonie pochówku nastąpiły trzydzieści minut po sobie, tego samego dnia, w domach pogrzebowych, oddalonych od siebie o kilka ulic. Nie byłem na żadnej z nich. Nie miałem pojęcia, kto był.

Spoglądałem przez okno w salonie na dom po drugiej stronie podjazdu. Moja matka powiedziała mi, że teraz mieszka tam jakieś młode małżeństwo. Mili ludzie, stwierdziła. Bezdzielni, jednak przy nadziei. Wybudują taras, jak tylko będą mieć pieniądze.

Na kolejnym wycinku było zdjęcie. Młody, przystojny mężczyzna, z krótkimi brązowymi włosami i szerokim uśmiechem.

Wyglądał znajomo.

Rozłożyłem papier.

To był wycinek z gazety *Newark Star-Ledger* z 5 stycznia 1978 roku. Nagłówek brzmiał „Mieszkaniec Manasquan oskarżony o moderstwo.” W artykule była mowa o tym, jak ów mężczyzna został aresztowany 25 grudnia wraz z niezidentyfikowanym młodzieńcem w związku z zadżganiem na śmierć i podpaleniem dwóch nastolatek, Patricii Highsmith, lat siedemnaście, mieszkanki Manasquan, i Debry Cohen, również siedemnastolatki, mieszkanki Asbury Park.

Obie ofiary miały widoczne ślady gwałtu i obie zostały wielokrotnie ugodzone nożem, a bezpośrednim powodem śmierci było podpalenie. Oblano je benzyną i podpalono na opuszczonym polu.

Mężczyzną ze zdjęcia był Woofier.

Moja matka nigdy mi o tym nie powiedziała. Patrzyłem na zdjęcie w poszukiwaniu choćby jednego powodu, dla którego mogłem czytać gazetę i widzieć to zdjęcie.

W wieku dwudziestu kilku lat Woofier był bardzo podobny do Ruth.

Tak jak reszta pozólkłych, zniszczonych wycinków gazet, tak i ten schowany był w kartonie na schodach, wiodących na strych. Jednak na marginesie było zapisane coś jeszcze. Obróciłem papier i rozpoznałem pismo matki. Sporządzone ołówkiem, wyblakłe, jednak wciąż czytelne.

Tuż przy nagłówku, napisane wzdłuż zdjęcia z lekką ironią:

Ciekawe, jak się mają Donny i Willie?

Teraz, w przeddzień mojego, jakże niepewnego, trzeciego małżeństwa z kobietą która byłaby dokładnie w wieku Meg, gdyby ta żyła, osaczony koszmarami, iż zawiodłem, zawiodłem kogoś, pozostawiając go na łasce i niełasce okrutnego świata, zastanawiam się, czy pośród imion, które moja matka nagryzmoła na kawałku gazety, nie powinny się też znaleźć imiona Denise i Eddiego Crockera. A także moje własne.

**Komentarz autora odnośnie
pracy nad „Dziewczyną
z sąsiedztwa”**

– Kto cię kocha dziecino? – zwykł mówić Kojak.

No cóż, kto wie, co miał na myśli najbardziej niezawodny Grek z lizakiem w historii kina. Ja natomiast wiem, kto i co mnie przeraża.

To, „co”, mówiąc najogólniej, jest nieprzewidywalne. Jakieś przypadkowe spotkanie z rudzielcem nie sprawi, że pobiegnę od razu do domu po krzyż i czosnek. Nie chodzi mi również o Alzheimera, AIDS czy katastrofę lotniczą. Któregoś dnia szedłem wzdłuż Broadwayu, kiedy nagle dębowa komoda runęła w dół, rozbijając się o chodnik, kilka kroków ode mnie. To mnie przeraziło. Przeraziło mnie i wkurzyło.

To samo czuję w stosunku do ludzi, którzy mnie przerażają. Wkurzają mnie. Nie podoba mi się, że po ziemi stąpają takie kreatury jak Ted Bundy*, który wygląda zupełnie jak ja, mówi jak ja i jest niezwykle uroczy, z jednym małym wyjątkiem – kurwa, on odgryzał ludziom sutki!

Nie chodzi o to, że wczuwam się w sytuację ofiar, ale ja też mam przecież sutki.

Socjopaci przerażają mnie i doprowadzają mnie do szału. Nie tylko ci znani jak „Rodzina” Charlesa Mansona* czy Gary Tisons*, ale również kolesie, którzy okantowali staruszki na Florydzie. Nikt z nich nie ma sumienia. Znam pewną kobietę, której mąż stracił majątek na giełdzie i by spłacić długi, podrobił jej podpis pod umowami kredytowymi, opiekującymi na łączną sumę ćwierć miliona dolarów, nie wspominając już o zeznaniu podatkowym, przez co stracili dom. Zostawił ją z zaległymi podatkami oraz dzieckiem na utrzymaniu, które, co jest w tym najgorsze, kocha go tak, jak ośmiolatek potrafi kochać swojego ojca. Z którym to ojcem nie ma żadnego kontaktu od marca 1989 roku. Facet zwał, umywając od wszystkiego ręce, podczas gdy świat jego żony i dziecka legł w gruzach.

Od dawna chciałem napisać książkę o takich kanaliach. O nich oraz o tym, co nas spotyka, kiedy uwierzmy, że oni są normalnymi ludźmi.

Na taką osobę napotkałem w „Bloodletters and Badmen” Roberta Nasha.

Dopuściła się ona niespotykanej, całkowicie odrażającej zbrodni.

Przez całe miesiące z pomocą nastoletniego syna i córek oraz – jak się później okazało – również przy pomocy dzieci sąsiadów, torturowała szesnastoletnią dziewczynę. Zameczyła ją

* Ted Bundy – seryjny morderca nastolatek z USA – przyp. tłum.

* Sekta odpowiedzialna za serię brutalnych zabójstw, w tym Sharon Tate, żony Romana Polańskiego – przyp. tłum.

* Morderca, skazany za zabójstwo m.in. strażnika więziennego oraz postronnych ludzi w trakcie ucieczki z więzienia – przyp. tłum.

na śmierć, ponieważ chciała – jak tłumaczyła jej młodszej siostrze – „nauczyć ją”, jak to jest być kobietą na tym świecie.

Jej dzieci przypomniały mi postaci z „Władców Much”. Jednak zapomnijmy o dzieciach. Ponieważ to właśnie ta kobieta, ta dorosła osoba, pozwoliła im na to, dyrygując nimi poprzez chorą grę udzielanych im instrukcji, spowodowaną odrazą do jej własnej płci oraz niemożnością dostrzeżenia cierpienia innych, poza jej własnym. Zaszczepiła tę nienawiść grupce nastolatków. Przyjaciołom tej dziewczyny.

W książce znajdowało się jej zdjęcie. Zbrodni dopuściła się w 1965 roku, w wieku trzydziestu sześciu lat, jednak na zdjęciu wyglądała na lat sześćdziesiąt. Miała obwisłą pokrytą plamami skórę, bardzo pomarszczoną, cienkie, złowrogie usta, przeredzone rude włosy i okropną fryzurę przynajmniej sprzed dekady.

Obrazu dopełniały duże, głęboko osadzone, ciemne oczy, których spojrzenie ujawniało czające się w nich zarówno szaleństwo, jak i pustkę. Były przerażające. Od razu doprowadziła mnie do szału.

Nie mogłem zapomnieć tej twarzy.

Kilka lat później zmarła moja matka. W tym samym domu w New Jersey, w którym się wychowałem i który znałem od wczesnego dzieciństwa. To zawsze był dla mnie prawdziwy dom. Po jej śmierci dochodziłem do siebie stopniowo, spędzając w domu wiele czasu, poznając na nowo sąsiadów, wspominając.

Pracowałem wtedy nad nową wersją „She Wakes”, jak dotąd moją jedyną powieścią fantastyczną. Od jakiegoś czasu leżała zakurzona. To był dobry moment, aby się do niej ponownie, ponieważ w tamtym czasie nie byłem w stanie zacząć niczego nowego ani poważnego. Odrodzona grecka bogini na słonecznej wyspie była wówczas w sam raz.

Jednak z czasem tamta kobieta ponownie nie dawała mi spokoju.

Może to z powodu jej uczesania z lat pięćdziesiątych. Sam nie wiem.

W dzieciństwie mieszkałem na ślepej ulicy i w każdym domu były dzieci wojny. Wyobrażałem ją sobie robiącą to tam. Żyjąc w latach pięćdziesiątych, doświadczało się ciemnej strony tego okresu. Wszystkie te wygodne małe sekrety, skrywane w domach i gotowe w każdej chwili wybuchnąć. To był idealny rodzaj izolacji, gotowa obsada oraz postaci, które mogłem ukształtować w swojej głowie, zanim przelałem wszystko na papier.

Postanowiłem więc umieścić akcję w roku 1958, gdy miałem dwanaście lat. Akcję przenieśliśmy ze środkowego wschodu do New Jersey.

Będąc tam, zwłaszcza latem, wszystko zaczęło do mnie wracać. Zapach lasu, zawilgoconej piwnicy. Rzeczy, o których przez lata nie pamiętałem, a które teraz nie pozwalały mi zasnąć. Nie próbowałem nawet z tym walczyć. Rzeki, sady, zawsze otwarte drzwi, Elvis.

Pomimo to nie były to również „Cudowne Lata”. Odkąd skończyłem „Off Season”, moją pierwszą powieść, nie poruszałem więcej w książkach aż tak ponurego tematu. A przecież

„Off Season” była o kanibalach, na litość boską! Bez względu na to, jak gęsto ścielił się w niej trup, nikt nie brał jej zbyt poważnie. Tutaj natomiast mamy do czynienia z maltretowaniem dzieci. Z okrucieństwem tak wielkim, że w trakcie pisania ostatecznie postanowiłem niektóre wydarzenia złagodzić, a o innych w ogóle nie pisać.

Pomimo to nadal mieliśmy do czynienia z olbrzymim okrucieństwem.

Nic nie mogłem z tym zrobić. Problem polegał na tym, aby zachować okrutny wydźwięk książki, bez żerowania na okrucieństwie wyrządzanym w ten sposób każdego dnia prawdziwym dzieciom.

Pomogły mi w tym pewne zabiegi techniczne. Przede wszystkim użyłem chłopca z sąsiedztwa jako narratora w pierwszej osobie. To niespokojny, jednak nie pozbawiony wrażliwości dzieciak, który utknął gdzieś pomiędzy fascynacją z powodu pozwolenia mu na zakazane a tym, co podpowiada mu jego empatia. Widzi wiele. Jednak nie wszystko. To pozwoliło mi nakreślić w niektórych przypadkach jedynie obraz sytuacji, bez wdawania się w szczegóły.

Narrator występuje również trzydzieści lat później. Jest już dorosły, więc może decydować. Zatem w chwili, gdy akcja staje się brutalna, mówi: „Wybaczenie, ale nie pokażę wam tego. Możecie sobie to jedynie wyobrazić, jeżeli wam na tym zależy i macie na tyle odwagi. Ja wam w tym nie pomogę”.

W książce z suspensem, narracja w pierwszej osobie może przenieść współczucie czytelnika wprost na ofiarę przemocy. Tak zrobiłem w „Hide and Seek”, aby osiągnąć ten efekt. Wiesz, że z kimkolwiek rozmawiasz, ta osoba na pewno przeżyje, więc nie martwisz się tak o jej bezpieczeństwo (możesz się jednak niepokoić o jej postawę, jej wartości moralne i ten właśnie efekt chciałem osiągnąć tutaj). Jeżeli książka jest dobrze napisana, czytelnik będzie się martwił o bezpieczeństwo tych, na których bohaterowi zależy.

W tym przypadku, na „dziewczynie z sąsiedztwa” i na jej siostrze.

To jest trudne do wykonania. Ponieważ, jeżeli ludzie, na których mu zależy, będą niewystarczająco atrakcyjni lub przychylni, lub też czytelnik po prostu nie lubi prawników czy psów tak jak on, skończysz, obserwując czarne charaktery, przemoc lub obie te rzeczy naraz. Lub też zamkniesz książkę i nigdy do niej nie wrócisz.

O to się jednak aż tak nie martwię (skromność to moje drugie imię). Jeżeli w książce czytelnik odnajdzie moralną wieloznaczność i napięcie, to właśnie było moim zamiarem. Z tym przecież musi się zmierzyć bohater książki, z problemem postrzegania pewnych rzeczy. Nie martwię się również, ponieważ lubię te dziewczyny i to chyba widać. One nie są tylko ofiarami. Na swój sposób – zwłaszcza w kontaktach ze sobą – są bardzo odważne.

A także dlatego, że dla kontrastu to inne postacie mnie przerażają.

Przerażają mnie i za każdym razem, kiedy czytam gazetę lub oglądam wiadomości lub też rozmawiam z jakąś kobietą po raz kolejny pobitą przez pijanego męża, naprawdę mnie wkurzają.

**Słownik wybranych osób
związanych z pop kulturą
występujących w książce**

Perry Como

Amerykański piosenkarz i osobowość telewizyjna włoskiego pochodzenia. Uważany za jednego z najbardziej popularnych amerykańskich wokalistów solowych, stawiany w jednym rzędzie obok Elvisa Presleya i Franka Sinatry.

Davy Crockett

Amerykański żołnierz i polityk, wslawiony w walkach USA z Meksykiem w XIX wieku. W latach 50. XX wieku wytwórnia Disneya uczyniła z niego bohatera serialu telewizyjnego, propagując jego postać wśród młodych widzów.

Tommy Edwards

Piosenkarz afroamerykański. Znany w latach 50. i 60. XX wieku. Jego największy przebój to „It's All In the Game”.

Alan Freed

Amerykański prezenter radiowy, który wylansował rock and rolla. Nazywany jest ojcem tego gatunku.

Dolores Hart

Amerykańska aktorka, debiutowała wspólnie z Elvisem Presleyem w filmie „Kochając ciebie” (1957).

Mario Lanza

Amerykański tenor i aktor włoskiego pochodzenia. Śpiewał zarówno arie operowe jak i melodie popularne.

Julie London

Prawdziwe nazwisko Gayle Peck, amerykańska aktorka i wokalistka. Znana także ze zmysłowego głosu.

Jayne Mansfield

Amerykańska aktorka filmowa, legenda kina, modelka Playboya z 1955 roku, seksbomba lat 50. i 60. XX wieku. W 1957 roku otrzymała nagrodę Złotego Globu w kategorii najbardziej obiecująca debiutantka.

Joseph McCarthy

Będąc senatorem przeszedł do historii, jako inicjator oskarżeń o działalność komunistyczną znanych osób w kręgach władzy i show-businessu w USA.

Domenico Modugno

Włoski muzyk, wokalista i kompozytor, aktor a także członek parlamentu. Dwukrotny laureat Nagrody Grammy. Jedną z nich otrzymał w 1959 roku za przebój „Volare”.

Marilyn Monroe

Aktorka, modelka, okazjonalnie wokalistka. Legenda kina, seksbomba lat 50. i 60. XX wieku. Symbol i uosobienie seksu.

Debra Paget

Amerykańska aktorka, znana w latach 50. i wczesnych 60. XX wieku. Grała m.in. w „Love Me Tender” filmowym debiucie Elvisa Presleya.

Suzy Parker

Amerykańska aktorka i modelka, najbardziej popularna między rokiem 1947, a pierwszą połową lat 60. Była pierwszą w tej branży, która zarobiła 100 tys. dolarów przez rok. Beatlesi skomponowali utwór, którego tytuł pochodził od jej imienia i nazwiska.

Lizabeth Scott

Amerykańska aktorka pochodzenia cygańskiego ze Słowacji, występowała w filmach noir, fabularnych i muzycznych.

Elvis Presley

Piosenkarz i aktor amerykański. Prekursor rock and rolla, jedna z najbardziej znanych postaci kultury masowej XX wieku. – Jego osobowość zmieniła oblicze amerykańskiej kultury – mówił na jego pogrzebie w 1977 roku prezydent USA Jimmy Carter.

John Philip Sousa

Amerykański kapelmistrz i kompozytor marszy wojskowych oraz operetek. Skomponował ponad 130 marszy.

June Wilkinson

Angielska modelka i aktorka, znana z sesji dla Playboya i filmów z lat 60. Uznana za jedną z najbardziej fotogenicznych kobiet przełomu lat 50. i 60. XX wieku. Nazywana „najbardziej fotogeniczną nagością USA”.

Natalie Wood

Amerykańska aktorka, z pochodzenia Rosjanka, występowała w filmie „Buntownik bez powodu” z Jamesem Deanem.